

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/241

1967



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. MIEROSZEWSKI :

POLSKO-FRANCUSKIE METAMORFOZY

J. RADZIWIŁŁ :

WSPOMNIENIA Z OKRESU WOJNY

Z. ZAREMBA :

SPRAWA TADEUSZA ŻARSKIEGO

T. TERLECKI :

DZIENNIK Z GHANY-1966

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>Polsko-francuskie metamorfozy</i>	3
Tymon Terlecki:	<i>Dziennik z Ghany — 1966 (I)</i>	15
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	33
Leopold Tyrmand:	<i>Jak być dzieckiem?</i>	42
Aleksander Pfau:	<i>Wilk</i>	49

WIERSZE

Czesław Miłosz:	<i>Jak było</i>	66
Czesław Miłosz:	<i>Okno</i>	67
Adam Czerniawski:	<i>Widok Delft</i>	68

OBSERWATORIUM

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Zweig i Erenburg</i>	71
Jurij T. Gałanskow:	<i>Koszary Szołochowa</i>	79

ARCHIWUM POLITYCZNE

Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	86
-------------	--------------------------------	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Józef Łobodowski (opr.):	<i>Wspomnienia Janusza Radziwiłła (I)</i> ..	95
Zygmunt Zaremba:	<i>Sprawa Tadeusza Żarskiego</i>	103

SPRAWY I TROSKI

Edward Puacz:	<i>„Sejm odrodzenia życia polonijnego w Ameryce”</i>	113
---------------	--	-----

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski:	<i>„Jaki on piękny!”</i>	117
Andrzej Nakow:	<i>Problemy romantyzmu wciąż aktualne</i> ..	119
Redakcja:	<i>Zaskakujące nagrody</i>	123

K R A J

Jan Krok-Paszkowski:	<i>Na linii Warszawa-Paryż</i>	124
----------------------	--------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Hemingway polskiego Września</i>	127
Wacław Iwaniuk:	<i>Poezja i polityka</i>	132
Maria Kawczak:	<i>Polska filozofia analityczna</i>	137
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	140



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	142
------------	----------------------------------	-----



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	150
--------------	----------------------------	-----



Gen W. Anders, W. Jędrzejewicz, Klisza rozkazu z 13. V. 1926, K. A. Jeleński, L. Tyrmand, A. Kamienniecki, M. Bereza, W. Gombrowicz, A. Czerniawski, W. Sukiennicki, A. S., L. Mitkiewicz, Redakcja:	<i>Listy do Redakcji</i>	152
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad — Novembre 1967

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Alexander PFAU, urodzony w Jarosławiu nad Sanem. Wojna zastaje go jako studenta liceum. Ucieka do Sambora, skąd wraz z rodziną zostaje przymusowo wywieziony na Sybir. Pracuje kilka lat jako poszukiwacz złota w górach Dżuk-Dżur („gdzieś pomiędzy Leną a Kameczatką”). Po „amnestii” dostaje się do Jakucka nad Leną, gdzie jest szoferem ciężarówek kursujących pomiędzy łagrami i motorzystą na kutrze płynącym do Oceanu Lodowatego. Pod koniec wojny jest przewieziony do sowchozu niedaleko Wołgi i pracuje tam jako „brygadier traktorzystów” i mechanik. Repatriuje się do Polski w 1946 roku. W Polsce prowadzi ciężarówki, przemycia ludzi do Czechosłowacji, pisze wiersze, wstępuje do Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi i kończy Wydział Reżyserski tej szkoły w 1952 roku. Reżyseruje kilka filmów dokumentalnych; jest przez jakiś czas redaktorem Polskiej Kroniki Filmowej na Wybrzeżu; asystentem reżysera przy filmach fabularnych i pisze szereg scenariuszy dla filmów długometrażowych. Jest jednym z pierwszych członków klubu „Krzywego Koła” i członkiem zespołu filmowego „Po Prostu” (nie mylić z czasopismem). W 1957 roku wyjeżdża do Izraela; reżyseruje tam kilka filmów dokumentalnych, pisze scenariusze i asystuje przy dużych angielskich i amerykańskich produkcjach filmowych. W 1961 roku emigruje do USA, gdzie pracuje początkowo w małych firmach produkujących filmy dla telewizji. Obecnie montuje filmy dokumentarne i „problemowe” dla Organizacji Narodów Zjednoczonych (U.N.) w Nowym Jorku.

Materiały dla J. KORSONA, redaktora działu „Wydarzenia miesiąca”, prosimy nadsyłać bezpośrednio do redakcji KULTURY, 91, Avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte, France.

Ponawiamy apel do naszych Czytelników o nadsyłanie informacji, wycinków, etc., które ułatwią nam prowadzenie tego działu, a przede wszystkim pozwolą rejestrować aktywność poszczególnych skupisk emigracyjnych.

WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Alicja Żerańska (USA) — honorarium za przemówienie wygłoszone w dniu 20 sierpnia 1967 r. na Dniu Polskim Ligi Polskich Towarzystw w New Kensington, Pa. (USA)		F.122,00
Wiktor Skiba, Meksyk, po raz dziewiąty		F. 98,00
B. T. Łaszewski, New York		F. 14,00
Aleksandra B. Warszawa		F. 98,00
Bezimiennie (USA)		F. 49,00

DZIĘKUJEMY!

Polsko-francuskie metamorfozy

I

Co to jest „wielki świat”? Za czasów mojej wczesnej młodości odpowiedź na to pytanie była jasna i oczywista. „Wielki świat” to był Paryż. Od perfum i mody zaczawszy, a na literaturze i malarstwie skończywszy.

Gdy Charles de Gaulle jako kadet z Saint-Cyr chodził ulicami Paryża miał świadomość, że stolica Francji jest stolicą świata, która przyciąga jak magnes pisarzy, artystów, intelektualistów z wszystkich zakątków ziemi. Trzeba o tym pamiętać by zrozumieć prezydenta de Gaulle i jego historycyzm.

Dziś to się wszystko zmieniło. „Wielki świat” to są Anglosasi. Kto nie drukuje po angielsku nie istnieje jako pisarz światowy. Naukowiec — obojętne z jakiej dziedziny — jeżeli chce zrobić karierę — wyjeżdża do Ameryki. Należy stwierdzić, że język angielski jest najbardziej uniwersalnym medium komunikacji wynalezionym przez ludzkość. Ludzi, którzy z urodzenia mówią po angielsku jest mniej niż Chińczyków. Lecz uniwersalność angielszczyzny polega na jej funkcji pomocniczej. Nie ma drugiego języka na świecie, który w takiej skali jak angielski został zaadoptowany jako „drugi język” przez inne narody.

Anglosasi oferują dwie rzeczy: technologię i język. Poza tym nie narzucają niczego. Weźmy dla przykładu Indie. Za owe miliony dolarów udzielane w formie pomocy można by forsować amerykańizację Indii — co prawdopodobnie Hindusom wyszłoby na dobre. Amerykanie tego nie robią ani w Indiach ani w Wietnamie. Imperialny paternalizm dyktuje Anglosasom troskę o dobrobyt i zdrowotność tubylczej ludności (*natives*), lecz nie interesują się zbytnio ich kulturą i instytucjami. W tygodnikach amerykańskich spotyka się listy intelektualistów wietnamskich, którzy skarżą się, że Amerykanie lekceważą ich wielowiekową kulturę i obyczaje. To nie jest świadome lekceważenie tylko zwyczajna obojętność.

Anglosasi gdziekolwiek budują przyczółek — przywożą ze sobą

swój świat — prasę, muzykę, filmy, kuchnię, papierosy — wszystko. Na dnie duszy żaden Anglosas nie wierzy, by jakkolwiek obca kultura miała mu cokolwiek do zaoferowania.

Rosjanie wkładają wielki trud w komunizowanie narodów satelickich. Amerykanie wolni są od trosk tego rodzaju — ponieważ narody tzw. „wolnego świata” amerykanizują się z własnej woli i to w zastraszającym tempie.

Za czasów mojej młodości wpływ Francji wywodził się z powszechnie przyjętego dogmatu niekwestionowanej wyższości kultury francuskiej nad wszystkimi innymi kulturami białego człowieka. Kultura amerykańska nie dysponuje mitem wyższości czy doskonałości intelektualnej — nie ma patyny wieków tradycji — jest parodiowana, ośmieszana i wykpiwana, obrosła tandetną symboliką Hollywood'u, Cow-boy'ów i Coca-Coli — i wbrew temu wszystkiemu asymilowana jest masowo i zachłannie.

Amerykanie uprzedzili nas i wyprodukowali kulturę masową nim Europejczycy osiągnęli technologiczne możliwości wytworzenia swojej własnej kultury masowej. „Cuius regio, eius religio” — „Cuius technologia, eius kultura masowa”.

Europejczycy a zwłaszcza Anglicy — jak zauważył prof. Max Beloff — pocieszają się grecko-rzymską analogią. Rzymianie to był oręż i organizacja — natomiast sztuka, filozofia, intelekt — to była Grecja. Oczywiście to jest mit wynaleziony przez Greków. W rzeczywistości centrum cywilizacji i kultury był Rzym. Greków odkryto w średniowieczu, a na większą skalę w okresie renesansu. Ekspansja kulturalna musi dysponować *delivery system*. W klasycznym Rzymie ową rolę spełniały legiony rozrzucone po całym ówczesnym świecie. Analogiczną rolę spełniają dziś *businessman*'i i technologiczni eksperci amerykańscy oraz wielkie fundacje amerykańskie.

Na powyżej naszkicowanym tle należy rozpatrywać sytuację Francji. Należy jeszcze podkreślić sprawę supremacji języka angielskiego. Ów problem w Anglii dotyczy tylko akcentu lecz nie języka. Natomiast we Francji to jest problem pierwszorzędnej wagi — ponieważ język jest głównym wehikułem wpływów tak kulturalnych jak i politycznych.

Historia każdego narodu ma swoje punkty krystalizacyjne. Dla mnie takim punktem krystalizacyjnym w nowoczesnych dziejach Francji jest Sedan. W maju 1940 r., gdy byłem w Rumunii, nadeszła wiadomość, że Niemcy przełamali front pod Sedanem. Wówczas automatycznie skojarzyłem aktualny komunikat wojenny ze zdaniem zapamiętanym z podręcznika historii: Sedan — 1. 9. 1870 kapitulacja armii francuskiej i wzięcie do niewoli Napoleona III.

Przez 75 lat — od pierwszego Sedanu po kapitulację hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy — kwestia niemiecka była zagadnieniem życia i śmierci dla Francji. W wyniku drugiej wojny światowej Niemcy jako mocarstwo przestały istnieć i przemieniły się w szachownicę stref okupacyjnych. Mogło się wówczas wydawać, że droga do odbudowy wielkości Francji stoi otworem. Szybko oka-

zało się jednak, że znikły nie tylko Niemcy lecz i „koncert” europejski. De Gaulle nie chce Francji, która byłaby jednym z kantonów Stanów Zjednoczonych, Europy — z rządem federalnym, który, choćby w nim zasiadali Francuzi, nie byłby rządem francuskim. Czynniki ujednolicenia, który umożliwiłyby budowę tego typu unii zachodnioeuropejskiej — musiałby być narzucony z zewnątrz. Nie można wyłączyć, że za 50 lat amerykańska kultura masowa dokona tego dzieła.

Wyobraźmy sobie, że ludzie w Paryżu, w Brukseli i w Amsterdamie oglądają te same programy telewizyjne, wszyscy mówią po angielsku jako drugim swoim językiem, 70% pracującej ludności zatrudniają firmy amerykańskie, względnie przemysły dominowane przez Amerykanów, rzesze młodzieży zachodnioeuropejskiej studiują na uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych, elita intelektualna odpływa stale do Ameryki. Gdyby ewolucja potoczyła się po tych liniach — powstałyby warunki umożliwiające zjednoczenie państw zachodnioeuropejskich.

Lecz kto ma zjednoczyć Europę przeciwko Ameryce? Nie ulega bowiem wątpliwości, że de gaulle'izm jest reakcją obronną przeciwko dominującemu wpływowi Stanów Zjednoczonych.

Jeżeli przyjąć, że hegemonem zachodniej Europy jest Ameryka a hegemonem wschodniej Europy jest Rosja — to należy równocześnie stwierdzić, że zachodnia Europa amerykańizuje się niepomrotnie szybciej niż wschodnia Europa się russyfikuje. Jeżeli wziąć pod uwagę tzw. technosferę — wielki *business*, projekty badawcze, korporacje handlowe — kulturę masową a więc film, muzykę popularną, *show business*, prasę codzienną i tygodniki — to wówczas okazałoby się, że wpływy amerykańskie we Francji są wręcz nieporównywalnie większe niż rosyjskie w Polsce.

Wielkie pisma amerykańskie mają atlantyckie czyli zachodnioeuropejskie wydania. Czy jest do pomyślenia wschodnioeuropejskie wydanie „Prawdy” drukowane w Warszawie? We Francji prasa i periodyki amerykańskie sprzedawane są w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Kto czyta prasę rosyjską w Polsce? We Francji znajomość języka angielskiego jest bardzo duża — w Polsce znajomość języka rosyjskiego jest katastrofalnie mała.

Powiem więcej. Gdyby Polska była w tym stopniu niezależna co Francja, lecz równocześnie poddana wielorakim wpływom rosyjskim, które byłyby asymilowane równie bez sprzeciwu, jak wpływy amerykańskie asymilowane są w zachodniej Europie — patrzyłbym z wielkim pesymizmem na przyszłość mojego kraju.

We Francji, Anglii czy Belgii mówi się ustawicznie o „amerykanizacji życia”. Co to znaczy? Oznacza to, że zachodni Europejczycy godzą się na postępującą wysprzedaż swych przemysłów w ręce Amerykanów i równocześnie w coraz większym stopniu akceptują amerykańską kulturalną nadbudowę. W Anglii — w grupie wielkich firm wydawniczych — firmy nie uzależnione (jeszcze) od kapitału amerykańskiego stanowią mniejszość. W innych krajach zachodniej Europy sytuacja ewoluje w podobnym kierunku. Za kilkanaście lat zachodni Europejczycy będą nie tylko ku-

powali towary produkowane przez firmy amerykańskie lecz również będą czytali książki, periodyki i prasę produkowaną dla nich przez kapitał amerykański.

W Europie zachodniej mówi się i pisze o „amerykanizacji życia”. W Europie wschodniej nikt nie mówi o „rusyfikacji życia”, a nawet taki termin nie istnieje.

Choć wyda się to może paradoksem — ryzykuję pogląd, że de Gaulle’iści są w trudniejszej sytuacji niż Polacy. De Gaulle nie jest ani wrogiem Amerykanów ani przeciwnikiem sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Pragnąłby natomiast umocnić niezależność Francji i przywrócić jej dominujące stanowisko w konercie państw europejskich. Jego konflikt ze Stanami Zjednoczonymi wywodzi się z faktu, że Ameryka jest nie tylko sojusznikiem Europy zachodniej lecz i jej hegemonem. Hegemoniczność Stanów Zjednoczonych wypływa z trzech źródeł: po pierwsze — z technologiczno-militarnej przewagi, po drugie — z założeń polityki globalnej, po trzecie — z ekspansji handlowo-przemysłowej.

Przeciętny Belg, Francuz czy Holender nie interesuje się globalną polityką Waszyngtonu — natomiast z tzw. „amerykanizacją życia” spotyka się na każdym kroku. Jeżeli sumę przemian spowodowanych wpływami amerykańskimi na kontynencie określimy mianem „rewolucji amerykańskiej” — to należy stwierdzić, że walka z „rewolucją amerykańską” jest niepomrotnie trudniejsza niż z „rewolucją komunistyczną”. De Gaulle i ludzie jego pokolenia nie rozumieją, że „rewolucja amerykańska” mimo jej egzotyczności jest jednak genetycznie naturalnym „dalszym ciągiem” zachodnioeuropejskiej rewolucji przemysłowej. I z tej przyczyny „amerykanizacja życia” — mimo grymasów intelektualistów — akceptowana jest przez zachodnich Europejczyków jako proces naturalny i pożądaný.

Natomiast „rewolucja komunistyczna” w Europie wschodniej nie jest genetycznie „dalszym ciągiem” rozwoju społeczno-gospodarczego, lecz przeciwnie, jest formacją obcą, narzuconą z zewnątrz. Wpływy rosyjskie w Polsce są nikłe, ponieważ transmisją owych wpływów jest totalistyczny komunizm. W rezultacie za 20 czy 30 lat, gdy zachodnioeuropejskie miasta będą w pełni zamerykanizowane — Polska, Czechosłowacja i Węgry ostaną się jako enklawa starej Europy.

Dziś po polskich drogach turkocze ponad milion furmanek. Za 30 lat jeżeli nie nastąpią radykalne zmiany — będzie owych furmanek jeszcze pół miliona. Europa wschodnia stanowi swego rodzaju enklawę, ponieważ rewolucji jednego hegemonu nie akceptuje a od rewolucji drugiego hegemonu jest odcięta. W roku 2000 młody Amerykanin jeżeli zechce zobaczyć autentyczną Europę — będzie musiał pojechać do Krakowa, Pragi czy Budapesztu. To bowiem będą ostatnie zabytki na kontynencie Europy sprzed „rewolucji amerykańskiej”.

II

Problemem Francji są Niemcy. Ryzykuję pogląd, że francuska polityka tak w stosunku do Polski jak i nawet w stosunku do Stanów Zjednoczonych — jest w pewnej mierze funkcją zagadnienia niemieckiego. Rozwiązanie Paktu Warszawskiego i NATO — miałyby na celu nie tylko spacyfikowanie kontynentu lecz, przede wszystkim, odseparowanie Niemiec od Stanów Zjednoczonych.

Trudno porównywać sytuację Polski i Francji. A jednak mimo podstawowych różnic istnieją pewne analogie. Istnieją pewne sprzeczności zarówno w polityce francuskiej jak i w polskich koncepcjach politycznych. De Gaulle potrzebuje Ameryki i jej atomowego „parasola”. Równocześnie chciałby się od Ameryki uniezależnić. Polacy potrzebują poparcia rosyjskiego by utrzymać ziemie nad Odrą i Nysą i równocześnie chcieliby się od Rosji uniezależnić. Ameryka daleko a Rosja blisko. Lecz amerykańskie ręce sięgają dalej.

Sprzeczności rodzą sprzeczności. Gen. de Gaulle pragnie zacieśnienia więzów między Francją a Niemcami — równocześnie uznał jednak granicę na Odrze i Nysie. Polska mogłaby prawdopodobnie uzyskać międzynarodowe uznanie granicy na Odrze i Nysie za poparcie polityki zjednoczenia Niemiec — nie mniej Warszawa gotowa jest bronić Ulbrichta do upadłego.

Źródłem owych sprzeczności, których można by wyliczyć znacznie więcej — jest fakt, że jedynie suwerenną polityką jest polityka siły. Nie można uprawiać suwerennej polityki nie mając siły. Owej siły nie musi się używać, lecz jej obecność musi być oczywista dla wszystkich zainteresowanych. Tylko w ramach polityki suwerennej można uniknąć sprzeczności, choć nie błędów. Każda polityka nie w pełni suwerenna jest pasmem kompromisów oraz trudną umiejętnością wyboru mniejszego zła.

Czy to oznacza, że powinniśmy skapitulować wobec naszych hegemonów? Z całą pewnością — nie. Oznacza to jednak, że pewne cele osiągnąć możemy tylko poprzez Waszyngton i Moskwę. Francja dysponuje większymi wpływami w Waszyngtonie niż Polska w Moskwie — niemniej z lektury prasy amerykańskiej wynika jasno, że gen. de Gaulle zantagonizował przeciwko Francji nie tylko sfery oficjalne lecz i „inteligencję” amerykańską. Tego nie będzie łatwo odrobić.

Wszystko się zmieniło i definicja niezależności również uległa zmianie. Osobiście uważam gen. de Gaulle'a za najbardziej oryginalnego polityka współcześnie żyjącego. Wydaje mi się jednak, że Francja w drugiej połowie dwudziestego wieku byłaby wówczas maksymalnie niezależna od Stanów Zjednoczonych, gdyby ambasador francuski w Waszyngtonie zajmował czołową pozycję — gdyby *lobby* francuska była potężna — gdyby wpływy francuskie w Ameryce były różnorakie i skuteczne.

Partnerem Polski jest Rosja, bez względu na to czy się nam

to podoba czy nie. Partnerem Francji i państw zachodnioeuropejskich są Stany Zjednoczone, bez względu na to czy się nam to podoba czy nie. Stopień niezależności jest równoznaczny ze stopniem wpływu na politykę partnera — bo tylko poprzez wpływ można uniknąć sytuacji, w której nasz partner podejmie decyzję o nas bez nas.

Oczywiście na pewną niezależność może się zdobyć przywódca, który cieszy się poparciem większości swego społeczeństwa. Gomułka nie chce niezależności, ponieważ pełna zależność od Rosji stanowi główny i jedyny fundament jego władzy i bezpieczeństwa. Z tych przyczyn rozmowy pomiędzy de Gaullem a Gomułką nie mogły dać żadnego pozytywnego rezultatu. Trzeba być samodzielnym na wewnątrz by móc być, w pewnej mierze, niezależnym na zewnątrz.

De Gaulle nie powiedział w Polsce nic anty-rosyjskiego czy anty-amerykańskiego. Wyjąwszy sprawę zjednoczenia Niemiec — Prezydent zarysował plan, w zasadzie zgodny zarówno z założeniami polityki rosyjskiej jak i amerykańskiej. Gomułka — bez większego osobistego ryzyka — mógł podjąć inicjatywę, która zapoczątkowałaby nie istniejącą polską politykę zagraniczną. Gomułka tego nie zrobił, ponieważ nie miał instrukcji z Moskwy — i wobec tego w swym przemówieniu w Sejmie wyrecytował klasyczny „drewny szablon”, który wszyscy znamy na pamięć.

Koncepcja „Europy Środkowej” wysunięta przez de Gaulle’a — pokrywa się z planami różnego typu *disengagement*. Projekt likwidacji bloków wojskowych w Europie był wysuwany wielokrotnie przez Rosjan, a ostatnio przez Rumunów. Zastąpienie konfrontacji przez współpracę na terenie Europy jest daleko-falowym celem polityki amerykańskiej. To wszystko prawda, lecz Gomułka nie czytał tego w „Izwiestiach” — wobec tego sugestie de Gaulle’a uznał za podejrzenie.

Na czym polega wartość i znaczenie inicjatyw de Gaulle’a? Prezydent Francji jest jedynym zachodnim mężem Stanu, który dąży do uporządkowania spraw europejskich. Amerykanie i Rosjanie mogą spokojnie czekać następne 100 lat na ułożenie Europy, bo nie Waszyngton i nie Moskwa przepołowione są murem, tylko Berlin.

Jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że ostateczny układ europejski (a przede wszystkim nowy status Niemiec) — musiałby być negocjowany i gwarantowany tak przez Rosję jak przez Stany Zjednoczone. Ani Waszyngton ani Moskwa nie zgodzą się na układ, który podważałby amerykańsko-sowiecką równowagę siły. Lecz nakłonić super-mocarstwa do podjęcia negocjacji w tej kardynalnej sprawie mogą tylko Europejczycy. I tylko Europejczycy jako strona zainteresowana mogą wypracować plan przyszłego ładu europejskiego, który stałby się przedmiotem negocjacji. Gdyby Polska i Francja podjęły rozmowy i studia w sprawie zastąpienia konfrontacji współpracą, a w szczególności w sprawie rozwiązania problemu niemieckiego, byłyby to wielki krok naprzód ku ułożeniu Europy.

Węzłem gordyjskim problemu europejskiego są Niemcy. Ponieważ zjednoczenie jest nie do przyjęcia dla Rosjan, a zalegalizowanie podziału Niemiec jest nie do przyjęcia dla Amerykanów — musi być znaleziona trzecia formuła, która byłaby do przyjęcia tak dla Wschodu jak i dla Zachodu.

W dniu 16. 4. 1956 w „Prawdzie” ukazał się komentarz dotyczący neutralnego statusu Austrii. Następujący fragment cytowanego artykułu zasługuje na uwagę:

„Nie jest sprawą przypadku, że w Niemczech zachodnich ludzie z rosnącym zainteresowaniem rozważają ten przykład (Austrii). Coraz częściej słyszy się następujące pytanie: jeżeli mała Austria z 7 milionami mieszkańców nie tylko nie utraciła niepodległości lecz przeciwnie wzmocniła ją — dlaczego niemiecka Republika Federalna odrzuca tego typu politykę? Dlaczego niemiecka Republika Federalna wydawać musi olbrzymie sumy na zbrojenia i ograniczać swą suwerenność na rzecz militarnego bloku zachodniego?”

Trafną wydaje się opinia W. B. Badera wyrażona w interesującej książce „Austria between East and West” (Stanford University Press, California) — że Rosja zgodziła się na status neutralny Austrii, by stworzyć przykład dla Niemiec i „zareklamować” korzyści wypływające z neutralizmu.

Najślabszym punktem w koncepcji europejskiej de Gaulle’a są Niemcy. Generał domaga się zjednoczenia obu republik niemieckich nie oferując Rosji niczego w zamian. Zjednoczenie Niemiec jest nie tylko problemem samostanowienia lecz i zagadnieniem równowagi sił. Jednostki sowieckie w Niemczech wschodnich można albo zmusić do wycofania się siłą — albo ewakuację tych jednostek trzeba wynegocjować — oferując coś w zamian. Zmienić zarówno *status quo* jak i *balance of power* — można by tylko siłą. Jednostronne osłabienie pozycji Rosji nie może być przedmiotem negocjacji, bo Moskwa nie podejmie rozmów w tej sprawie. Pokojowe zjednoczenie Niemiec musiałoby przybrać formę, która nie naruszałaby istniejącej równowagi sił. Innymi słowy, zjednoczone Niemcy nie mogłyby przynależeć militarnie czy politycznie ani do Wschodu ani do Zachodu.

To jest idea bardzo niepopularna. Warto jednak zwrócić uwagę na fakt, że ci sami ludzie, którzy są przeciwnikami neutralizmu — oczekują, że Amerykanie któregoś dnia wynegocjują nowy układ dla Europy i zainicjują „traktat pokojowy z Niemcami”.

Gen. Hermann Ramcke, który w ramach Afriki Korps dowodził brygadą spadochronową — odmówił we wrześniu br. podania ręki korespondentowi „The Sunday Times”, ponieważ w jego opinii nie było traktatu pokojowego z Niemcami i Niemcy *de facto* są w stanie wojny z Wielką Brytanią.

Nie wszyscy Niemcy idą w tej sprawie tak daleko jak gen. Ramcke, nasz stary emerytowany przeciwnik z Afryki, niemniej wszyscy Niemcy obiecują sobie po owym traktacie bardzo wiele. Zaznaczyłem kiedyś przy innej okazji, że żaden traktat pokojowy

nie jest władny przemienić totalnej klęski w zwycięstwo. Lecz w tej chwili chciałbym uwypuklić inny punkt.

Załóżmy dla przykładu, że Amerykanie i Rosjanie zasiadają do stołu obrad i po wielu latach debat i negocjacji — podpisują nowy „generalny traktat europejski”. Na marginesie warto zaznaczyć, że podpisanie traktatu austriackiego było wynikiem 374 (!) konferencji. Gdyby rozmowy w sprawie Europy pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem rozpoczęły się jeszcze w bieżącym roku — Europejczycy mojego pokolenia mieliby niewielką szansę doczekania dnia ostatecznego sfinalizowania i podpisania układu. Jeżeli układ austriacki negocjonowano niemal 5 lat — to układ europejski — o ileż bardziej skomplikowany — być może negocjowano by przez lat 10.

Wyobraźmy sobie jednak, że nadszedł ów szczęśliwy dzień i traktat został podpisany. Cóż ów traktat by postanawiał?

Problem europejski jest powiększonym problemem niemieckim. Podobnie jak Niemcy Europa rozpada się na dwie strefy wpływów: amerykańską i rosyjską. Zjednoczenie Europy musiałoby się dokonać na tych samych warunkach co zjednoczenie Niemiec — to znaczy, zjednoczona Europa musiałaby być wyłączona z systemów wojskowych tak Stanów Zjednoczonych jak i Związku Sowieckiego. Każde inne rozwiązanie byłoby nie do przyjęcia dla super-mocarstw, ponieważ zmieniałoby światowy *balance of power*. Oba super-mocarstwa gwarantowałyby granice i kontrolowałyby pułap ściśle określonych liczebnie, lokalnych armii. W sumie zjednoczona Europa byłaby Europą neutralną.

Osobiście nie przewiduję rozwoju po liniach naszkicowanych powyżej. Dwa największe mocarstwa Europy zachodniej — Niemcy i Francja hołdują dwóm sprzecznym koncepcjom politycznym. Niemcy ufają, że sojusz z Ameryką i poparcie najpotężniejszego mocarstwa świata umożliwi im kiedyś dokonanie zjednoczenia obu republik niemieckich bez konieczności przyjmowania statusu neutralnego. Gen. de Gaulle natomiast ufa, że Europa zdoła z czasem własnymi siłami wydobyć się spod politycznej i militarnej hegemonii obu supermocarstw.

Potencjalny rewizjonizm niemiecki cementuje *status quo* w Europie. Na 20-letni układ Chruszczow-Ulbricht Stany Zjednoczone odpowiedziały deklaracją, że dołożą wszelkich starań by wspomóc Niemcom w dziele pokojowego zjednoczenia. Powtórzono przy tej okazji tezę poczdamską, że o finalnym wytyczeniu granic zadecyduje traktat pokojowy. Stanowisko Waszyngtonu w tej sprawie nie uległo zmianie. Amerykanie nie mogą oficjalnie uznać granicy na Odrze i Nysie, muszą popierać legendę o traktacie pokojowym — ponieważ w przeciwnym wypadku w opinii niemieckiej mogłyby się dokonać niebezpieczne przesunięcia ku Wschodowi.

Gen. de Gaulle nie zdołał przekonać Niemców. Prasa niemiecka oceniła jego przemówienia w Polsce bardzo krytycznie. Niemcy mają kult siły we krwi i wiedzą, że polityki siły nie można robić bez siły. Wiedzą również, że nie od Polaków i nie od

Francuzów zależy zjednoczenie Niemiec tylko od Rosji i od Ameryki.

Europa niewątpliwie mogłaby w znacznym stopniu uniezależnić się od obu super-mocarstw gdyby była zjednoczona. Lecz nie jest zjednoczona.

III

Wizyta gen. de Gaulle'a w Polsce była w wschodnioeuropejskiej perspektywie dużym wydarzeniem. Przede wszystkim należy podkreślić, że Prezydent Francji był pierwszym zachodnim mężem stanu, który przemawiał do Polaków bez „uzgodnionych” tekstów — całkowicie swobodnie. Przełamał izolację która sprawia, że Polacy czują się odcięci od Zachodu.

Przemówienia de Gaulle'a nie są obliczone na bezpośredni efekt polityczny dziś czy jutro. W jego planach — podobnie jak w nim samym — zmysł historyczny bierze górę nad zmysłem politycznym.

Jeden z dziennikarzy francuskich towarzyszący Prezydentowi w jego podróży po Polsce — po przemówieniach w Sejmie zauważył: „obserwujemy „zderzenie” surrealistycznego przywódcy pragmatycznego narodu z pragmatycznym przywódcą surrealistycznego narodu”.

Powyższą frazę można by uznać za genialne sformułowanie, gdyby Gomułka był pragmatykiem. Niestety, Gomułka jest doktrynerem i z pragmatyzmem nie ma nic wspólnego.

Robert Elphick w reportażu z Polski wspomniał o bezimiennej staruszce w Katowicach, która ze łzami w oczach powiedziała Prezydentowi, że jest szczęśliwa, ponieważ dożyła dnia jego wizyty w Polsce, choć martwi ją fakt, że Generał może trochę za wiele okazuje przychylności komunistom.

W Polsce nie łatwo jest uchwycić różnicę pomiędzy surrealizmem a pragmatyzmem. De Gaulle był gościem komunistycznego rządu polskiego. Jest zrozumiałe, że nie chciał wygrywać nastrojów społeczeństwa przeciwko rządowi. Budzi natomiast zastrzeżenia osoba adresata. *Detente-entente-cooperation* jest programem nie do przyjęcia dla satelickiego rządu w Warszawie. Jestem jak najdalszy od zoologicznego anty-komunizmu — wydaje mi się jednak, że należy rozróżnić pomiędzy komunizmem sowieckim, chińskim i jugosłowiańskim z jednej strony, a komunizmem polskim, czechosłowackim i węgierskim z drugiej strony. Komunizm sowiecki, chiński i jugosłowiański posiada pewne cechy autentyzmu. Rosjanie nie mogą powiedzieć, że ich obecny ustrój został im narzucony z zewnątrz. Bez względu czy się ów ustrój komuś podoba czy nie, to jest autentyczny rosyjski produkt. Natomiast w Polsce komuniści po 20 latach nie zdołali przełamać fasadowości ustroju. Polski komunizm w roku 1956 miał szansę uautentycznienia się w obliczu społeczeństwa — lecz Gomułka ową szansę zdławił. Z tych przyczyn Rosjanie nigdy nie myślą o *liberation* tylko o przebudowie. Polacy natomiast

myślą jeszcze o „wyzwoleniu” w sprzyjających warunkach, ponieważ obcego ustroju nikt nie przerabia tylko go odrzuca. Warunkiem ewolucji komunizmu w Polsce musiałby być drugi Październik, który usynowiłby rewolucję w opinii społeczeństwa. Wówczas dopiero ożyłby w Kraju ruch reformy i przebudowy — bo reformować można tylko własny ustrój a nie cudzy.

Ochab, którego oficjalnym gościem był generał de Gaulle nie życzył sobie by prezydent Francji złożył wizytę kardynałowi Wyszyńskiemu. Wizyta de Gaulle'a u kardynała byłaby więc dyplomatycznym *faux pas*. Lecz Generał ma tak wyjątkową pozycję, że mógł śmiało pozwolić sobie na taki gest. Kardynał Wyszyński jest nie tylko dostojnikiem kościoła lecz również reprezentuje niewspółmiernie większy odłam społeczeństwa polskiego niż Gomułka. Gdyby Prezydent odwiedził Prymasa zarzuty wysuwane w pewnych kołach, że wizyta wzmocniła jednostronnie prestiż rządu komunistycznego — byłyby bezpodstawne.

W Europie na przestrzeni ostatnich lat 30-tu wszystko uległo zmianie lecz nie stosunek Francji do Polski. Problemem zasadniczym Francji tak dziś jak i w przeszłości są Niemcy. De Gaulle popiera ideę zjednoczenia Niemiec, ponieważ trudno odmówić Niemcom prawa do narodowego samostanowienia w ramach politycznej filozofii de gaulle'izmu. Francja w stosunku do Niemiec, nawet przyjaznych, potrzebuje przeciw-wagi. Owa potrzeba zostanie jeszcze silniej zaakcentowana w chwili zjednoczenia Niemiec. Polska nie może dostarczyć owej przeciw-wagi. W obecnych warunkach owej przeciw-wagi dostarczyć może tylko Rosja. W przeszłości Francuzi szukali zawsze najsilniejszego sprzymierzeńca przeciwko Niemcom. Jeżeli poparcie rosyjskie można kupić za poświęcenie interesów polskich — Francja poświęci nas bez wahania i nikt nie może brać jej tego za złe.

Gomułka podkreślił, że Francja po raz pierwszy w dziejach nie musi wybierać pomiędzy Polską a Rosją. Istotnie tak jest i dlatego w „Le Figaro” ukazała się karykatura de Gaulle'a, który przerażony uciska warszawiaków wznoszących okrzyki „Vive la Pologne Libre!” Polska to nie Kanada. Prezydent nie pozwolił sobie na żaden gest, który byłby pro-polski lecz równocześnie anty-rosyjski. Pozwolił sobie natomiast na wiele gestów bardzo nieprzyjemnych dla Niemców.

Tradycyjny stosunek Francji do Polski ulegnie zmianie, gdy nasza pozycja w stosunku do Rosji ulegnie zmianie. Jeżeli kiedyś Związek Sowiecki przekształci się w nowoczesny związek państw, a Polska z satelity stanie się równorzędnym partnerem nowej Rosji — wówczas prezydent Francji lądując w Warszawie będzie mógł wznieść okrzyk „Vive la Pologne Libre!” nie obrażając Moskwy. Wtedy Polska nie będzie dla Paryża „namiastką” Rosji, lecz niezależnym partnerem Rosji o którego względy należy zabiegać. Dziś, jeżeli Ochab i Gomułka nie robią żadnej różnicy pomiędzy Polską a Rosją — trudno wymagać od Francji by traktowała nas odmiennie. Fakt, że okrzyk „Vive la Pologne Libre!” uważany jest tak przez rząd polski jak i przez prezydenta

Francji za równoznaczny z manifestacją anty-rosyjską — stanowi przerażający dowód satelickości Polski Ludowej.

Generał de Gaulle Anglosasom działa nieprzeprawcie na nerwy. Lecz dla Polaka, nawet krytycznie oceniającego pewne jego posunięcia — jest postacią sympatyczną. Generał nie jest ani technokratą ani biurokratą. Jest ostatnim z galerii wielkich postaci europejskich z minionej epoki, z epoki w której indywidualność, dar słowa i wizji znaczyły więcej niż komputery.

Wystarczy porównać świetne w formie, zaskakujące, kontrowersyjne przemówienia de Gaulle'a z „drętwą mową” komunistycznych przywódców — by zrozumieć entuzjazm Polaków z których połowa to ludzie młodzi, którzy po raz pierwszy w życiu usłyszeli i zetknęli się twarzą w twarz z historyczną postacią zachodnioeuropejską.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Co wysłać teraz ?

**PO CO PUDŁOWAĆ, SKORO POINFORMUJE
NAJLEPIEJ NAJNOWSZY BIULETYN T A Z A B A
*** (TRZY GWIAZDY)**

„POLO” bluzki, z kołnierzykiem lub „Golfy”? Ortaliony?
Jeżeli tak, to tylko dobre i ze wszystkimi „szykanami”
bo dobry gatunek najlepiej się opłaca.

OSTRZA do golenia „Gillette Super Silver”, kalkulujące się u
TAZABA: £1 ca 500 zł sprzedają się „jak bułki” po 12-15 zł
za sztukę. Łącznie z wysyłką: 50 szt. 29/6; 100 szt. 55/-;
500 szt. £ 12.15.0; 1000 szt. £ 22.15.0.

Biuletynami ***, najnowszymi cennikami najbardziej aktualnych
leków angielskich, niemieckich, szwajcarskich
i doświadczeniem 20 lat służby

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB 22 Roland Gardens, LONDON, S.W.7.
100 East 10th St., NEW YORK 3, N.Y.
tel.: Alganquin 4-4161

LIBELLA

[illegible]

GALERIE LAMBERT

[illegible]

CASSEL GALLERY
8a Thurloe Place,
London, S.W.7.

Dziennik z Ghany — 1966 (I)

Przed podróżą

Bezlik drobnych kłopotów i niepokojów.

Jak urobić przymiotnik od nazwy: Ghana? „Ghanajski” (jak gothajski od Gotha)? „ghanejski” (jak egejski od Egea)? „ghaneński” (jak parmeński od Parma)? „ghanański” (jak koreański od Korea)? Może być jeszcze: „ghański...”.

Przez tygodnie ciągną się szczepienia ochronne: przeciw tyfusowi, paratyfusowi, żółtej febrze (*yellow fever*), czarnej ospie (*smallpox*). Po każdym zastrzyku zjawia się gorączka. Zupełnie dziecinna myśl: co się dzieje w organizmie z tymi szczepionkami? jak „współżyją” ze sobą? czy każda zaczyna się w innym kąciku i czyha na wroga? Wyobraźnia jest najbardziej bezradna wobec naszego własnego wnętrza. Dlatego tak często zawodzi, tak często wpada w popłoch.

Komplikacje z wizą. Listy telegramy, telefony w trójkącie: Chicago-Waszyngton-Accra.



Gabriel Marcel pisał o podróży, o podróżowaniu jako typowym przeżyciu egzystencjalnym. Konfrontuje ono „ja” z „nie-ja”, rozszerza zakres doznawanej rzeczywistości. Bezsłownie usiłuję sobie przypomnieć, gdzie to czytałem. Nachodzi mnie cierpka refleksja o pisarzach przemijających w nas jak przemijają miłości. Ileż, ilu ich było: zupełnie nieznanymi w Polsce Goldsworthy Lowes, Dickinson, którym pasjonowałem się w pierwszych latach po wojnie, Péguy, Marcel...

Uwaga Marcela tylko kodyfikuje, przekłada na język filozoficzny fakt dawno odkryty przez poezję w arcyobrazie, w metaforze nad metaforami: życie jako podróż i wędrówka, lot przed

siebie, płynięcie po falach naprzemian wzburzonych i spokojnych. Gdyby tu był Hostowiec, zaczęlibyśmy się przerzucać cytatami. Są one zresztą zebrane w rozmaitych „Dictionaries of Quotations”.

Dalszy ciąg tych refleksji: żadna podróż nie zaspokaja, nie nasycza, nie ucisza. W porządku doczesnym, w wymiarze czysto ludzkim i wyłącznie ziemskim jest to bodaj nie do osiągnięcia lub trudno osiągalne. W tym zawiera się może metafizyczny, religijny sens podróżowania.

◆

Nagle myśl naiwna: może przedziały rasowe, różnice barwika skóry to jest jedno z wielu wyzwań, które człowiek musi podjąć na drodze prowadzącej do człowieka i człowieczeństwa. Odpowiedzią na to wyzwanie jest dojrzeć pod innym kolorem identyczną substancję, nie gorszą, niżę gatunkową, lecz identyczną. Gorzki pogłos tej myśli: przecież człowiek zawsze mnożył przedziały i przegrody, szukał pretekstów do wywyższenia się, samopotwierdzenia kosztem kogoś innego. Nad różnicami organicznymi, tkwiącymi w samej naturze rzeczy: różnicami siły biologicznej, wrodzonych uzdolnień, urody, wdzięku — piętrzył różnice nieorganiczne, czysto formalne, czysto urojone jak tytuły, rangi, „dobre urodzenia” (często z ciemnymi zakamarkami).

Zniechęcenie do tego tropu: może to być *sentimental fallacy*, pozostałość chrześcijańskiego egalitaryzmu moralnego. „Wszyscy ludzie są równi wobec Boga” — niestety nie są, za żadną cenę nie chcą być, równi wobec siebie.

„Wszystkie dzieci Boga mają skrzydła” — śpiewa się w piosence amerykańskich Murzynów, ale ten anielski atrybut nie przeszkadza dzielić się, nienawidzić i zabijać wzajemnie.

◆

Swoją drogą nie bez pożytku jest podważanie utrwalonych sugestii, wrywanie słów z otoczek skojarzeniowych. Białe — czarne, to przeciwstawienie zawiera w sobie asocjacje: czysty, niewinny, anielski — brudny, skalany, diabelski. Coś z tego osadziło się w magicznym myśleniu, w popularnym przeciwstawieniu: biali — czarni. W rzeczywistości biali nie są biali, czarni rzadko są naprawdę czarni, raczej kawowi, czekoladowi, podpalani, smagli, śniadzi. Bardzo sprzyjam propozycji C. P. Snowa, żeby zamiast: *white* mówić: *pinko-grey* (różowo-szary). Skojarzenia otaczające termin zaproponowany przez niego są zupełnie odmienne, o wiele skromniejsze. Jest to odejście od *chiaroscuro*,

od prostackiego podziału świata ludzkiego na czarno-białe, białe i czarne. Jest to wprowadzenie komplikacji. Wolę komplikację od prostactwa: jest intelektualnie ciekawsza i społecznie bezpieczniejsza. (Można by dla równowagi zamiast: *black*, mówić np. *brownish-grey*. Wcale ładna gama kolorystyczna: *brownish-grey* i *pinko-grey*).



Oczywiście wiozę do Afryki amerykański problem murzyński. Wiozę problem do jego źródła, do jego punktu wyjścia. W czasach nowożytnych i w dzisiejszej cywilizacji, którą nazywamy „atlantycką” narodził się on właściwie na „Złotym Wybrzeżu”, na wybrzeżu obecnej Ghany.

Najpierw coś co brzmi jak paradoks. Problem murzyński w Ameryce? Ależ w Ameryce nie ma Murzynów! Rzeczywiście. Rzadko kiedy można spotkać „czarnego”, naprawdę „czarnego”, naprawdę murzyńskiego. Domieszka tzw. białej krwi (okropny i absurdalny obraz!) jest tak wielka, że często z typu afrykańskiego nie pozostało nic prócz pigmentu. Nie wiem czy to jest potwierdzone przez genetykę, lecz wydaje się, że pigment, czynnik najbardziej zewnętrzny, zawieszony w jakimś pokładzie epidermy jest czymś najbardziej upartym, jest znamieniem, piętnem, czymś co przypomina piętno wypalane żelazem.

Wyjeżdżam ze Stanów wśród wrzawy zaburzeń rasowych. Idą przez ten subkontynent jak fala pożaru. Właśnie wraz z falą upałów. W Chicago zaczęły się od tego, że czarne „nastolatki” zaczęły się chłodzić wodą z otwartych hydrantów przeciwpożarowych.

Obserwator ukształtowany w szkole liberalnej, przybysz z zewnątrz, staje szybko, może zbyt szybko, przed pokusą bez nadziei. Problem murzyński w takich chwilach wydaje się problemem niemożliwym do rozwiązania, kwadraturą koła, impasem bez wyjścia, chorobą nieuleczalną.

Myślę, że na jego zawilgość składa się skrzyżowanie, splątanie dwu konfliktów: psychologicznego i ekonomicznego, ukrytych residuów, głęboko wkorzenionych kompleksów irracjonalnych i konkretnej, leżącej na wierzchu, dostrzegalnej gołym okiem, dającej się wymierzyć nierówności społecznej. W podświadomych pokładach Murzynów trwa pamięć wyzysku, upokorzeń seksualnych, nadużywania ich kobiet, w podświadomości zbiorowej *pinko-greys* tkwi odruchowa pogarda dla podludzi, dla niewolników, przypominająca odruchową pogardę dla popańszczyźnianych chłopów w Polsce. Na tym fundamencie wspiera się klasyczny konflikt klasowy między uprzywilejowanymi i upośledzonymi, mającymi więcej i mającymi mniej, mieszkającymi w nowoczes-

nych blokach, w zacienionych willach i gnieźdzących się w brudnych gettach.

Słyszałem, że ktoś wpadł na pomysł bardzo radykalnego rozwiązania „kwestii” (jak się mówiło w XIX wieku): dać każdemu Murzynowi określoną, rzecz jasna, możliwie małą sumę dolarów i „odesłać” do Afryki. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść, odjechać statkiem transatlantyckim, nawet odlecieć samolotem odrzutowym. To jest zbyt proste, żeby przystawało do skomplikowanej rzeczywistości. Można pominąć ukryte w słowie „odesłać” echo złowieszczonego słowa „przynieść” (odesłać? jak? tym samym prawem gwałtu jak się przywoziło?). Trudno przeoczyć fakt, że Murzyni amerykańscy czują się Amerykanami, współbudowniczymi tego olbrzymiego kraju, współtwórcami jego wielkości i siły. Wyrwani przemocą ze swego gruntu zapuścili tutaj korzenie. Mieszkają tu często od kilku stuleci. Mówią tutaj naszym językiem, myślą naszymi kategoriami. W pewnej chwili zjawił się syjonizm amerykański, lecz miał dosyć niespodziewany skutek. Pobudził ruchy nacjonalistyczne w Afryce (ghanajski Nkrumah był uczniem głównego syjonisty Marcusa Garveya). Nie skłonił Murzynów amerykańskich do powrotu na macierzysty kontynent. Dziś chyba nikt o tym poważnie nie myśli. Richard Wright dał całkiem dobitny wyraz dystansowi, jaki go dzieli od ojczyzny afrykańskich przodków.

Prawie magiczne tabu odgradza od innego rozwiązania: od interwencji najsilniejszego z popędów, od mieszanych małżeństw, mieszania kolorów. Z biologicznego, antropologicznego, genetycznego, po prostu ludzkiego punktu widzenia nie ma żadnych przeciwwskazań, ale psychologicznie rzecz biorąc ta integracja integralna, ta znowu zbyt prosta recepta nie ma żadnych widoków zastosowania.

W pewnych, coś szesnastu, Stanach *miscegenation* (znana pod jeszcze wymowniejszą nazwą *Rassenschande*) jest ciągle przestępstwem ściganym przez prawo; w jednym z nich znana jest historia pary biało-czarnej, która żyje pod wyrokiem sądowym, choć jakoby otoczona powszechną sympatią. Ogółem w całych Stanach łączy się z sobą rocznie mniej niż dwa i pół tysiąca białych i czarnych.

Po stronie murzyńskiej jest też wiele zapór. W książkach świetnego pisarza murzyńskiego Jamesa Baldwina („Another Country”) można wyczytać, w jego sztuce („Blues for Mr. Charlie”) można dosłyszeć motyw seksualnego lekceważenia białych przez czarnych, przypisywanie białym lęku przed przewagą seksualną czarnych.

◆

Europejczycy i Amerykanie często patrzą na nową Afrykę z lekceważącym pobłażaniem jak na podwórko zaludnione przez swawolnych Dyziów. Widzowie z górnego piętra na przemian gorszą się i bawią ciągiem buntów, rewolucji, błyskawicznych zmian, samosądów, procesów i wyroków pokazowych. Zawodzi ich pamięć ile czasu, mokołu, cierpienia i krwi kosztowało wytworzenie rygorów cywilizacyjnych, form współżycia zbiorowego. A przecież i one po stuleciach raz po raz nie wytrzymują próby, raz po raz zawodzą. Do dziś biała cywilizacja zna państwa, które są więzieniami narodów, do dziś toleruje łagry i kacety. Nie tak dawno biernie przyglądała się systematycznemu ludobójstwu.



Dawniej miałem naskórkowy, czysto wrażeniowy, „estetyczny” czy „estetyzujący” stosunek do podróży i podróżowania, do poznawanych krajów, pejzaży, miast, ludzi, form życia. Teraz pragnąłbym podróżować nie po wierzchu, lecz w głąb, drażyć zbitą, mroczną, przekrwioną, unerwioną substancję świata. Może to jest jeszcze jedno potwierdzenie opozycji Kierkegaarda: estetyczny — etyczny, potwierdzenie jego tezy, że każdy z nas przechodzi od konsumpcyjnego do moralistycznego pojmowania bytu.

Gdy kiedyś, dawno, byłem w Jugosławii (mój pierwszy wyjazd z kraju za granicę) prawie wbrew mojej woli narzuciło mi się napięcie między Chorwatami i Serbami, którzy żyją w obrębie jednego państwa (co znaczy mało), mówią jednym językiem (co znaczy grubo więcej) a należą do dwu ciągle antagonistycznych kręgów kultury. Gdy po wstrząsach rewolucji i kontrrewolucji pierwszy raz podróżowałem po Hiszpanii, właściwie nie chciałem nic o nich wiedzieć; co najwyżej bawiła mnie malowniczość, paradoksalność pewnych zderzeń np. „Calle de Marx” opodal majestatycznej jak odwieczny bór katedry tolekańskiej (miałem sposobność później stwierdzić, że ta nazwa przeminęła bez śladu). Teraz w Ghanie interesuje mnie bardziej głębia i dno, niż powierzchnia. Jest w tym trochę ironii, że jadę tam w celach estetycznych (na konferencję poświęconą muzyce ludowej).



Pierwsze zetknięcie z Ghaną — w Rzymie: na piazza Barberini szły przez całą szerokość drugiego piętra: GHANA AIRWAYS. To jedna z mocarstwowych ambicji Nkrumy. W praktyce widać nie bardzo aktywna i niezbyt popularna. W sobotę wszystkie agencje na placu i w jego sąsiedztwie są czynne, lokal „Ghana Airways” zamknięty na głucho. Próbuje się otrzymać

jakieś dodatkowe informacje w otwartych kantorach, lecz wszędzie natykamy się na mur niechęci, na bierny opór.

Niedziela

Odjazd z lotniska Leonardo da Vinci, który z brzydkiego pomnika wśluchuje się w ogłuszający pogłos swojej myśli o człowieku latającym po niebie.

Samolot pełny, dość gęsto skropiony czarnym kolorem. Przeważnie dzieci wracające ze szkół angielskich do domu.

Pierwszy akcent tropikalny: wilgotne serwetki zwinięte w rurkę i podawane z tacy szczypcami jak paszteciki. Oczywiście nie do jedzenia, lecz ochłodzenia spotniałej twarzy.

Od Palermo zaczyna się zabawa ze zmienianiem czasu. Buntuję się przeciw temu, jak przeciw wyzwaniu zdrowego rozsądku. Postanawiam nie ruszać mego zegarka aż do Accry — mety w Ghanie.

Tea. Sandwicze wielkości breloków od zegarka ze sztucznym łososiem i jeszcze z czymś, co jest wysublimowaną, niedającą się określić namiastką — namiastką „samą w sobie”, czystą abstrakcją namiastkowości.

Nad Afryką północną w wylot okienka uderza nigdy nie widziane światło: zawiesina cynamonowego pyłu, wodnista czekolada z wiotkimi kłaczkami śmietanki. Samolot unosi się ponad tą gastronomią w sklepiastym niebie intensywnie błękitnym, jak na fresku.

Sahara: z niewidzialnego dna podpływają w górę wszystkie odmiany sjeny, gumiguty, ochry — mielonej na najcieńszy miąż, przesiewanej przez najgęstsze sito, alchemicznie destylowanej. Widok dla Bonnarda.

Przed Ghaną ta *symphonie en beige* głuźnie w burych chmurach. Potem otwierają się arktyczne krajobrazy — trąby śnieżne, eksplozje i wodotryski białej pary, szczyty górskie niekiedy filuternie przecięte wpoprzek jak szpilką nieprawdopodobnie cienkim pasmem. Ale przeważają obłoki wertykalne, dramatyczne, barokowe.

To co się odsłania za tą scenerią, uderza kontrastem. Pod skrzydła samolotu podpływa ziemia uboga, może przypominająca Sabaudię. Gdybym sobie sam tego nie powiedział, nigdybym się nie domyślił, że to jest Złote Wybrzeże. Rzadkie drzewa czy krzaki. Tu i ówdzie pola doczepione do zielonej runi jak łany. We wgłębieniach miniaturowe trzódki (krów? owiec?). I nagle w tym pejzażowym samodziale dwa pasy asfaltu czy betonu jak gładko szmelcowana blacha.

Gdy siadamy na ziemi, brudne, fioletowe łachy zaciągają widnokrąg. Na zewnątrz wilgotna duchota: 85°F. Wokół samolotu sami czarni; przy schodkach *stewardess*'a z prominentnym kuprem osadzonym na strzelistych nogach. Żelbetowy dworzec lotniczy, zakrojony na wielką skalę stoi w oplocie rusztowań, o tej porze (na moim zegarku mierzącym czas europejski minęła ósma) całkowicie zamaryły.

Odprawa paszportowa i celna odbywa się w nisko przycupniętym baraku z napisem, zdawkowym powitaniem i pobożnym życzeniem: WELCOME TO GHANA — AFRICA MUST UNITE. Wewnątrz kłębi się zgiełk pod ciemnowym, jakby przydymionym światłem. Rodzice, krewniacy spotykają dzieci, które przyleciały razem z nami. Odbywa się to z wybuchową czułością, namiętym całowaniem w usta. Wniebowzięta mama w jedwabnej chustce kłębiasto związanej na głowie, ze sporą serwetą czy nawet pomniejszym ręcznikiem w jednej ręce i smukłą parasolką w drugiej. Papa-olbrzym z wypukłą piersią, lśniący politurowaną skórą, noszący na sobie jak rzymską togę niebieski perkal w białe kropki. Tłum pociotów i powujów uszczęśliwionych, rozwierających się w szerokich uśmiechach. Coraz to ktoś inny poprawia małemu, onieśmielonemu delikwentowi europejski krawat, dotyka tweedowej kurtki, uderza go po plecach.

Na skraju jednej z takich grup młoda kobieta-kangurzyca *à l'envers*. Nosi na pośladkach dziecko przytroczone kawałkiem płótna. Jego główka wprzód wtula się pomiędzy łopatki, potem odchyła się na bok i patrzy na świat z kangurzej torby. W pewnej chwili matka zluźnia węzeł nad piersiami i poprawia coś w brzemieniu. „Problem”: jak u kangurów wyglądają te rzeczy z pieluszkami?

Walizki zabiera wyrostek w wielobarwnej, trykotowej, zgniecionej koszulce. Daje mu *a quarter* (jedna czwarta dolara). Gałki wywrócone z ekstazy, uśmiech wniebowzięcia. Nie wiem czy, że to krążek ze srebra (dość lichego) czy kawałek „twardej waluty”?

Porywają nas do samochodu z napisem „Ministry of Education”. Jadą obok nas Kanadyjka z cygańskimi kólkami w uszach i zwalista angielska *spinster* znana z poprzednich kongresów. Przy wyjeździe z lotniska odbywa się jedna kontrola, zaraz potem druga. W stosunku do nas jest to czysta formalność, ale ciężarówkę pełną tubylców jadącą przed nami, strażnicy obchodzą kilka razy dokoła i z wszystkich boków kłują latarkami elektrycznymi.

Jedziemy do *campusu* uniwersyteckiego w Legon, kilka mil przed Accrą, przez kraj płaski i pusty, leżący pod uciskiem spazmatycznego zmierzchu, tchnący przenikliwą melancholią. Po kilku minutach wita nas biała brama i oszalała serenada świersz-

czów. Poprzez tę kakofonię przebija się jakiś inny głos: jakby klaskanie, jakby uderzanie pałeczek z dźwięcznego drewna.

Umieszczają nas w „Ford Foundation”, w jednym z pięciu czy sześciu jednopiętrowych pawilonów gościnnych połączonych otwartymi na przestrzał, przewiewnymi klatkami schodowymi. Jest tu europejski i amerykański komfort: elektryczność, gorąca woda, łazienka i *airconditioning*.

Wokół roztacza się noc pełna głosów i dotykanej, lepkiej wilgoci. Wysoko na wzniesieniu świeci wieża z czarną pięcioramienną gwiazdą — znakiem państwowym Ghany — na szczycie. W ciemności błyskają świetliki. Pilnuje nas stróż uzbrojony w maczugę średnich rozmiarów i wielką, dalekosiężną latarkę elektryczną.

Nazajutrz. Poniedziałek

Od samego rana niebo zaciąga śniada, ciężka opona. Powietrze jak w cieplarni. To widać nieuniknione, jeśli mieszkamy przy Orchid Road — Drodze Storczyków, a na szutrowanej ścieżce wokół ściany kuca ropucha obciążona szarym aksamitem. Jest ciszej niż wczorajszego wieczoru, lecz cykady cierpliwie stroją instrumenty i zapamiętałe grają gamy.

Campus University of Ghana leży na pochyłości wprzód wznoszącej się łagodnie, u końca gwałtownie wspiętej w górę. Bielone wapnem budynki parterowe, piętrowe, najwyżej dwupiętrowe, stoją w olbrzymim podzwrotnikowym parku. Rozglądając się po nim, uświadamiam sobie, że nie znam nazwy ani jednego drzewa, ani jednego krzaka, ani jednego kwiatu. O nieświeta ignorancjo humanistów!

Plan *campusu* jest prosty, a jednocześnie pełen wymyślnych sztuczek. Podstawowe założenie stanowi krzyż, dwie arterie przecinające się pod kątem prostym. Podłużna biegnie od trójtworzystej bramy, którą wjechaliśmy wczoraj, do Commonwealth Hall na skłonie wzgórza; gdy się patrzy z jego przedsionka widać wszystko na przestrzał: schody, tarasy, połączone schodami, obramione altanami, czarną drogę i biały wylot. Poprzeczną arterię zamykają z jednej strony biblioteka uniwersytecka, z drugiej jeden z największych pawilonów, Mensah Sarbah (nazwisko działacza politycznego z epoki kolonialnej).

W to krzyżowe, ściśle symetryczne założenie są wpisane fantazyjnie kołujące drogi i dróżki, wielkie płaszczyzny zieleni, zgrupowania drzew i krzewów. W pawilonach rozmaitej wielkości powtarzają się urzekająco w niezliczonych kombinacjach te same i ciągle odmienne elementy: kamienne patia otoczone

arkadowymi podcieniami i gankami, sadzawki miękkie w kamiennym obramieniu jak żywa tkanka, kwietne rabaty, bukiety drzewne. Commonwealth Hall ma trzy patia czy *cortile*, wznoszące się tarasowato jedno nad drugim: pierwsze kwadratowe, drugie podłużne, trzecie znowu bliższe kwadrata niż prostokąta. Jest to jak wariacja muzyczna, jak nawracanie tych samych motywów w coraz to odmienionym, wzbogaconym ujęciu. Między dolnym a centralnym *cortile* na granicy schodów stoi brązowy Hermes z uskrzydłonymi nogami. Lewą ręką sięga kostki, jakby chciał naprostować lotkę, w prawej zamiast pochodni trzyma — czerwoną żarówkę. Jest to dość śmieszne, lecz jakoś rzewne.

Przychodzi mi to łatwo wybaczyć, bo *campus* w Legon jest jednym z najpiękniejszych wśród tych, które znam. Jest jedyny w swoim rodzaju. Wytrzymuje porównanie z majestatycznym dwurzędem kubów wkleszczonych w kamienny grzbiet pod Jerolimą, z oxfordzkimi *college*'ami pełnymi poezji starożytnych krążganków klasztornych, z nieopisanym urokiem, majestatyczną intymnością miasteczka uniwersyteckiego Harvard University, z neogotyckim czworobokiem The University of Chicago, zacienionym gotycką zielenią.

Śniadanie w wielkiej sali jadalnej Commonwealth Hall. Wszystko jak w *college*'u angielskim. Pod ścianą głębną stół na podwyższeniu z krzesłami obitymi czerwoną skórą; na ścianie herb uniwersytetu i jego zawołanie *Truth stands*. Nie mam pewności czy tak jest, czy jest zawsze, lecz wiem, że powinno być.

W *campusie* wszędzie się coś robi: ścina, kopie, plewi, sadi. *Man power* ciągle jeszcze prawie nic tu nie kosztuje, a ten czarujący ośrodek jest zapewne jednym z reprezentacyjnych miejsc Ghany.

Pierwsze spostrzeżenie zoologiczne: olbrzymie kawki czy gawrony, gawrono-kawki, ornitologiczne *grapefruit*'y, wielkości sporych kaczek, hebanowo czarne z białymi księżymi kołnierzykami i białymi, kelnerskimi gorsami. Brodzą po murawie stukając tępo dzióbskami, siedzą na szczytach dachów ciężko i niepewnie jakby za chwilę miały się poturlać po ich pochyłości.

Po południu pierwszy raz i na własną rękę w Accrá (wymawia się z przyciskiem na wygłosowym „a”). Kontrast jak uderzenie obuchem. Środek miasta jest kakofoniczną mieszaniną afrykańskości i europejskości. Nieliczne, wielopiętrowe bloki stoją wśród mrowia krzywych domków, prawie chałup. Woda płynie głębokimi, odkrytymi ściekami. Nie ma bruków. Niektóre ulice świecą pierwotną nagością. Drewniana, szeroko rozsiadła stacja kolejowa przypomina Otwock czy coś w tym rodzaju.

Podobny chaos w strojach zwłaszcza męskich: luźne koszule,

burnusy, togi zarzucane na lewe ramię, rozmaite kombinacje ubioru europejskiego. Kobiety odziane bardziej jednolicie, przeważnie okutane w zwoje taniego perkalu. Większość z nich wygląda jak trójgarbne wielbłądy: noszą dziecko na plecach, drugie w brzuchu i brzemię na głowie. Wśród tego wszystkiego policjant kierujący ruchem w białym mundurze, w białym hełmie tropikalnym i białych nicianych rękawiczkach. Wydaje się, że jest świadom swojej szykowności i celebrytuje ją z upodobaniem.

Miasto roi się od ludzi. Wszędzie, także na garbatych, spadzistych chodnikach bezlik sprzedawców obojej płci i każdego wieku aż do kilkuletnich berbeciów. Sklepiki mieszczą się na tacy, w wiaderku, na skrawku gałganu. Cały towar stanowi często kilkanaście pudełek z zapalkami, garstka orzeszków ziemnych, dwie, trzy kupki cienkich racuchów, skłębiony wzgórek łaszków, który można by zmieścić w zamknięciu dłoni. Jakaś dziewczynka chce nam sprzedać jeden posiadany cukierek. Wszędzie przelewa się „zachodnia” tandeta fabryczna, nawet straszliwe święte oleodruki. Ale jest sporo oryginalnych i zabawnych kombinacji: skrybowie z maszynami do pisania urzędujący w cieniu drzew; zamawiaczka uzbrojona w różaniec z żółtymi paciorami wielkości śliwek.

Wszystko razem trochę jak w sennym rojeniu. Jest pora sjeisty: na ulicach sami czarni. Gdy spotyka nas jakaś biała dziewczyna, uśmiecha się ostentacyjnie. Białą jest jeszcze tylko manekin na szyldzie „salonowego krawca”, który ma warsztat w wysokiej suterynie piętrowego domku. Trzy kilkuletnie czarnulki wywalają sine białka na pończochy mojej Towarzyszki Życia i Podróży; jedna przygina kędzierzawą główkę prawie do jej pięty, żeby z bliska sprawdzić tę niewiarygodną osobliwość.

Wracamy do Legon autobusem (w tamtą stronę studenci podwieźli nas samochodem). Znowu jesteśmy jedyni *pinko-greys* i prezentujemy jedną parę nylonowych pończoch. Prócz obustronnego zainteresowania nie ma chyba żadnego napięcia. Studiuję topografię czaszek u dziewczyn siedzących przed nami. Mają włosy albo krótko obcięte, porastające w ścisłe, sprężyste futerko, albo dłuższe pracowicie ukrecone w rurki, dzielące sklepienie głowy według równych przedziałków — wygląda to jak geometryczny, abstrakcyjny tatuaż. W pewnej chwili tuż obok siada czarny chłopiec z rudą, spłaszczoną głową: czyżby mama zapatrzyła się na Szkota? Nie tylko wyrostki, ale często i dziewczyny mają blizny na policzkach: są to ślady rytuału wtajemniczającego lub magicznego zabiegu, który ma zniechęcić złe moce od sięgania po łup tak otwarcie skażony. Przy wychodzeniu żegna mnie wspaniałe, ciemnobrązowe, baniasto wzdęte wymię, którym młoda kobieta karmi dziecko.

Wieczorem księżyc w niezwyklej miejscu — pośrodku nieba. Jak zwornik odlany ze srebra. Czarny firmament tak gęsto nabity gwiazdami, że zdają się wypychać wzajemnie, wyłazić jak gwoździe i guzy z miękkiego pluszu.

W łazience z obu kurków dymi wrzątek. Przesada.

Wtorek

Na niebie trwa czas przedburzowy, stan ciągłego napięcia. Co jakiś czas zanosi się na deszcz, spada nawet kilka ołowianych kropel. I za chwilę spoza skraju burzy przebija się stłumiona wieść, nikła obietnica pogody. A potem znowu wraca napięcie, między niebem i ziemią rozgrywa się dramat.

Trochę pocieszam się w mojej botanicznej ignorancji, zaczynam się rozeznawać w tutejszej florze. Okrągłak bambusowy jak olbrzymia różga liktorska. Palmy rozmaitych rodzajów: beczkowate, bulwiaste u nasady, po sosnowemu proste i smukłe, wachlarzowate czy palczaste. A te kwiaty to Coralita — wyglądają jak urwane z nici paciorki, więcej jeszcze: jak różowe kropelki.

Działa mi na nerwy logika białych Amerykanów obserwowana tutaj nie po raz pierwszy: Murzyni afrykańscy są interesujący i atrakcyjni; własni, „ulepszeni”, „podrasowani” — wzbudzają pogardę. Kompleks winy? kompleks konkurencji klasowej i seksualnej?

W naszym apartamencie jest taka wilgoć, że rzeczy wiszące w szafie wyglądają jak świeżo wyjęte z wody. Ręczniki nigdy by nie wyschły, gdybyśmy ich przez cały dzień nie trzymali przed aparatem klimatyzacyjnym, puszczone na całą parę.

Środa

Otwarcie konferencji. Ma się odbyć w budynku, który tworzy poprzeczny, głęboki bok ostatniego *cortile* Commonwealth Hall. Dopiero z okien sali na pierwszym piętrze dostrzegam, że oś podłużna *campusu* wcale się tutaj nie kończy, jak myślałem. Za tym budynkiem jest kamienny amfiteatr dla koncertów i widowisk na otwartym powietrzu, włączony w naturalną pochyłość terenu. Za nim jest przegroda asfaltowej drogi i jeszcze dwa kompleksy architektoniczne zgrupowane wokół obszernych podwórców. Dopiero na ostatnim z nich stoi dekoncentrycznie, w rogu,

smukła biała wieża z czarną gwiazdą na szczycie, widoczna z każdego miejsca w *campusie* i daleko poza nim — coś między *campanile* a minaretem. Tu jest mózg i serce uniwersytetu: biuro wicekanclerza, biura administracji. Na tym podwórku wieńczącym wzgórze i we wspaniałej auli odbywają się uroczystości akademickie: inauguracje, promocje itd. W tym szczytowym punkcie kompozycji przestrzennej do szczytu dochodzi wariacyjność elementów składowych: kamiennej płaszczyzny i białej bryły, wody i zieleni. Nie mogę się tym dostatecznie nacieszyć, bo zbliża się pora otwarcia. Schodzę w dół i wracam na balkon, zawieszony nad amfiteatrem.

W pewnej chwili bębny grzmą jak na Sąd Ostateczny: sześciu dobośzów w zielonych togach wita czarną limuzynę, z której wysiada dygnitarz. Ma na sobie mundur *khaki* z krótkimi rękawami, ugalonowaną czapkę, w rękę trzyma hebanową pałeczkę ze srebrnymi okuciami. Jest to w jednej osobie pułkownik, komisarz policji, sędzia śledczy i członek Rady Rewolucyjnej Wyzwolenia Narodowego, która obaliła Nkrumę, obciążony przez nią odpowiedzialnością za sprawy kulturalne. Kombinacja dosyć osobliwa i wysoce niesmaczna dla mego po europejsku alergicznego podniebienia. Za bardzo przypomina mi dyrygentów, nadzorców, poganiaczy od kultury, żdanowów wszelkiej maści i formatu.

Ale gdy siada za stołem prezydalnym, zdejmuje z głowy i kładzie przed sobą paradne czapsko, trochę rozbraja mnie chłopcą, pucułowatą buzią z dołeczkami, dobrodusznym uśmiechem zadowolenia z siebie i z okazji. Przyglądam się wicekanclerzowi uniwersytetu siedzącemu obok niego. Również chyba jeszcze nie przekroczył czterdziestki, lecz przedstawia zupełnie odmienny typ fizyczny: twarz podłużna, ostry cienki nos, malutkie uszy mocno przyklejone do czaszki, olśniewające zęby. Gdyby odsączyć z niego kawowy pigment, pewnie trudno byłoby zgadnąć, że to Murzyn.

Wicekanclerz, profesor A. A. Kwapong pełni obowiązki gospodarza i przemawia pierwszy. Mówi *King's English*, jest rzeczowy, zwięzły i precyzyjny. Główne słowo należy do policjanta od kultury. Każdego mówcę witają i żegnają ksylofony, kończy uroczystość grana na nich fanfara.

Prawie zaraz potem jedziemy do Accry na oficjalny obiad w Hospitality Centre. Jest to olbrzymie domiszcze zupełnie nieczytelne w swoim rozkładzie, jak stary dwór polski. Z jakiegoś okna widać stojącą na podwórku wielką emaliowaną wannę i blaszane cebrzyki po gospodarsku odwrócone dnem do góry. Policjant zdołał się przebrać po cywilnemu w szaro-popielate ubranie i krąży wśród wielkiego tłumu. Dowiedziawszy się, że jestem związany z amerykańskim uniwersytetem, deklaruje: — *I am pro-*

American too. — Oh, I see — odpowiadam równie obowiązująco.

Obiad odbywa się na wielkim podwórku, w cieniu namiotu czy *velum* z ghanajskich barw narodowych: czerwień, żółć, zieleń. Goście obsługują się sami czerpiąc z wielkich saganów ryż, kawałki kury i baraniny, jakieś egzotyczne jarzyny. Pierwszy raz kosztuję *yam* — ma konsystencję bardziej zwartą i wyraźnie koncentryczną, lecz w smaku prawie nie różni się od naszych kartofli. Niepatriotycznie czy snobistycznie wolę *yam* od kartofli.

Po obiedzie zabierają nas na długi objazd. Najpierw po Akrze. Stwierdzamy, że jest to szerokie i złożone pojęcie. Obok Accry, którą widzieliśmy dwa dni temu, dawnej i gwałtownie, chaotycznie się modernizującej jest Accra nowa, oficjalna, reprezentacyjna: ministerstwa, urzędy z gankami na zewnątrz, które służą za poczekalnie, przedstawicielstwa zagraniczne kryjące się dyskretnie w ogrodach; wśród nich najbardziej wystawna ambasada amerykańska, kopia starożytnego domu drewnianego stojącego na słupach.

Do tej strefy należy wyniosła, wielopiętrowa, rozłożysta budowla, rozmiarami chyba zbliżająca się do siedziby Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku. Gdy ją mijamy, przewodnik mówi z uśmiechniętą ironią: — *Our white elephant* (nasz biały słon). Jest to teoretyczna kwatera główna Unii Afrykańskiej rozonej przez Nkrumę, zbudowana za zawrotną ilość milionów wyciśniętych z państwa na dorobku, z nieskończoną ilością potrzeb, z nieskończoną ilością braków. Nie ma Nkrumy, nie ma Stanów Zjednoczonych Afryki i dalej do nich, niż w obecnej chwili z ziemi do księżyca. W tym budynku nie odbyło się ani jedno zebranie. Podobno nie nadaje się on do niczego, nawet do tego, żeby urządzić w nim hotel. Gdy go mijamy, brama kuta w czarnym żelazie jest zamknięta na głucho i w olbrzymim obejściu, w którym można by manewrować kilku pułkami, nie ma śladu życia. Myślę: w polityce czymś najbardziej kosztownym, najbardziej groteskowym i czymś najbardziej niebezpiecznym jest niewspółmierność między „chcieć” a „móc” — z niej biorą początek wszystkie mocarstwowe brednie, strzały w próżnię i okrucieństwa.

W reprezentacyjnej orbicie mieści się Plac Jedności Afrykańskiej z tandetnym graniastym obeliskiem i herbami państw Afryki oraz Plac Czarnej Gwiazdy, którą unoszą w powietrzu trójkątne płaszczyzny stojące sztorcem, zdające się urągać prawom równowagi. Jeszcze łuk prawie-rzymski dla uczczenia niepodległości z napisem: A.D. 1957 FREEDOM AND JUSTICE, parlament z kolumnami (do niedawna stał przed nim pomnik lokalnego *caudillo*), duży, rozległy budynek zbudowany przez czerwonych Chińczyków, gdy mieli widoki urządzić się w Ghanie

(teraz należy do harcerstwa) — i objeżdżamy Accrę przemysłową. Tu fabrykuje się brandy na wywóz, tam przetwarza ziarna kakaowe. Dalej ciągnie się niedawno osuszona laguna. Gdy jej grunt osiadzie, stanie się parkiem (w innej części widzieliśmy park publiczny w trakcie porządkowania).

Jeszcze szpital, szkoła pielęgniarek wśród wielkich drzew, piaszczystych drózek i jedziemy do miejscowości noszącej nazwę Tema. Leży 18 mil na wschód od Accry. W nowym planie pomyślana jest jako jej bliźniacze miasto: port i ośrodek przemysłowy. Przez dobrą chwilę autobus sunie brzegiem morza — rosną na nim rozchwiane palmy i stają przed nim dęba atlantyckie fale. Niedługo potem wjeżdżamy na nowiutką, gładką jak stół, betonową autostradę: to ten podwójny pas, który widziałem z samolotu.

Wokół autostrady roztacza się kraj płaski i pusty. To co w tej pustce wyrasta z jałowej ziemi jest nowe jak z igły, nowoczesne, *dernier cri* — kolonie domów, składy, m.in. spichlerz owocowy przypominający po trochu fortecę, fabryki, jakieś targowiska, które wyglądają jak olbrzymie, jeszcze niezamieszkałe ule z betonu. Okrągłutki, pękaty przewodnik z Departamentu Kultury promienieje szczęściem pokazując te cuda.

Wprzód wjeżdżamy do portu handlowego. Jest to port sztuczny, wszystkie falochrony idące głęboko w ocean są pracowicie usypane z kamieni. Czytam nazwy okrętów stojących na redzie: „Ilyn Repin”, „Agyasi Manko”, i wielopiętrowy „Liverpool”.

Objeżdżamy doki, budynki fabryczne, dźwigi wokół portu. Olbrzymia palczasta, pajęczynowa instalacja służąca do ładowania kakao wprost na statki (Ghana wytwarza i wywozi więcej niż połowę tego czekoladowego złota w formie ziarnistej, pół przetworzonej na „masło kakaowe”, a nawet próbuje wysyłać gotowe wytwory). Zaraz opodal wypucza się niska, czarno-srebrna kopuła nowej wytwórni aluminium, opleciona koronkowymi gankami, wyprostowanymi kranami. Gdzieś dalej jest rafineria złota (Ghana zajmuje piąte miejsce w światowej produkcji tego metalu; ma kilka tysięcy złotników).

Jeszcze port rybacki — rozprażony na słońcu zapach ryb, spiętrzone skrzynie, torsy rybaków ze szmelcowanej stali, kobiety dźwigające kosze na głowach — i wracamy do *campusu*. Wprzód autostradą wśród pustkowia kryjącego w sobie obietnicę nowych kształtów, potem bardziej zawiłymi, może odwiecznymi drogami. Widzialny z daleka zegar na wieży biblioteki uniwersyteckiej wydaje się znajomy, wskazuje drogę „do domu”.

Wieczorem pierwszy pokaz w School of Music, Dance and Drama, stanowiącej część czy odnogę Instytutu Studiów Afry-

kańskich w uniwersytecie ghanajskim. Program olbrzymi, prawie trzygodzinny.

Sliczne dziewczyny i dorodni chłopcy. Tańczą całą duszą i całym ciałem: łopatkami, brzuchem, łokciami, zluźnionymi kciukami rąk i palców; pięty raz po raz błyskają w powietrzu plamami jaśniejszymi od reszty ciała. Tak samo ruchliwa jest mimika: oczy, rzęsy, brwi i czoło, wargi i kredowo-białe zęby. Szyja nie jest kolumną, ale młodym konarem, giętką łodygą. Być może ta integralność tworzy główną różnicę tutejszego tańca z zachodnim i wschodnim. W szkockim *reelu* poruszają się tylko nogi, w hinduskiej *natyi* czasem tylko ręce lub tylko głowa i szyja.

Wszyscy tancerze są świetnie wyćwiczeni, ale popadają w stan upojenia. Są zdolni powtarzać to samo niezliczone razy w zupełnie hektycznym, ciągle rosnącym, już prawie niemożliwym tempie. Taniec z Dahomeju odtworzony na koniec wyściska z nich siódme i siedemdziesiąte poty. Wszystkim tańcom nadano baletowe układy. Położono wielki nacisk na wydobycie wdzięku. Kostiumy są uładnione przez wprowadzenie jedwabnych tasiemek, aksamitu, złotych galonów, lśniącej rafii. Tylko muzyka — bębny różnego rodzaju, ksylofony, piszczałki, grzechotki — wydaje się pierwotna. Nie brakuje w tej szkolnej sali ćwiczeń nawet efektów świetlnych w nie najlepszym guście i niekoniecznie potrzebnych.

Jest to właściwie zaczęcie od końca, od tej strony, po której chcąc nie chcąc znajdujemy się my wszyscy lub prawie wszyscy, biali widzowie. W języku fachowców nazywa się to *acculturation of folklore* i oznacza przyswojenie, kultywowanie, artystyczną obróbkę, estetyczną delectację sztuki ludowej. Folklor w czystej postaci jest czymś żywiołowym, organicznym, czymś co stanowi instynktowny wyraz stosunku do życia i świata, do jego instancji widzialnych i niewidzialnych, czymś co tworzy składową część, manifestację osobowości indywidualnej i zbiorowej, coś co się przekazuje z pokolenia na pokolenie, z ust do ust, z oczu do oczu, ze słuchu do słuchu, jak całą wiedzę o bycie, jak całe nagromadzone doświadczenie egzystencjalne. To czego uczy się w szkole, co się przedstawia na scenie, co uprawia się świadomie z pobudek sentymentalnych czy estetycznych, dla celów rozrywkowych czy komercyjnych nie jest już oczywiście folklorem w ścisłym, właściwym znaczeniu słowa.

Na poczekaniu tworzę robocze określenie kolejnych faz rozwojowych zjawiska: spontaniczna, sentymentalna, perwersyjna. Ghanajczycy są w fazie, przez którą przeszliśmy za czasów romantyzmu. Można by ją określić jako fazę przed „Mazowszem”. Bardzo być może, iż w jutrzejszej Ghanie pieśni, tańce, melodie będą istniały tylko w ghanajskim „Mazowszu” i będzie ono za-

rabiąło dewizy na szerokim świecie. (Dopisek późniejszy: w czasie naszego pobytu w Ghanie Londyn oglądał zespół z Dahomeju, w Amsterdamie natknęliśmy się na afisze grupy tanecznej z Sierra Leone — z dwu pomniejszych krajów leżących w pobliskim sąsiedztwie).

Zwierzam się z moich wątpliwości naszemu staremu przyjacielowi Klausowi Wachsmannowi, który spędził wiele lat w Ugandzie, a teraz jest profesorem etnomuzykologii na uniwersytecie w Los Angeles, i jednym z najwybitniejszych jeśli nie najwybitniejszym znawcą muzyki afrykańskiej. W odpowiedzi słyszę filozoficzne pocieszenie: — *Don't worry, it is inevitable. But you know, they happily haven't the Western sophistication.*

„Pocieszałem się” sam, myśląc przez cały czas długiego pokażu o „L'âme de la dance” Valéry'ego, z przekorą wypatrując co w tym jest nie murzyńskie, afrykańskie, „czarne”, lecz zwyczajnie ludzkie: na własny sposób wyrażony paniczny i humorystyczny stosunek do świata, mocowanie się z jego zagadką i igranie z jego urodą, walka o byt, flirt, sublimacja seksu.

Sroda

Amerykanki i Kanadyjki nie kryją się tutaj z atrakcją wywiebraną na nie przez ciemny pigment. Dlaczego w swoich krajach nie mają tej samej odwagi i szczerości? Może wiele rzeczy wyglądałoby inaczej, gdyby się umiały na nią zdobyć.

Na sali konferencyjnej w Commonwealth Hall toczy się rozprawa na temat *Multi-part Technique in Folk Music and Dance*. Dzielę się między salę a lokalną bibliotekę — zaciszną i chłodną — która znajduje się dokładnie w tym samym miejscu o piętro niżej. Mam czas rozmawiać z ludźmi i książkami.

Ghana jest przeniknięta i poruszana młodym nacjonalizmem. U jego dna leży głęboki uraz kolonialny. Szuka on kompensacji, samopotwierdzenia, poczucia własnej wartości w egzaltowaniu cech odrębnych.

Niepodległe państwo nie ma jeszcze dziesięciu lat, a naród, który w nim mieszka na dobrą sprawę stworzyli Brytyjczycy, ostatni i może najbardziej ludzcy, choć zimni i wyniośli kolonizatorzy Złotego Wybrzeża, mało co rozumiejący i niezbyt ceniący jego odrębność, usiłujący narzucić mu standartową „białą” kulturę. Granice Ghany, prawie regularne boki prostokąta, wyznaczyła nie geografia, nie historia, nie język, lecz mechanistyczna logika ekspansji kolonialnej.

Geograficznie jest to przekładaniec, pajda przekładańca zło-

żona co najmniej z trzech warstw: pasa przymorskiego, górzystego *bushu* w środku, *sawanny* na północy. Językowo jest to aglomerat wielu narzeczy, grup i podgrup językowych, które wzajemnie się nie rozumieją. Usiłuję się zorientować w tej płataninie i daję za wygraną. Ktoś powiedział, że Ghana liczy tyle narzeczy, ile szczepów. W r. 1960 radio ghanajskie, nawiasem mówiąc potężna aparatura rozbudowana przez Nkrumę dla propagandy panafrykańskiej, nadawała program w siedmiu językach prócz angielskiego. Młoda jeszcze telewizja ucieka się przede wszystkim — do angielszczyzny. Ten przywoźny język obcy jest wspólną mową Ghanajczyków. Ich *lingua franca*. Każde dziecko uczy się w szkole języka macierzystego regionu i języka Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Angielski jest językiem oficjalnym parlamentu, sądów i prasy.

Wzbogacam moje spostrzeżenia zoologiczne obserwacją dwu rodzajów jaszczurek. Jedne są jasno-brązowe, jak rzeźbione z topazu, nie większe od tych, które spotyka się w Europie; mają ościste długie ogony i śmiesznie przebierają łapkami. Inne są dziwaczne i trochę straszne. Nadmiernie kolorowe, pasiaste: łebek żółty, tułów ciemno-zielony, ogon w dwa pasy, czerwony i czarny. Są kilkakrotnie większe od tamtych. Sprzed potopu.

Po południu w szkole, w której wczoraj oglądaliśmy pokaz tańców — *workshops*, lekcje bębnienia, gry na ksylofonie i tańca.

Właściwie dopiero teraz zaczynam pojmować poezję bębna. Jest ich wiele rodzajów: cylindryczne, wysokie na dwie trzecie człowieka, baryłkowate, kwadratowe bez pudła rezonansowego, z jedną membraną lub dwiema, wreszcie małe, przewężone w środku „jak klepsydry” (*hour-glass shaped*), które trzyma się pod lewą pachą i przyciska się po kobziarsku lewym ramieniem, jednocześnie uderzając w pergaminową błonę. Jest wiele technik bębnienia: nasadą, „piętą” dłoni, palcami, pałeczkami. Jest, wydaje się, nieskończona ilość rytmów. Nawet najprostsze z nich biali chwytają z trudem. A gdy uchwycą, ulegają intoksykacji, bębnią z zapamiętaniem. W pewnej chwili bębnią wszyscy, sala huczy ogłuszającym hałasem.

Lekcje kroków i ruchów tanecznych odbywają się w małych studiach. Czarujące dziewczyny napraszają się do uczenia. To co robią goście jest żalosnym przedrzeźnianiem. Młodzi tubylcy zrazu patrzą na to jak na widowisko, śmieją się do rozpuku. Potem ulegają magii zrytmizowanego ruchu. Pokazują już nie w pojedynkę, ale w kilkoro, otaczają spotniałego delikwenta z obu stron, poruszają się przed nim. Inni tańczą dla siebie — tylko dlatego,

że grają bębny, że na żelaznym prymitywnym metronomie ktoś cierpliwie poddaje rytm. Malutkie izby wypełnia tłok i rwetes.

Wśród tego zamętu chodzi Mr. Opoko, kierownik i dyrektor szkoły, choreograf wczorajszego pokazu. Jest podobno synem *chieftain'a* (naczelnika szczepu), ma nos obrzmiały od alkoholu, mówi amerykańską angielszczyzną aż zbyt bulgoczącą z pośpiechu. Jest patriotą ghanajskim, zakochanym w muzycznej i tanecznej urodzie swego kraju. Mówi i demonstruje bez przerwy. Nie chcący potwierdza to co myślałem wczoraj: — „*We want to create out of it the dance of our era*”. Ożeniłbym go z Mirą Zimińską.

Wieczorem żaby drą się jak opętane w sadzawkach szczerze rozsianych na wszystkich poziomach i we wszystkich kątach *campusu*. Wobec tej kakofonii koncert żab w „Panu Tadeuszu” wydaje się muzyką komarów. Grzęgotanie jest chwilami tak natężone, że głuży nagrania muzyczne z różnych okolic Afryki demonstrowane na sali kongresowej z taśm magnetofonicznych.

(D.c.n.)

Tymon TERLECKI

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Fragment z dziennika

21. VIII

Myślę i myślę... już trzeci tydzień... nic nie rozumiem! Nic nie rozumiem! L. na koniec przyjechał, oglądał szczegółowo i mówi to samo, że ona warta co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Co najmniej! W tym lesie sosnowym, suchym, trzeszczącym pod podeszwą, niby z Polski, z królewską na góry panoramą, z książęcymi widoki na korowód zamków, St. Paul, Cagnes. Villeneuve, jakby z morza rozświetlonego powstającymi.

Piękny dębowy hall na parterze i trzy duże pokoje w amfiteatrze. Na pierwszym piętrze jeszcze dwa pokoje ze wspólną, ale obszerną, łazienką. Werandy solidne i...

Dlaczego chce tylko czterdzieści pięć tysięcy (ale gotówką)? Czy oszalał? Ten bogacz nieuchwytny... kto zacz? Czyżby mój czytelnik? Czy to dla mnie wyłącznie ta cena? Adwokat mówi: taką mam dyspozycję.

???

3. IX

Nie mogę myśleć o niczym innym.

W każdym razie te dwadzieścia tysięcy też mi nieco ułatwią...

7. IX

Kupić?

9. IX

Kupiłem.

ROZMOWY Z DOMINIKIEM DE ROUX

II. *Pamiętnik z okresu dojrzewania*

Pierwsze utwory, które jako tako mnie zadowoliły, to opowiadania:

Tancerz mecenasa Kraykowskiego

Pamiętnik Stefana Czarnieckiego

Dziewictwo

Zbrodnia z premedytacją.

Napisałem je, gdy miałem lat dwadzieścia cztery-pięć. Czytelnik francuski znajdzie je w wydaniu zbiorowym moich opowiadań „Bakakai”.

Próbowałem pisać już od jakiegoś szesnastego roku życia. Dręcząca rozpiętość poziomów cechuje te moje początki, było to naiwne, niezdarne — gdy ja sam nie byłem już ani taki naiwny, ani niezdarny. Pióro mnie zdradzało. Cierpiałem. Doprowadzony do rozpacz, postanowiłem w okolicach dwudziestego roku życia napisać powieść, która by była świadomie „zła”, napisać ją tym właśnie, co we mnie było złe, zawstydzające, nie do ujawnienia. Kto wie, czy nie była to rzecz najśmielsza ze wszystkich moich... i może ważna. Ale dałem ją do czytania w maszynopisie pewnej pani, do której miałem zaufanie, która wierzyła we mnie. Przeczytała, oddała mi maszynopis bez słowa i odtąd nie chciała mnie widzieć. Ja w przerażeniu spaliłem utwór. Nic nie zostało.

Minęło parę lat i napisałem Tancerza. To wydawało się dobre, to już — ujrzałem — było literaturą. Odtąd zacząłem naprawdę uprawiać pisanie.

Nieraz zadawałem sobie pytanie, które zapewne i panu się nasuwa, dlaczego ten właśnie, a nie inny, gatunek pisarski stał się wówczas moim? Tak fantastycznie, ekscentrycznie, dziwacznie zacząłem — dlaczego? Dlaczego to zostało od razu oderwane od normalnej rzeczywistości, pchnięte w manię, w szaleństwo, w absurd nie pozbawiony wszakże uroczystej logiki, w jakąś celebrację nonsensu? No tak, to sobie wyrobiłem — jak już mówiliśmy — w moich z matką dyskusjach; ale takie uzasadnienie jest niewystarczające i niewątpliwie owa arystokratyczna forma, rozlubowana we własnym blasku, podszyta jest moimi prywatnymi i wstydliwymi nędzami. Były one dotkliwie, niepokojące... wyrażając się słowami jednego z moich bohaterów „sytuacja moja na kontynencie europejskim stawiała się z każdym dniem przykrzejsza i bardziej niewyraźna”.

Zna pan już atmosferę wczesnej mojej młodości. Oto w kilku słowach dalsze moje dzieje.

Ja wciąż byłem „pomiędzy”, w niczym nieosadzony.

Oddano mnie do szkoły w Warszawie, katolickiej, pełnej młodych książąt i hrabiów. Snobizm dał się silnie we znaki moim braciom i mnie, było to coś poniekąd nieuniknionego w naszym świecie — a jednak było to też dziwne, bo my nie byliśmy tacy głupi, by nie dojrzeć wszystkich jego śmieszności i całej nicości. Więc była to u nas jakaś mania snobizmu, czy jakaś zabawa w snobizm, i ta mitologia kiepska i ośmieszająca dobrała się do nas i nie popuszczała. Dziwne! Dziwne! Gdyż nie byliśmy snobami i, jeśli przypatrzeć się naszemu życiu, żaden z nas nie zrobił najmniejszego wysiłku w tym kierunku, Janusz był odludkiem, mieszkającym na wsi sobiepanem, Jerzy w bridża grał z kim popadło, ja o ileż za leniwy byłem i za wygodny żeby do salonów wysokich przenikać. Dziwne! Albowiem, mimo wszystko byliśmy snobami, choć, Bogiem a prawdą, nie byliśmy snobami. Formo!

Dorastałem. Trzema osobnymi torami, które żadnego połączenia ze sobą nie miały.

Więc naprzód ja, jako chłopiec z „dobrego domu”, grzeczny, raczej zdrowy, niebrzydki choć i niepiękny, owszem, poprawny, emablujący kuzynki, uczeń ani zły, ani dobry, trochę maminsynek, delikatny, płochliwy, a zarazem kpiarz, gadatliwy, prowokujący, w szkole często nieznośny i bity przez starszych kolegów, towarzyski, lekkomyślny, śmiały i nieśmiały, zależnie od okoliczności.

Po wtóre ja, jako ateista i jako intelektualista i ja, flirtujący już z lekka ze sztuką. Rozstanie się z Bogiem — sprawa wielkiej wagi, bo otwierająca umysł na całość świata — odbyło się we mnie gładko i niepostrzeżenie, nie wiem, jakoś tak się stało, że w piętnastym, czy w czternastym, roku życia przestałem się zajmować Bogiem. Ale chyba i przedtem nie zajmowałem się nim zanadto. Co się tyczy intelektu, to już w szóstej klasie (15 lat) zagłębiałem do kantowskiej Krytyki Czystego Rozumu, przechowały mi się z tych czasów notatki o sądach syntetycznych *a priori*. Spencer, Kant, Schopenhauer, Nietzsche, Szekspir, Goethe, Montaigne, Pascal, Rabelais... czego szukałem w tych lekturach, to stylu, stylu zasadniczego myślenia i zasadniczego odczuwania, niezależności, swobody, szczerości i może mistrzostwa. Pożerałem styl, sposób mówienia, ton, postawę tych ludzi, jak ktoś zgłodniały. Ale tępy byłem, ociężały, jakaś wiejska niezgrabność — i szlachecka naiwność — i słowiańska rozlewność — wchodziły mi w paradę, czułem się głupio.

Po trzecie ja, anormalny, wykrzywiony, chory, degenerat — obmierzły i wyodrębniony — przemykający się chyłkiem, bokami. Gdzie szukać tej skazy sekretnej, która mnie wyrzucała ze

stada ludzkiego? Choroby fizyczne? Ależ poza lekkimi podgorączkami z płuc pochodzącymi, wcale niegroźnymi i częstymi wśród chłopców w moim wieku (co zmuszało mnie do wyjeżdżania w góry na miesiąc, lub dwa) byłem dość zdrowy... coś więc mogło być przyczyną tego rozprzężenia wewnętrznego, wskutek którego ja, chłopiec raczej roześmiany, byłem przedziwną pokraką pokumaną ze wszystkimi zniekształceniami, z całą patologią egzystencji? Byłem — i wiedziałem o tym bez najmniejszego zdziwienia i bez cienia protestu — istotą anormalną, która nigdy i wobec nikogo nie może przyznać się do siebie, skazaną na wieczyste ukrywanie się, na konspirację. Erotyczne siły pchały mnie w dół, na ulicę, w samotne i potajemne awantury z dziewczkami najniższej kategorii na dalekich przedmieściach Warszawy. Nie, nie były to prostytutki, ja w tych nieudolnych przygodach szukałem właśnie zdrowia, tego czegoś elementarnego, najniższego, więc i najrzetelniejszego — coś począć jednak, gdy i to w mych zatrutych dłoniach przemieniało się w groteskę. Powracałem z tych dzikich spacerów do mego życia „przyzwoitego” maminsynka, do mych naiwności chłopca „z porządnej rodziny”. Jak to we mnie współistniało? My wówczas — ja i kilku mych przyzwoitych koleżków ze szkoły — zawiązaliśmy Klub Wycieczkowy i chadzaliśmy na wycieczki za miasto, które to wycieczki były szczytem niewinności i przyzwoitości. Jak mogłem jednocześnie uczestniczyć w tych obu gatunkach wycieczek?

Jak to się we mnie łączyło? Ale to się nie łączyło. I żadna z tych rzeczywistości nie była istotniejsza od innych. Byłem cały w każdej z nich. I nie byłem w żadnej. Byłem „pomiędzy”. I byłem aktorem.

Życie snuło się zwolna naprzód, rozlażłe, kapryśne...

Z dala od polityki i ideologii. Ja sam.

Prywatny. Potajemny. Obok.

Zakonspirowany.

Gdy w roku 1920 (miałem szesnaście lat) bolszewicy przełamali front i doszli aż pod Warszawę, ja, przydzielony do jakiejś tam wojskowej służby pomocniczej, zamiast się rozgrzać doznałem chłodu wprost lodowatego... i to znów mnie wyrzuciło poza... na margines...

Skończyłem szkołę średnią, zdałem maturę (ledwie, ledwie, zawsze z biedą przełaziłem z klasy do klasy; ale przełaziłem). Co robić? Wstąpiłem na wydział prawny uniwersytetu warszawskiego, nie żeby prawo mnie interesowało (pogardzałem), ale żeby móc dalej ciągnąć od ojca pieniądze.

Ukończyłem wydział prawa w Warszawie — niewiele mnie to kosztowało — i znowu: co robić? Zapisalem się z kolei na Institut des Hautes Etudes Internationales w Paryżu. Ten pobyt

w Paryżu, a potem na plażach francuskich w Pyrenées Orientales, to luka ciemna, niewiele pamiętam i myślę o tym, jakbym zaglądał do studni... nie wiem... nie wiem... nasuwają mi się luźne scenki, widoki, ale jakby mnie w tym nie było, jakbym zgubił siebie samego. Jest bardzo możliwe, że owo rozprężenie, w którym już od dawna się znajdowałem, osiągnęło wtedy kulminantę. Jak określić ten stan? Chyba nie tyle czułem się anormalny, ile *wiedziałem* że jestem anormalny i ta świadomość utrzymywała się we mnie wbrew wszystkim oznakom mojej zdrowej przeciętności. Z pozoru najzwyczajniejszy młody człowiek z lekkimi tylko dziwactwami, a jednak nie mający w głębi ducha najmniejszych złudzeń, że jest jak chora owca poza stadem, na bezdrożu, i wydany wszelkiemu najdziwniejszemu kształtowi, jak owe figurki z gutaperki dające się ugniatać na wszystkie sposoby, z których można zrobić największą potworność. Wiedziałem: sam, na ubożu, osobny, dowolny, a więc rozwiąży, a więc rozpasany. I stąd dziwny wytworzył się u mnie stosunek do tego co wstrętne, odpychające, ohydne — gdyż brzydząc się tym, jak każdy, czułem się jednak jakoś temu dostępny i bodaj związany z tym; ale to uczucie wypełniało mnie jeszcze większym obrzydzeniem, do tego stopnia, iż niechętnie przyjmowałem kawałek chleba ręką podany, nie na talerzyku; tak to oscylowałem pomiędzy obrzydzeniem a wewnętrzną zgodą na ohydę. Gdybym nie był z natury lękliwy („przezorny” mawiali ironicznie moi przyjaciele), gdybym nie bał się policji, kto wie czy bym nie zaplątał się w grubsze jakieś przestępstwo — ale bałem się. Czy nie przesadzam? A jednak coś tam musiało być, w tym francuskim okresie mego życia, głęboko skażonego, bo przecież nie jest normalne że to teraz jest dla mnie jakby za zasłoną. Nie jest wykluczone, że byłem wtedy nieco obłąkany (po matce miałem pewne dziedziczne obciążenia).

W tych warunkach wszystkie moje zetknięcia z kulturą francuską spływały po mnie jak woda. Z tej nocy jedno mi pozostało olśnienie. Odkryłem południe. Och, dobrze pamiętam. Byłem w Pirenejach, gdzieś blisko morza, może w Vernet, i grywałem tam w bilard z młodymi robotnikami, którzy pewnego razu mi zaproponowali żebym z nimi pojechał na plażę, dali mi rower, i wszyscy popędziliśmy szosą na tych rowerach, a szosa spadała ku morzu oślepiająca, do tego pomarańcze, wino, i tak ta zawrotna jazda, pomarańcze, wino, blask, żar, światło, przejrzystość, powietrze, wszystko to uczyniło się twarde jak diament... i Południe objawiło się mojej północnej naturze. Gdy dojechalśmy wreszcie byłem tak pijany, że nie wiedziałem jak zatrzymać rower i jeździłem w kółko po jakimś placu. Ale Południe już miałem w sobie — i powitałem to z radością, z ulgą, z nadzieją,

nie jak coś co by samo w sobie było cenne, ale jak jakąś nową zasadę, dającą możliwość manewru. Czy nie dlatego, nie w związku z tym, moje późniejsze życie wybrało sobie Argentynę, czy Argentyna nie była już w tym utajona? Jestem mistyk, gdy pochylam się nad moim życiem.

Moja „przezorność” nie zdołała jednak sprawić bym nie zabrnął w złe towarzystwo, w sprawy podejrzone, związane z przemytem z Afryki do Francji i, choć nic osobiście nie miałem na sumieniu, pewnego poranku musiałem wiać widząc przyjaciół moich w opałach z policją. Powróciłem z Francji do Polski. Co robić? Pojęcia nie miałem. Niby to chciałem być literatem, ale nie bardzo. Żeby jeszcze móc żyć z ojcowskich pieniędzy (nie byłem zdolny do żadnej pracy zarobkowej) rozpocząłem bezpłatną praktykę w sądownictwie. Jako aplikant sądowy brałem udział w sesjach i sporządzałem protokoły. Mało roboty, jedna sesja na tydzień. Wtedy napisałem opowiadania wymienione wyżej i uzupełniłem je jeszcze czterema:

Biesiada u hr. Kołubaj

Przygody

Na kuchennych schodach

Zegluga na brygu Banbury.

I wszystkie (oprócz „Na kuchennych schodach”) złożyłem (ze wstydem) u wydawcy. Ukazały się w roku 1933, w toміe zatytułowanym *Pamiętnik z okresu dojrzewania*. To moja pierwsza książka.



Co miałbym o niej do powiedzenia?

Dziełko aspirujące do błyskotliwości, takie iskrzące świecidełko fantazji, pomysłowości, humoru, ironii. Dziś odczytując te dalekie opowiadania mówię sobie: hm, to jednak bogate, jak to wibruje od spieć niesamowitych, wizji zaskakujących, jak tryska zabawą, humorem, igraszką.

Zgoda. Przyznajmy jednak, że te strony są też ciemne, odpychające nieraz, obrzydliwe.

Tak. Zgódźmy się wszakże, że owe treści odpychające tracą swoją obrzydliwość, gdyż stają się elementami Formy, służą Formie, ich rola jest funkcjonalna, one grają by wytworzyć wyższy kształt, będący już jedynie sztuką.

Zgodzę się więc, że ta maź bezformia, którą w sobie miałem, przeniknęła do tego tomu — ale nie żeby rozlać się śmierzdzącą kałużą, o, nie, wcale! Żeby zabłysnąć kolorami tęczy, roziskrzyć się żartem, uszlachetnić poezją i doznać boskiej niewinności w absurdzie. Jeśli pan zapyta, Dominiku, jak ja widzę dzisiaj te utwory, to powiem że to utwory Uniewinniające, a nawet może

Rozgrzeszające. U zarania mojej twórczości Forma pojawia się jako siła rozgrzeszająca i nieomal boska. Innymi słowy: mogę mieć w sobie wszystkie pokraczności, ale jeśli umiem się nimi bawić, jestem król i władca!

Byłem w życiu mętny, nijaki, bezradny, wydany anarchii, zgubiony na bezdrożach. Chciałem być, na papierze, świetny, zabawny, tryumfujący... ale przede wszystkim czysty. Oczyszczony.

Jednakże powie pan, i nie bez racji, że jest coś nieistotnego w tej książce. Brud jej nie jest dość brudem, niewinność dość niewinnością, ona wymyka się rzeczywistości.

Nic prawdziwszego. Nie umiałem zdobyć się na nic więcej, jak na parodię. Parodię rzeczywistości i parodię sztuki. Przypomina pan sobie, iż od dzieciństwa sztuczność mego pańskiego, ułatwionego, życia była dla mnie zmorą. To poczucie nierzeczywistości nie odstępowało mnie i teraz, zawsze „pomiędzy”, nigdy w czymś, byłem jak cień, jak chimera. I nie skłamię chyba gdy powiem, że jeśli jej, rzeczywistości, szukałem w prostocie, w brutalnym zdrowiu najniższych sfer społecznych na owych wyprawach w robotniczedzielnice Warszawy, to jej, rzeczywistości, szukałem też na owych wewnętrznych terenach, bezludnych, ubocznych, nieludzkich, gdzie grasowały Anomalia i może Bezkształt i Choroba i Ohyda. Gdyż rzeczywistość można odnaleźć w tym, co jest najbardziej zwyczajne i pierwotne i najzdrowsze, ale też w tym co jest najbardziej powykręcane i szalone. Rzeczywistość człowieka jest zarazem rzeczywistością zdrowia i choroby.

Ale te sondaze nie doprowadziły mnie do sedna rzeczy. Nie miałem przeto prawa do napisania książki „rzeczywistej”. Na co mogłem się zdobyć jedynie, to na parodię. Tu styl jest parodią stylu. Tu sztuka udaje i przedrzeźnia sztukę. Logika nonsensu jest parodią sensu i parodią logiki. A mój rzekomy tryumf jest parodią tryumfu.



Jakże okazało się płodne, że zamiast debiutować utworem wysilającym się na szczerość, powagę i autentyczność, puściłem się na takie igraszki i figielki!

Przede wszystkim, gdyby te opowiadania były „szczerze” etc. skłamałbym, gdyż wtedy nie byłem zdolny do szczerości; a kłamstwo nie jest zdrowe dla artysty.

A także parodia pozwoliła mi na wyzwolenie Formy, oderwanie jej od przyziemności, pchnięcie w czysty przestwór, gdzie ona stała się lekka, śmiała i odkrywca. Trzeba dodać, że nie znałem wówczas ani Joyce’a, ani Kafki, surrealizm był mi prawie obcy, a o Freudzie wiedziałem coś nie coś, niewiele. Jeśli coś załapałem z tych natchnień, to o tyle tylko, o ile one były w po-

wietrze, w rozmowach, w dowcipach. Aparat formalny, który uruchomiłem, był więc w dużej mierze moim wynalazkiem. I ten aparat wprowadził mnie znienacka w okolice, do których chyba nigdy nie ośmieliłbym się zajrzeć, gdybym był mniej pijany winem absurdu, gry, mistyfikacji, parodii. Niech pan zajrzy do opowiadań, jak Banbury, Przygody, czy do jakiegokolwiek innego, znajdzie pan tam sytuacje, intuicje, wizje, nie ustępujące w niczym temu, na co później się zdobyłem; i trzeba przyznać, że, w skali moich możliwości, ta pierwsza książka była już niejednokrotnie na poziomie najlepszych moich osiągnięć.

Później napisałem jeszcze oba Filifory, Szczura i Bankiet — lepsze pod względem technicznym, ale nie różniące się zasadniczo od tych pierwszych moich literackich poczynąń. Filifor to tryumf Funkcji nad Ideą (Syntezy i Analizy), rzecz oparta na Symetrii. Szczur jest extra-introwersyjny, a Bankiet przewalający się z pianissima w fortissimo, jest podniesieniem do potęgi.

Cóż w sumie dała mi ta pierwsza książka? Prawie nic, bo cała była grą — i bardzo dużo.



Nazwałem mój tomik „Pamiętnikiem z okresu dojrzewania”.

Niezgrabny tytuł! Kalkulowałem, że wpłynie korzystnie na sprzedaż. Ale zawiera się też w nim ta naiwność moja ziemiańsko-szlachecka; u progu debiutu ogarnął mnie lęk, chciałem by wiadano, że ja to tak na początek, że to próbka, wstęp do czegoś lepszego. (Bardzo wstydziłem się wówczas pisania, kryłem się, chowałem papiery, gdy ktoś wchodził do pokoju. I do dziś żenuje mnie tyleż bezwstyd początkujących literatów — „jestem poetą” — co parada z pawio rozczapierzonym ogonem owych Uznanych i Zatwierdzonych w rodzaju Cocteau, czy Aragona z Elzą).

Pamiętnik z okresu dojrzewania ukazał się w roku 1933, i ja, wyszedłszy tego dnia na ulicę, wiedziałem, że coś ze mną stało się decydującego.

Te utwory dałem już do czytania w maszynopisie kilku przyjaciółom, Tadeuszowi Brezie, Adasiowi Mauersbergerowi i jego siostrze, Toniowi Sobańskiemu. Przyjęli je jak najlepiej, miałem więc od pierwszej chwili ludzi co we mnie wierzyli — i do nich przyłączyli się inni. Ale to były opinie prywatne. Poczęły się sypać recenzje w gazetach. „Młody pisarz nie umie jeszcze się wypowiedzieć”. „Gombrowicz słusznie w tytule podkreślił swoją niedojrzałość”. „Autor hołduje pretensjonalnej niezrozumiałości”. „Miejmy nadzieję że pan Gombrowicz spoważnieje z wiekiem”.

Jakby mi zatańczono po twarzy. Cofnąłem się, ogłupiały, w trwodze. Jakaś niejasność... Po raz pierwszy doznałem na

własnej skórze krytyki literackiej, która, niestety, w znakomitym procencie jest i pozostanie oślim rykiem, *nota bene* oślim rykiem przez megafon (prasy). Nagle najgorsza hołota intelektualno-artystyczna Warszawy — jakieś zacne ciotki kulturalne, jakieś belfry, jacyś koneserzy, jacyś mędrkowie i „strażnicy wartości”, wszystko płatne od wiersza — zaczęli mnie obkładać swoimi pośpiesznymi, powierzchownymi, łaskawymi i głupowatymi osądami. Byłem obiektem, nie mogłem się bronić.

Nie wszystkie recenzje były aż tak tragiczne. Ale było ich dosyć bym poczuł się zlekceważony w tym, co miałem najcenniejszego. I cóż z tego, że tu i ówdzie zakwitał jakiś entuzjasta? Prasa głosiła moją niedojrzałość. „Witold został skrytykowany” mówiono w mojej rodzinie z pewnym ubolewaniem.

— — — — —

14. IX

Już wymierzanie — już obliczanie, obmyślanie — spory.

Chcę żeby makata Jaremy o głębokich i soczystych zestawieniach czarno-zielono-ryżawo-włóknistych stała się w hallu o dębowych boazeriach odpowiednikiem złotawo-rudawej tapisserie Marii Sperling, nasyczonej czarną siatką rytmów... a zawieszzonej tam, u końca amfilady, na ścianie mego gabinetu.

Cztery natężone i wariackie Głazy, dwa strukturalnie przejrzyste Stankiewiczze, tudzież sześć mocno ściętych ciszą rozwibrowanych Sperlingów przeznaczyłbym (gdyby mnie usłuchano) do dwóch pierwszych pokoi, natomiast dwa staroholenderskie płótna, cenny prezent Read'a, niech pójdą na ściany mego gabinetu.

Jaremy czerwień (po której mam „spacerować”, mówił) niech się wielobarwi między szafą flamandzką, a drzwiami mego gabinetu.

Chagall?

Kłopot z jadalnym.

Gdybyż ona chciała mi sprzedać te foteliki...

Dziś już siedziałem, co prawda na prowizorycznym stołku, w okrągłościach wielookiennych mego gabinetu.

14. IX

List od Basilia z Argentyny, że „Henryk” płynie już jednym ze statków linii C do Cannes, żeby mi „sprawić niespodziankę”.

???

Witold GOMBROWICZ

Jak być dzieckiem ?

Problemy świadomości, trapiące człowieka przez całe życie, zaczynają się w komunizmie męcząco wcześniej. Stąd, trudno jest być dzieckiem w komunizmie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. W demokracji dziecko jest wolne od wszystkiego, co nie jest sprawą dziecka, ma bezcenne prawo do nieświadomości. Zagadnienia związane z wyborem, rozróżnianiem, wartościowaniem mają dlań wyłącznie znaczenie pedagogiczne. Wspaniałą, niepowtarzalną wygodą dzieciństwa jest tam wolność od nakazów krytycyzmu, które obowiązują dorosłego w każdej chwili. Dziecko ma prawo do zachwyków i wiar niekontrolowanych przez rozsądek, instynkt samozachowawczy, czy ironię. W komunizmie jest ono dziecku odmówione, anulowane przez konstrukcję codziennego życia.

Komunizm, po zdobyciu władzy, nabiera cech religii państwowej. 50 lat wyczerpujących analiz, badań i opisów rzeczywistości wykazały dokładnie bolesność i śmieszność tego truistycznego na ogół stwierdzenia. Uświęcanie treści ideowych i obyczajowych jest właściwością i przywilejem religii państwowych i komunizm hojnie z niego korzysta. Beatyfikacja ludzi i zdarzeń nie stanowi na ogół źródła cierpień dla poddanych komunizmowi mas ludzkich; społeczeństwa produkują szydercze antytoksyny, dowcip rozsądza fałszywe liturgie. Jedyną grupą społeczną, bezbronną wobec zakłamania sztucznych świętości, są dzieci.

Dziecko jest uczulone na świętość, łaknie jej, jego świadomość jest żywną glebą dla istnień wyniesionych przez pobożność,

* Rozdział drugi większej całości pod tytułem: „Jak żyć w komunizmie”.

dobro, szlachetność, piękno i przeznaczonych do adoracji. Za niczym dziecko tak nie tęskni jak za charyzmą i namaszczeniem, jak za uwielbieniem. Zaś komunizm o niczym innym nie marzy goręcej jak o tym, ażeby być wielbionym w wzniesionych przez siebie strukturach pojęciowych, w świątyniach własnego znaczenia, w osobach władców władających w imię komunizmu, charyzmatycznych i namaszczonych.

Od najwcześniejszych chwili obudzenia świadomości dziecko otoczone jest więc przez symbole i znaki, które ma wielbić. Częstotliwość ich powtarzania się na każdym kroku naciska bezlitośnie na miękki mózdek dziecka. I dziecko wielbi, adoruje kolor czerwony, sierpy i młoty, godła państwowe. Wcześniej zaczyna dostrzegać postacie: wszędzie wokoło roi się od Marksów, Leninów i pomniejszych, lokalnych świętych. Stoją na pomnikach, wiszą na ścianach miejsc publicznych, widnieją na transparentach, pełno ich w książkach, gazetach, telewizji. Wzbudzają nabożny szacunek swym uświęconym wyglądem, od zarania kojarzą się dziecku z jakimś nadrzędnym porządkiem i nieokreśloną potęgą. Gdyby poprzestano na tym zaszeregowaniu wrażeń i ich odbić w świadomości dziecka, dzieciństwo nie doznałoby większego uszczerbku: we wszystkich systemach społecznych podaje się dziecku barwne postacie oficjalne do zabawy w naiwne uniesienie. Ale komunizm ma wobec dziecka cele dalsze, niż przeпоjenie go uwielbieniem i szacunkiem. Komunizm pragnie miłości, chce aby dziecko go pokochało. W tym celu uruchamia niezwykłą maszynę oddziaływania na świadomość i percepcję, sięga do zróżnicowanych środków przekazu, nie gardzi żadnym chwytem. Dostojne i pełne godności Leniny i Staliny przeobraża w ukochane, tkliwe Leniny i Staliny przy pomocy retuszu. Dziecko nie wie o specjalnych zakładach poligraficznych, których zadaniem jest usilna, benedyktyńska praca nad zmianą wyrazu twarzy dostojników partyjnych i państwowych. Całe zastępy specjalnie szkolonych retuszerów pracowały mrówczo w Rosji Sowieckiej aby z twarzy Lenina, która emanowała rzadką wprost złośliwością i chytryością, uczynić twarz ukochanego wujaszka, za którym przepadają dzieci i który skłonny jest oddać im swój złoty zegarek na pewną zagładę. Stalin, jak wiadomo, odznaczał się obliczem, wobec którego Al Capone zdrętwiałby z przerażenia, bandytyzm jego natury, podłość i okrucieństwo charakteru biją wprost z każdej, nieocenzurowanej fotografii; lecz od czego wykwalifikowani retuszerzy? W milionach żłobków i szkół podstawowych na obszarze całego imperium widniał ojcowski portret Stalina, ozdobiony tak promienistym uśmiechem, że nie było chyba dziecka, które nie śniłoby o tym, że wdrapuje się na kolana generalissimusa i ciągnie go za wąsy. A co tu mówić o armii

pochlebnych, służalczych malarzy i ilustratorów, którzy w setkach milionów książeczek dziecięcych rysowali Stalina jako uosobienie wszelkich słodyczy. Z czasem doszło do tego, że można było odnaleźć rysy Lenina, Stalina, Ulbrichta, czy Mao w buziach Sierotek-Maryś, Królewien Śnieżek i Czerwonych Kapturków, podczas gdy Duży Zły Wilk miał zawsze w sobie coś z Trumana, lub Eisenhowera. Powie ktoś: prezydenci, ministrowie i kandydaci na senatorów w demokratycznym kapitalizmie, żądni poklasku tłumów, też lubią fotografować się pochyleni nad płowymi główkami dzieci, brać je na ręce i całować w pyzate policzki z fałszywym uśmiechem pseudo-dobrotliwości na przebiegłych wargach i w oczach szperających za wyborcami. To fakt, ale ten ckliwo-przymilny uśmieszek jest łatwo zauważalną maską, kryjącą naturalną odrazę do wilgotnych nosków i niepewnych pupek. Demokratyczni mężowie stanu nie retuszują swej prawdziwej natury i dzieci jakoś to czują, nie traktują ich poważnie, nikt tu nie rozprawia o miłości, ufności, oddaniu — i to jest uczciwa gra. Konwencja życia, na to nie ma rady, tak się składa, że w pewnej chwili politycy potrzebują dzieci, rzadziej dzieci polityków, ale żadnych deklaracji o uczuciach i żadnego wzajemnego okłamywania się.

Aby zachować zdrowie psychiczne dziecko powinno zażądać przywrócenia wszelkich praw zneutralizowanym Kotom w Butach i Byczkom-Fernando — ale jak tu żądać i upominać się o jakieś prawa w ustroju, w którym nie istnieje *Habeas Corpus Act*? Protest pozostaje zatem bezprzedmiotowy, zaś dziecko obrabowane zostaje ze swego przywileju nieświadomości. Jeszcze wielbi i kocha całym swym czystym, małym serduszkim, ale już natchodzą je pierwsze, nieporadne wątpliwości. Dlaczego kochany wujo Stalin z portretu w żłóbku staje się nagle dość srogim Stalinem z obrazu w urzędzie pocztowym, do którego trzeba iść z mamą? Dlaczego dorośli nie widzą w nim tej dobrodusznosci, którą dostrzega dziecko, i mówią o nim bez sympatii, lub starają się w ogóle nie mówić, ucinając pytania na jego temat? W domach partyjnych dziecko styka się z nakazem adoracji, co budzi w nim z kolei zrozumiałe podejrzenia: dlaczego mam być grzeczny i kochać Stalina? Wszędzie i zewsząd pojawiają się oznaki dręczącej i zagadkowej ambiwalencji, druzgoczące rozkosze nieświadomości. W pewnym węgierskim miasteczku, natychmiast po zgnieceniu powstania przez sowieckie czołgi, komuniści z właściwym sobie taktem postawili pomnik przyjaźni sowiecko-węgierskiej. Przechodząc obok, mały chłopczyk spytał ojca: — Tatusiu, co to jest? — Jest to pomnik przyjaźni węgiersko-radzieckiej — odparł ojciec zgodnie z pozorami rzeczywistości. — Ale dlaczego u nas? — zażądał wyjaśnień chłopczyk. Dziecku temu trudno jest odmówić bohaterstwa: jakże wcześniej wyszedł naprzeciw zmagam-

niom z wieloznacznością, która kiedyś zatruje mu życie! Jak wcześniej wdał się w nierówną walkę z wszechnaciskającym kłamstwem i z wszechmocą pozoru! Jak trafnie uderzył w fatalny splot udręk świadomości! Lecz wraz z triumfem, ten historyczny dlań moment przebudzenia się w nim zmysłu krytycyzmu odebrał mu, lub co najmniej naruszył w nim, świat dzieciństwa. Anty-totalitarne systemy społeczne szanują suwerenność tego świata: jego głupiutkie niedźwiadki i zajaczki być może nie rozwijają natrętnie umysłowości dziecka, ale nie rabują mu prawa do jedynej w życiu autonomii i nieangażowania się. Sprawa św. Mikołaja jest tu nader charakterystycznym przyczynkiem. W Rosji św. Mikołaj zastąpiony został w swych dorocznych funkcjach przez niejakiego Dziadka-Mroza — postać wywodzącą się ze starorosyjskiej, ludowej mitologii. Przez długie lata Dziadek-Mróż działał sprawnie pod czujnym okiem i kontrolą organów bezpieczeństwa ZSSR, ale jakoś nie potrafił budzić serdeczności i ciepła, może ze względu na nazwisko. Na jakiejś metafizycznej zasadzie dzieci odmawiały mu czułego przywiązania, nawet urodzone grubo po rewolucji i których rodzice baliby się sformułować tak antypaństwowy slogan jak „dobry, święty Mikołaj”. Za czasów Chruszczowa zaczęto więc mówić o przywróceniu temu ważnemu funkcjonariuszowi jego dawnego tytułu. Stare kraje katolickie, okupowane po ostatniej wojnie przez komunizm, zmuszone były do zaakceptowania Dziadka-Mroza wraz z dobrodziejstwami planów gospodarczych. Impreza ta od początku skazana była na klęskę. Lansowany intensywnie przez prasę, radio, telewizję, oficjalne widowiska i bale dla dzieci Dziadek-Mróż stał się tylko i wyłącznie przedmiotem złośliwych żartów. Dzieci gremialnie odmówiły z nim związków uczuciowych — ale za jaką cenę? Za cenę kolejnego naruszenia suwerenności ich świata. Raz do roku dzieci popadały w odmęty schizofrenii. Jak pogodzić reklamową kampanię *mass media* na rzecz Dziadka-Mroza z popieranym uporczywie przez resztę społeczeństwa św. Mikołajem? — Przyjdzie dziś do ciebie święty Mikołaj — mówiła mama rano, zaś popołudniu, na kinderbalu, święty przedstawiał się oficjalnie: — Jestem Dziadek-Mróż... — Zaś gdy dzieci wołały doń zgodnie z nastrojami całego narodu: — Święty Mikołaju!... — mrugał porozumiewawczo jakby dając do zrozumienia, że na sali są osoby niepowołane do tego ażeby wiedzieć jak się naprawdę nazywa. Zdarzyć się wręcz mogło, że zbyt obcesowo ciągnięty za rękaw i nagabywany o innych świętych, szepnął krzywo: — Odczep się, szczeniaku, bo wyciągnę służbowe konsekwencje za szeptaną propagandę... — Coś tu było przeto nie w porządku, w oczach dzieci, ale co? Trudno stwierdzić bez przeczytania „Zagadnień Leninizmu”, lecz rzadko kto czyta to dzieło w wieku lat

pięciu. W okresie stalinowskiego upodlenia ogromnych mas ludzkich, dzieci w żłobkach, a nawet w najuboższych przytułkach dla sierot, wzywane były, i jak to się mówiło: „organizowane”, do składania swych grosikowych oszczędności na prezenty dla ukochanego dziadka Stalina. Taki apel padał na podatny grunt, albowiem do dziecka łatwiej jest trafić z prośbą o akt poświęcenia, niż o zaprzestanie bezsensownych krzyków. I dzieci dawały, wysypywały grosiki z kieszonek fartuszków, kupowały za nie plastelinę, lepiły i wysyłały figurynki dla Obrońcy i Opiekuna Ludzkości. I zapewne oburzyłyby się, gdyby im powiedzieć, że poświęcenie ich planowane było przez partyjnych ekonomistów jako ważki element w walce z inflacją i przesadnym spożyciem czekolady, którą tak trudno wyprodukować i dostarczyć na rynek w potrzebnych ilościach. Lecz kiedyś mała dziewczynka w Królewcu, zwanym obecnie Kaliningradem, wezwana do zbiórki na prezent dla mordercy Tuchaczewskiego, miała jakoby odpowiedzieć: — A dlaczego ja nie dostaję od niego prezentów? — W odpowiedzi usłyszała od konformistycznej i sprzedajnej nauczycielki: — Stalin dał ci wszystko co masz, ojczyznę, wolność, szczęśliwe dzieciństwo... — Dziewczynka nie dała się złamać i odparła zimno: — Ja chcę buciki! — Ta mała dziewczynka zasługuje na miejsce w Panteonie wielkich bojowników o sens współczesnej cywilizacji i chyba nie bez przyczyny zdarzenie to miało miejsce w mieście autora „Krytyki czystego rozumu”. W komunizmie uprawa tej krytyki jest często w rękach dzieci.

Dziecko nie umie i nie lubi nienawidzić, ale umie i lubi się bać. Tego komunizm nie przeoczył. O ile komunizm ma podświadomość, jego libidem jest żądza siania strachu i perwersyjna tęsknota za miłością w duszach swych ofiar, zaszyfrowane w różnych eufemizmach. Dziecko staje się świetnym partnerem: nie umie się bronić, łatwo daje się przestraszyć, szuka chętnie i ufnie schronienia w ramionach straszącego. Straszanie dzieci i nauka jak mają się bać jest rozkoszą komunizmu, zaś marzenia komunistycznych czarnoksiężników o zaszczepianiu strachu na całe życie są lubieżną sublimacją tej rozkoszy. Ileż cudownych rojeń snuje się wokół przyszłych sukcesów propagandowych wymuszonych na ludziach o zwyrodniałych odruchach i niedowładzie poznawczym na skutek strachów dzieciństwa? Rzecz w tym by umiejętnie operować symbolami strachu. Niegdyś był to opasły burżuj o świńskim ryju, dziś jest to chudy, przeraźliwy Amerykanin o strasznym, haczykowatym nosie pod gwiazdzystym cylindrem, zastanawiająco przypominający diabła z chrześcijańskiej ikonografii. Podobno na zapadłych kołchozach straszy się dziś dzieci Amerykaninem. Nie dlatego, że Amerykanin coś znaczy dla ludzi, którzy na oczy nie widzieli Amerykanina, lecz dlatego właś-

nie, że nic nie znaczy, że jest pustym symbolem ustanowionym przez nie podlegającą kontroli instancję. Radio, telewizja i prasa zastępują księdza i kazanie w formowaniu psycho-pojęciowej ohydy i uczą, w aureoli ponadludzkiej technologii, że Amerykanin zjada dzieci. Niegdyś ciemne niańki groziły: — Przyjdzie diabeł i weźmie cię do lasu... — Dziś, udręczona nędzą i pracą ponad siły matka wiejska mówi, ufna w potęgę naciskającej zewsząd na dziecko celebracji sloganów: — Jak będziesz niegrzeczny oddam cię Amerykaninowi, który zabierze cię do Ameryki... — W świetle partyjnej egzegezy jest to apokaliptyczne ultimatum, ale później w życiu okazuje się, że należało być okropnym dzieckiem ażeby otrzymać prawdziwą nagrodę. W tym punkcie chrześcijański system kar okazuje swą bezsprzeczną wyższość i finezję. Gwoli sprawiedliwości rzecz trzeba, że amerykańskie komiksy dla dzieci pełne są straszliwych postaci zwanych *Reds*: posiadają one silnie zaznaczone cechy etniczne, głównie przy pomocy odrażających mord, rubaszek zamiast koszul, bądź skośnych oczu charakteryzujących ostatnie odchylenia policentryczne w łonie Kominformu. Różnica w metodzie indoktrynacji wydaje się niewielka, niemniej nigdy jakoś nie słyszałem o tym by w Ameryce straszono dzieci Rosjaninem, czy Komunistą. Istnieje głęboka analogia pomiędzy komiksowym *Red*, a smokiem z dawnych bajek: niby się go trzeba bać, ale coś jest w nim nie naprawdę, więc można pozwolić sobie na brak nienawiści. Ten układ odzwierciedla jakąś głęboką prawidłowość: póki nie ma militarnej konfrontacji, większe niebezpieczeństwo grozi Rosji ze strony Ameryki, niż odwrotnie; Rosja więc musi propagować strach przed Amerykaninem wśród swych dzieci, podczas gdy Ameryka może zdać się na luksus wesołej pogardy i miażdżące zwycięstwa Batmana nad Smershem. Operowanie strachem jest zresztą obosieczne i ulega wszechstronności i bogactwu samego życia. Dziecko współzyskujące z radiem i telewizją wymaga zawsze eksplikacji. — Tato — pyta — co to jest podżegacz wojenny? — Rodzice, o ile nie są partyjni i ściśle poinformowani, sami nie wiedzą; usiłują więc wymigać się przy pomocy wygodnego, choć obskuranckiego idiomu: — To Amerykanin, albo ktoś z Zachodu... — lub jeszcze mniej precyzyjnie: — To ktoś o kim pisze się w gazetach... — I znów dziecko wpływa na ocean mętnych różnic. Nieufność do gazety, radia czy telewizji jest imperatywem rozsianym w powietrzu, którym oddycha się, który dostrzega się w każdym słowie, geście, spojrzeniu i westchnieniu starszych. Jak o kimś mówią źle w radio, to może nie jest on taki zły? Może jest *inny*, niż o nim piszą, może nie ma trosk materialnych jak wszyscy wokół, może ma nawet samochód! O, męki budzącej się świadomości!...

Nie umiejąc wątpić, dziecko skazane jest na przegraną z komunizmem. Ratunek jest w cynizmie: dziecko grzeczne i cyniczne jest w stanie oprzeć się najskuteczniej gwałtom nad swoją świadomością i rabunkowi świata dzieciństwa. Ale dziecku łatwiej jest być wandalą, barbarzyńcą, mordercą, gwałcicielem, oprawcą, okrutnikiem i kłamcą, niż cynikiem. Wejście do komunistycznego sklepu z zabawkami wymaga dużej siły charakteru i tylko jednostki wielkiego ducha nie załamują się i nie szukają ratunku w panicznej ucieczce przed koncentratem ponurej brzydoty skumulowanej w obecnych tam zezowatych lalkach, sadystycznych misiach, pokręconych przez reumatyzm żyrafach, pajacach z pluszu używanego w krajach cywilizowanych na siedzenia w pociągach, bączkach, które w imię nieznanego sabotażu nie kręcą się i piłkach, które nie odbijają się od podłogi. Dziecko cyniczne, postawione oko w oko z takim koszmarem, nie zapłacze rzewnie, lecz uśmiechnie się wyrozumiale. Zabawki są przedmiotem ożywionej dyskusji w prasie od zarania komunizmu: nikt tam nie może zrozumieć dlaczego odpowiedni przemysł nie jest w stanie wyprodukować przedmiotów nie wzbudzających natychmiastowego, dojmującego jęku. Prawdopodobnie błąd tkwi w teorii, która nakazuje zasadę, że zabawka winna uczyć, a nie bawić. Pedagogika w rękach tych samych planistów, którzy wierzą w walor wychowawczy prezentów dla Stalina za uciulane przez dzieci grosze, uważa, że kotek nie jest czymś co należy kochać, lecz jest członkiem socjalistycznego zwierzostanu i dziecko winno jest mieć do kotka odpowiedni stosunek, uwzględniający jego przynależność. Sklepy komisowe, jedna z najpotężniejszych instytucji ekonomicznych w komunizmie, są pełne zabawek z kapitalistycznego świata: wiadomo powszechnie, że opłaca się je przywozić. Dziecko zwykle rozpętuje niebywałe awantury na widok sklepu komisowego: po prostu chce mieć natychmiast wszystko co w nim jest. Dziecko cyniczne zachowuje się spokojnie: wie, że ceny w komisach są karykaturalnie wysokie i mało kto może sobie pozwolić na kupowanie tam zabawek, a na pewno już nie jego rodzice. Nawet u zamożniejszych rodziców dziecko cyniczne nie domaga się pomarańczy: rozumie, że przez taki kaprys może stracić mamę na pół dnia, to jest tyle ile potrzeba na stanie w kolejkach za pomarańczami o ile akurat są w sklepach. Dobrze jest być dzieckiem cynicznym w komunizmie, wszyscy je kochają, a rodzice mówią o nim z dumą: — To takie kochane dziecko... — mówią o nim, nie wiedząc, że jest ono po prostu dzieckiem cynicznym, czyli ułatwiającym życie.

Leopold TYRMAND

Wilk

Nie lubiłem chodzić po stepie. Zawsze było za gorąco, albo za zimno, albo duł wiatr, który wywracał i dusił tumanami kurzu. Ogrom pustej przestrzeni unicestwiał myślenie. Nawet głos nie miał się od czego odbijać. Okrzyk, czy wołanie malały, nikły i głucho rozpuszczone w powietrzu.

Kiedy w dalekiej mgle horyzont zlewał się z niebem w jedną całość zdawało mi się, że płynę zamknięty wewnątrz szklanej kuli. Gdy było pogodnie i widoczność była nieograniczona, miałem wrażenie, że maszeruję pod olbrzymim błękitnym kloszem, który przesuwają się wraz ze mną dokładnie w rytmie moich kroków. Nic się nie przybliżało i nic nie oddalało ode mnie, niczego nie mijałem, a widnokrąg zawsze stał w tym samym miejscu. Tylko przebieranie nogami upewniało mnie, że się poruszam.

Nie lubiłem stepu. Wzrok nie miał się na czym oprzeć. Za dużo było pustki, aby się skupić. Zamykająca mnie kopuła, spod której nie było ucieczki, potęgowała uczucie beznadziejności. Nie potrafiłem myśleć. Nie było żadnego punktu zaczepienia, żadnej odskoczni do myślenia. Nie myśląc nie czułem się człowiekiem. Czułem się jak insekt nakryty olbrzymim spodkiem na gigantycznym stole.

Zimą, rude kępki buranu, skłębionej suchej chwastowatej trawy, zawsze te same, wystawały spod śniegu. Step nie miał twarzy, którą się pamięta. W lecie nawet mrowiska były te same... tu, czy sto kroków, czy tysiąc kroków dalej... jak gdyby ziemia była taśmą bez końca i raz minięte mrowisko wracało znowu i znowu i znowu...

Nigdy nie wiedziałem gdzie jestem, ile czasu już minęło, ile drogi przeszedłem, ile jeszcze miałem przejść śladami nikłej ścież-

ki, nazywanej szosą. W lecie słońce pętające się nade mną nic mi nie mówiło o godzinach dnia. Zimą o każdej porze niebo wyglądało jednakowo szaro. Nie miałem zegarka, a żołądek zawsze mi wskazywał, że jest przed obiadem.

Byłem człowiekiem miasta. Gdzieś tam w stepie było ukryte piękno natury opisywane przez pisarzy, ukochane przez ludzi, którzy się tu urodzili. Ja widziałem tylko rude chomiki przebiegające mi drogę... Zawsze te same... zawsze te same...

Późną jesienią, gdy było błoto, szedłem dwa razy dłużej a może i więcej. Wklęsłająca się ziemia kleiła się do butów, obłapiała i ściągała mi je z onuc. Przywiązywałem wtedy buty sznurami za uszy do pasa i mocno trzymałem ręce na pasie, aby nie wyskoczyć z cholew.

Od roku raz na tydzień wędrowałem tędy do rodziny. Dzień wolny utożsamiał się z bezmyślnym stąpaniem po stepie. Nosiłem rodzinie trochę jedzenia skradzionego w pracy, rozdrapane ciało i wszy sowchozowe. Wracałem z czystą bielizną i syty plotek małego, zagubionego na Powołżu, miasteczka.

... Nie słyszałem kiedy nadszedł. Nie spostrzegłem kiedy część stepu odłączyła się od kępki buranu i zaczęła poruszać wraz ze mną. Był tego samego koloru jak brudny zleżały śnieg, ciemna ziemia i spłowiata trawa. Białło brązowo rudy...

Panika nie przychodzi od razu. To był najwyraźniej zagubiony pies. Nie dopuszczałem do siebie innej myśli. Tyle razy szedłem po stepie. Chciałem teraz siebie przekonać, że nic się nie zmieniło, nie mogło się zmienić! Myślałem: „Nie chcę aby się zmieniło... To jest pies, zwykły zabłąkany Burek”. Chciałem z siebie wymusić okrzyk: „Hej Burku... Burku...” Panika złapała mnie za gardło, jak wilk. Od samego początku wiedziałem. Skąd tutaj pośrodku stepu, pies? Człowiek sam siebie oszukuje ze strachu, odsuwa od siebie prawdę i ucieka przed groźbą do złudzeń, jak dziecko.

Od pierwszego momentu wiedziałem, że to on. Poznałem go po chodzie. Stawiał łapy miękko „od łokcia”, płynął po śniegu. Zbliżał się do mnie ukośnie pod bardzo małym kątem, jak gdyby chciał wybrać punkt, w którym po wyprzedzeniu mnie, dojdzie do mojej ścieżki i zaczeka tam na mnie. Zaczął biec z tyłu, kilkadziesiąt kroków za mną i w tej chwili już prawie mijał mnie z prawej strony. Coraz bliżej. Przed chwilą był to mały podwórzowy Burek. Teraz wydawał mi się dwa razy większy niż owczarek. Olbrzymi stepowy wilk.

Silna trójkątna szyja nie odwracała się i nie przechylała na boki, jak gdyby stanowiła wraz z pyskiem i tułowiem jedną całość... Czułem jego wzrok na sobie.

Panika trwa określony czas. Jest zdeterminowana przez orga-

nizm. Jak długo? Ułamek sekundy, sekundę, dwie, kilkanaście sekund?... Później panika wiotczeje, rozplywa się. Nikt nie wytrzymuje napięcia strachu. Nie ma paniki. Organizm rozpręża się. Nie wiem co ją zastępuje: chęć życia, czy upór, przekora, złość, desperacja, albo jakaś ponadczasowa koncentracja myślenia. Jak gdyby zmuszono mnie do rozegrania całego meczu szachowego o moje własne życie w świetle jednej tylko błyskawicy... I odrzucasz strach, bo strachem nie można walczyć. „Nie bać się”. — to także panika. W panice człowiek krzyczy w sobie: „Nie bać się!” Jak gdyby można przekrzyczeć powracające skurcze zwierzęcego strachu...

... Jest kilkanaście kroków ode mnie. Nie ma czasu na strach. Jak przed śmiercią cały film, o stworzeniu zwanym wilk-lupus, przesuwa się przez mój ELEKTRONOWY MÓZG. Nie jestem już sobą. Stałem się MECHANIZMEM OBRONY.

Czas rozciąga się i zmienia widzenie na szaro. Czas jest wartością względną. Uderzenie pulsu to minuta. W granicach jednej sekundy działają wszystkie elektronowe wybiorniki. Jeden krok wilka i jeden mój i dostaję odpowiedź. Z zapomnianej komórki wywala się z trzaskiem: „Nie bać się naprawdę. Być przekonany. On czuje czy ty się go boisz. Uwierz w to, że się go nie boisz zupełnie”.

Uwierz. Paradoks. Albo uwierzysz, albo on cię zagryzie. Śmierć dla niewierzących.

Ktoś gdzieś powiedział: „Pojedynczy wilk nie napada na tych co się go nie boją, chyba że są chorzy lub ranni”.

Nie boję się. Ze strachu wmawiam sobie: „Nie boję się!”...

Są dwa rodzaje „nie bania się”. Jedno, to determinacja śmierci, KISMET. Co będzie to będzie, byle nie bolało. To dla bohaterów. Ci nie są zdolni do wyobrażenia sobie nawet własnego bólu. Nie, ja tego nie potrafię. Nie mam złudzeń. Nie mam czasu na uciekanie do marzeń. Aby się nie bać muszę wierzyć, że mam szansę walki...

Jak błyskawica wybiornik wywala z trzaskiem następną szufiadkę. — Mam ze sobą monterskie obciążki...

Jeszcze kilka metrów. Zwalniam niedostrzegalnie kroku. Pot zamarza na twarzy. Błyskawica-objawienie: Noszę przecież dwie koszule i ręcznik w worku. Błyskawica: Koszule. Przyśpieszam kroku. Owijam koszulami i ręcznikiem lewą rękę do łokcia. W prawą łapię obciążki na poprzek i pięść owijam workiem. Nie boję się już. Naprawdę się nie boję. Coś się we mnie budzi: złość, desperacja, czy duch myśliwego. Wiem już jak będę walczył. Mam plan. Gdzieś z komórki mózgu przyszła „dokumentacja”: „Wilk skacze do gardła”. — Zasłonię się więc lewą ręką ze szmatami. Wpakować mu tę rękę jak najgłębiej do krtani po-

między kły, żeby nie miał siły w zgryzie. Niech łapie i niech się dusi... I wtedy go obciążkami po oczach. Oślepić ostrymi końcami monterek. Po oczach. Drogo się sprzedam — prawie patetyczne — śmiech. Ja w to wierzę. Nie, tu nie ma sprzedawania się. Ja go dostanę skurczybyka!

Byle nie upaść jak skoczy do gardła. Jest ciężki. Może wrócić impetem. Złapać moment i zrobić unik. Jak spadnie na ziemię to pójść na niego. Samemu wtedy wpakować mu rękę w pysk, niech się wczepi. Nie boję się, że nie wpakuję mu ręki. Gdy bawiłem się z psem, czy kotem zawsze byłem szybszy. Ja będę szybszy od niego. Moje ręce są szybsze niż jego rzut głową. Na to liczę. Tu jest jego świat, ale ja tu knuję w tym jego świecie. Ja stworzyłem plan...

... Idę prosto na niego. Kurczę palce w onucach, aby mi wielkie buty nie człapały. — Nie pośliznąć się, gdy zrobię unik. Jeszcze kilka kroków. Jak gdybym od niego przejął jego sposób stapania... Miętko... nie człapię... miętko. Czuję buty i śnieg na ścieżce pod podeszwą, jak ślepiec...

Chyba „cuchnę odwagą”. Tak! Jakiś myśliwy powiedział mi kiedyś, że strach ma swój zapach. Gruczoły przestraszonego zwierzęcia zmieniają odór. Drapieżniki to czują. Można więc śmierdzieć strachem. Można też cuchnąć odwagą. Wierzę teraz, że odwaga ma zapach...

Nie przeciął mojej ścieżki. Przyczłapał tylko o metr od niej, wyprzedzając mnie. Byłem napięty jak gdyby z wszystkich moich nerwów spleciono cięciwę łuku. Czekałem ciągle, tak czekałem na jego zwrot. Tutaj, już, teraz!

Nie. Nie było zwrotu. To tylko oglądnięcie. Całym ciałem nie zginając sztywnego karku, jak oglądają się ludzie, których przewiało i nie mogą kręcić głową. Tylko tyle, aby mnie zobaczyć szparkami ślepi. A ja dalej szedłem na niego miętko.

Jego spojrzenie było przelotne „w biegu”. Nie zatrzymał nawet wzroku na mnie jak gdybym był częścią widnokregu. Odwrócił się i kontynuował wzdłuż ścieżki wyprzedzając mnie o kilkanaście kroków... Złapałem się na tym, że przyspieszonym marszem prawie biegłem za nim.

Zwolniłem. Chciałem mieć dystans zanim się odwróci do ataku „naprawdę”. On też zwolnił. Nie oglądając się na mnie słyszał mnie. Czuł mnie za sobą. Pomyślałem, że on pomyśli, że się go boję, więc znowu ruszyłem szybciej.

— Nie myślałem już o nim jako o wilku. Wierzyłem, zupełnie wierzyłem, że on myśli. On myśli jak mnie zagryźć. Ja myślę jak się obronić. Byłem w sytuacji gorszej z jednej strony i w sytuacji lepszej. Tu był jego świat. On miał prawo rozpoczęcia walki. On miał także prawidłą gry, których ja nie zna-

łem. On wiedział, że jak wczepi mi się w gardło, to wygrał. Ja wiedziałem o nim mało. Czy jest czuły na kopnięcie butem? Po brzuchu, czy po łapach? Czy zdążę go oślepić zanim pogruchoce mi rękę? Może z bólu nie trafię obciążkami w ślepią? Czy będzie jeszcze walczył oślepiiony?

Trzymałem się mojego planu. Nie miałem wyboru. Wmówiłem sobie, że jestem w lepszej sytuacji, bo ja myślę i knuję lepiej od niego... i on nie spodziewa się ostrych końców obciążek. Wystawiłem je przed siebie naiwnie. Niech zobaczy jak się obejrzy. Ale to ja na nie patrzyłem, dla odwagi.

Nie obejrzał się. Słyszając mnie za sobą znowu przyśpieszył. — Napięcie słabnie. Napięcia nie można utrzymać. Nie można stale minutę za minutą powtarzać sobie w myślach: „Co ja zrobię jak on zrobi?”... Próbować i próbować jak w państwowym teatrze, w nieskończoność. Myśl wędruje, ucieka. Nie mogę jej już zatrzymać i znowu się skoncentrować i trwać w koncentracji. Muszę się więc zabezpieczyć. Mówię sobie: Mam zawsze margines czasu. Aby mnie zaatakować on musi zawrócić. Ten ułamek sekundy wystarczy, aby zrobić prymitywną repetycję walki. Reasumuję mój plan do punktów: Unik nogi, lewa ręka do paszczy, prawa po ślepiach...

Jestem teraz swobodny. Mam plan w zanadrzu... „W razie”... i nie zmuszony więcej do koncentracji mogę myśleć swobodnie. Tak jak gdybym chodził za wilkiem ubrany w taki jakiś, chroniący od niego, pas ratunkowy.

Zamieniłem się z insekta w człowieka. Nie widzę już więcej zamkniętej kopuły nad sobą. Mam o czym myśleć. Jesteśmy związani niewidoczną nicią, ja i wilk. Prawie jak pan z psem na przechadzce. Idę szybciej, on przyśpiesza biegu. Zwalniam, on zwalnia. Nawet, gdy zupełnie powoli manewruję przez zaspę śnieżną, ON nie oglądając się, prawie staje. Czeką na mnie. Wyprzedza mnie tylko o kilka kroków, jak gdybym go trzymał na linewce.

Nie łudzę się ani na chwilę, to nie Burek. To jest śmierć na linewce. Czeką na moją słabość. Nie wolno mi się nawet pośliznąć, bo zawróci i skoczy. Nie zdążę wstać z ziemi, przytłoczy i zagryzie. I do tej myśli się przyzwyczaiłem. Właśnie dlatego prawie frywolnie rozważam: A jakby go tak złapać za ogon, gruby włochaty ogon.

Przypomina mi się opowiadanie gdzieś zasłyszane na wsi. Nigdy nie wiedziałem ile w tym prawdy. Zwierzęta boją się zapachu wilka. Wilk o tym wie. Pewnego razu. Tak — ! Pewnego razu. Wszystkie historie na wsi tak się zaczynają. Ale nikt nie wierzy, że to bajka. Wilk podkopał się do owczarni od tyłu. Zrobił tunelik tak mały, że mógł jedynie wsadzić tam ogon. Stał

więc wilk w ciemnej nocy na zewnątrz owczarni odwrócony tyłem do ściany i ogonem w środku pomachiwał. Owce poczuły zapach i oczywiście w popłoch. Wywaliły wrota na oścież wypadając na dwór. O to wilkowi chodziło. Znalazł się jednak jakiś przytomny pastuch i widząc wilczy ogon merdający w kącie, wczepił się w niego i trzymał. Wilk rwał w jedną stronę od ściany, a pastuch wewnątrz zaparty nogami trzymał oburacz wyslizgujący się ogon. W końcu wilk wyrwał się i uciekł. Nie ubiegł daleko, kilkaset kroków. Porobił się po drodze i padł. Nie wiadomo czy wilk zdechł ze strachu, czy mu pastuch coś tam przerwał. Wiadomo, że: wilk zdechł pociągnięty za ogon.

Teraz merdał przede mną ogonem dużym, puszystym, ŻYWY. A jakby go tak pociągnąć — szarpnąć. Silnie, niespodziewanie. Może zdechnie. Nie wiadomo czy to była prawda, czy bajka; Czy można ryzykować?

Mówili mi o siłaczach. Złapali wilka za uszy dwoma rękami i trzymali jego głowę pośrodku. Wyobrazić sobie jego kły kłapiące koło mojej szyi i moje palce nie wytrzymujące uchwytu. Uszy bestii wyslizgują się powoli, powoli z zaciśniętych dłoni. Nie! — Nie jestem siłaczem. Jak go zresztą złapać za uszy równocześnie. To musi być przypadek... I co z nim zrobić dalej. Człowiek uwikłany obu rękami do unieruchomionego przez siebie wilka. Kto wytrzyma dłużej. Zwolnij uchwyt palców i śmierć...

Jakoś raźniej mi się z nim szło. Czas jakby mijał szybciej. Nawet prędzej człapałem moimi buciarzami nabierając tempa od biegnącego przede mną zwierzęcia.

Już w myślach przeszedłem etapy walki, bólu i śmierci. Odpływałem od tego niedaleko. Zastanawiałem się co by się stało gdybym przegrał. Tu było w okolicy kilka wypadków. Już potem nie znajdują człowieka. Nawet kości zostają rozwleczone i zagubione w śniegu. Z człowieka zostają tylko nogi w butach, bo wilk nie umie wygryźć kości z cholew.

Ciekawi mnie kto by to znalazł moje buty. Może jakiś szofer przejeżdżającej ciężarówki. Jakbym widział. Wpuści buty do worka i wrzuci na samochód; a potem zacznie myśleć co zrobić z butami. To nie jest łatwa sprawa. Buty z cholewami to majątek. Na buty trzeba pracować ze dwa miesiące i więcej, czasami z pół roku się na nie składa. Największa, najdroższa ruchomość, oprócz zegarka, jaką człowiek może tutaj posiadać. Bez zegarka można żyć. Bez butów nie. Jak pracować bez butów?

Gdyby znalazł same buty, to jeszcze nic, nie ma problemu. Zabrał i dobrze jak nie ma świadków. Po co meldować milicji. Odda na milicji — oni sobie zabiorą. Na jedno wychodzi. Ale w butach są moje martwe nogi. Nogi są zamrożnięte, zeszywniałe, a to już gorzej. Martwej nogi z buta nie można wyciągnąć

tak raz dwa. Trzeba się namordować szczypcami. Szczypce duże pożyczyc od wsiowego kowala. Czasami trzeba nawet but pruć — cholewę od tyłu przy piętce; albo jechać do miasteczka. Przy szpitalu jest taki specjalista. Czy się opłaca?

Rodzina będzie szukała. Pójdą na milicję, powiedzą: „Wyszedł z domu i nie wrócił”. A milicja powie, że nic nie wie, z taką twarzą jak gdyby nigdy nic. Milicja zawsze ma taką twarz i zawsze mówi, że nic nie wie. Zaaresztują człowieka na ulicy, ktoś pyta o niego, tak samo odpowiedzą: — „Nic nie wiemy. Znać nie znamy. Słyszeć nie słyszeliśmy”. Taki rozkaz, albo zwyczaj. Ludzie jak się pokłóć mówią sobie nawzajem jako obelgę: „Coś ty? Człowiek, czy milicjant?” — Rodzina będzie się łudzić. Może on żyje. Wyszedł z domu i aresztowali go za rogiem — „bez dania racji”... tak sobie, bo musieli coś zrobić aby się wykazać, że pracują.

A ja idę po stepie z wilkiem.

Na razie jestem wolny.

Wszyscy to mówią: „NA RAZIE”. — Nie siedziałeś jeszcze, to będziesz siedział. Ale tu nie chodzi o siedzenie. Tu chodzi o to, co ty robisz, co myślisz i co powiesz. Chodzi o groźbę nad tobą. Uważaj na każdy krok jak gdybyś chodził po minach.

Czy nosisz krawat, czy nie? Jak często nosisz krawat? Bo to o tobie świadczy. W twojej kartotece zapiszą: „Nosi często kapelusza a nie kaszkiet”. Świadczy to o burżuazyjnych odchyleniach... Co powiedziałaś wczoraj Walerii Nikołajewnej? Wracasz do domu i w myślach powtarzasz całą rozmowę. Czy się nie przejęczyłem? Kto to słyszał? Przypomnij sobie. STRACH!

Stary Siemion ostrzega: „Nie mów z moim synem o niczym. Powiesz mu, że krowom żebra sterczą, to wystarczy. Doniesie, żeś antypaństwowy. Krowy rządowe, a ty plotki szerzysz i nihilizm”. — „Boję się go” — mówił — „własnego syna”. — „Jem z nim z jednej miski, ale nie rozmawiam, ani o polityce, ani o niczym...” Nie pytaj. Nie dyskutuj, bo cię sprowokują. Rób co ci każą. A jeśli będziesz milczał za dużo też gotowi wezwać, że knujesz. Powiedzą: „Ty się z czymś kryjesz. My nic o tobie nie wiemy”. — „Syna mi spartolili mówił Siemion”. — „Dobry oficer NKWD powinien wiedzieć o osobniku więcej niż osobnik wie o samym sobie”. — Cytował mi służbista z milicji.

Mówię sobie, że jestem wolny a mój umysł jest w więzieniu. Sprawdzam się zanim otworzę usta jak aktor. Sprawdzam każde słowo, gdy piszę list. Żeby list szybciej przeszedł przez cenzurę prawie nie zaklejam i zawsze zaczynam „...Dzięki naszemu wy-bawcy Stalinowi powodzi mi się dobrze i jestem zadowolony z życia...” A potem dopiero pomiędzy wierszami daję rodzicom do zrozumienia, że nie mam mydła i jedyne gacie mi się rozleciały.

Nie zaklejam listu, bo cenzor ze złości, że się musiał pitolić z otworzeniem, rzuci list do kosza.

Idę z wilkiem, który może mnie zagryźć w każdej chwili i myślę o wolności... Zdaje mi się, że teraz pierwszy raz od wielu lat jestem naprawdę wolny. Mogę myśleć co chcę, mogę mówić co chcę, mogę robić co chcę. Wilk nie doniesie. Może się tylko oglądnać jeśli będę krzyczał do niego, że Stalin to morderca. Może mnie zagryźć, zagryźć wolnego człowieka... Ale nie zagan-grenuje mi mózgu wiecznie snującą się obawą. Nie torturą, ale obawą tortur.

Wilczku, WILKU — basiorze! Pozwoliłeś mi zrozumieć wolność. Przyczłapałeś do mnie jako zwierzę, aby zagryźć inne zwierzę i zamieniłeś mnie w człowieka. Wyszedłem z miasta zwierząt jako zwierzę i wkroczyłem w twój świat jako człowiek.

Wiatr unosi pył śniegowy po stepie i szreń skrzypi pod moimi butami. Stąpamy razem. Ty wilku wzdłuż mojego cienia. Grozisz mi śmiercią. A ja czuję się oczyszczony z podłości i zakłamania, które stało się częścią mojego myślenia. Odpłynęły ode mnie wszystkie wtresowane we mnie ograniczenia, wszystkie filtry: Co można, czego nie wolno, co trzeba — cała kanalizacja myśli. Wszystkie samozachowawcze regulacje, które zamieniły mnie w wegetującego insekta. Wszystkie prawidła powtarzane przez otoczenie. — Nauka jak to nie być rozdeptanym na miazgę. „Nie bądź głupi. Mordę w kubeł i milcz. Gadaj tylko o wódce. Chwal Stalina. Kochaj dzieci. Czytaj *Prawdę*. Nie komentuj. Mówią 'białe' — powtarzaj. Mówią 'czarne' — powtarzaj”. Pięć lat upodlenia mózgu. Można się prawie przyzwyczaić. Tu mówią: „Człowiek nie świnia, wszystko wytrzyma”. — Człowiek może więcej. Może zamienić się w insekta i wędrować po stepie jak insekt... gdyby nie wilk.

Wilku! — Bestio!... dałeś mi klucz do zapomnianego uczucia z wyświechtaną nazwą: „Wolność”.

Trzy tygodnie temu brat dał mi klucz do garażu, w którym pracuje i powiedział: „Muszę wozem jechać do Saratowa. Zosta-wiłem na warsztacie słoik z naftą do lampy. Skocz, bo już nie mamy czym świecić w domu”.

Skoczyłem.

Już na mnie czekali, gdy wychodziłem z garażu. Ktoś doniósł, że okradam własność państwową. — „Przecież ludzie...”, krzyczę, „ja mam klucz. Brat kupił tę naftę. To nie benzyna z samocho-du...” Prowadzi mnie dwóch milicjantów przez miasto. Ręce mam z tyłu za sobą, tak kazali. W rękach słoik. A w słoiku chyba ze szklanka nafty się bełkocze i pluska na spodnie. Na szczęście widzieli mnie znajomi. Powiedzieli siostrze, ta polecia-ła z płaczem do zwierzchnika brata i ten mnie z milicji wyciągnął.

To był człowiek, Iwan Achmatow, pół-Tatar i partyjny. Całe życie będę mu wdzięczny. Cud. Nikt inny by się nie narażał.

... Dwaj milicjanci i tajny agent już zaczęli pisać protokół. Na stole stał dowód: pół szklanki nafty (drugą połowę wychłustałem po drodze)... A oni mówią: „Ty braciszku mniej niż za dziesięć lat się z tego nie wykaraskasz. Teraz w wojennych czasach kradniesz paliwo? To sabotaż. Przekażemy cię do NKWD, oni ci to udowodnią”. Nafta ścieka mi po nogawkach do butów. Cała izba milicyjna śmierdzi naftą jak jeden wielki zepsuty prymus. Poprzez ich twarze w nafcianych oparach widzę ich biedne dusze i gigantyczne sny w mieście, gdzie nic się nie dzieje oprócz wymysłów schizofreników. Każdy mały tajniak, czy mundurowy marzy o swoim „własnym” sabotażyście. Jak ten strażak, który podpalał, aby odznaczyć się bohaterskim ratowaniem. Czterystu tajniaków czekało na klientów w małym zapomnianym miasteczku...

Wyciągnął mnie z milicji dobry człowiek. Zgniłbym w obozach za szklankę nafty. To było pewne. Trzy tygodnie temu, tylko kilka godzin dzieliło mnie od przekazania do NKWD. Biliby mnie i oblewali lodowatą wodą jak innych. Przyznałbym się do sabotażu. Może bym wydał brata i ojca jakby chcieli spiszek. Żadnej szansy walki. Gdy już nie masz zębów i twoja twarz jest miazgą, przykładają ci deskę do płuc i biją po niej młotami. Gdy nie masz sił do wycia, a zaczynasz rzezić, wtedy wsadzają ci w obie ręce pióro, bo w jednej nie możesz utrzymać i patrzą jak się podpisujesz. Uważają tylko abyś nie zaplał protokołu. Nie ma mądrych i bohaterów. Zostałem mianowany aktorem umownego teatru. Wszyscy wiedzą, że to „na niby”, aby zadowolić wielkiego schizofrenika. Aktorzy w epoletach nie dają jednak tego po sobie poznać, że to na niby. Biją z przekonaniem... dlatego ból i podpis są prawdziwe.

PROTOKÓŁ

Ja Aleksander Pfau syn Szymona i Berty z domu Beck przyznaję się niniejszym pracownikom Milicji Obywatelskiej Związku Radzieckiego w osobach....., że kradłem zapasy paliwa stanowiące własność państwową Związku Radzieckiego i w ten sposób umniejszałem obronność państwa...

... Sąd Ludowy ZSRR wyrokiem z dnia... skazuje niejakiego Aleksandra Siemionowicza Pfau, zamieszkałego przy ulicy Kuraszowa 77 ... na dziesięć lat obozu pracy poprawczej na podstawie paragrafu 58 o sabotażu i kontrrewolucji, oraz na dodatkowe 5 lat przymusowego osiedlenia w miejscu wskazanym przez orga-

na Komisariatu Spraw Wewnętrznych, za to, iż oskarżony uporczywie odmawiał wydania współników aktu sabotażu... Sąd przyznaje oskarżonemu prawo napisania odwołania od wyroku w ciągu dwóch tygodni...

Paranoia?

Nie. To ja sam wymyśliłem ten wyrok. Dziękuję ci Iwanie Achmatowiczu. Uratowałeś mnie. MOGĘ IŚĆ Z WILKIEM WZDŁUŻ STEPOWEJ DRÓŻKI. Nie ma biurka, lampy w oczy i porucznika milicji, który mówi: „No ty Sasza podpisz dobrowolnie póki masz zęby... Może chcesz herbaty?...” — Widzę białe ostre kły wilka, gdy biegnie bocząc się na mój cień, jak gdybym ja sam „żywy” już dla niego nie istniał...

Prowadzą mnie przez miasto. Wszyscy myślą, że tak ma być. Boją się współczuć. Milicjant z tyłu trzyma w dłoni wyciągnięty nagan z ozdobnym sznurem, którym broń jest przywiązana do pasa. Sznur bimba się w rytm naszych kroków. „Z bronią w ręce” — regulamin. Wszyscy są przestępcami. Wszyscy czekają tylko na swojego milicjanta. „Towarzyszu!” — mówię. „Ja wam nie towarzyszę. Tyś wilkowi towarzyszyć nie mnie” — warchy ten z przodu. To są prawidła gry. Dotychczas pozwolono udawać ci człowieka a teraz to się skończyło. Wszyscy są na to przygotowani. Stukanie w nocy, słyszalny dźwięk walki klas. Albo na ulicy zbliża się z tyłu niepokąźny człowiek w kombinezonie roboczym z bochenkiem chleba pod pachą — i wypowie sakramentalne słowa: „Nie ruszać się obywatelu, nie oglądać. Jesteście aresztowani w imieniu Władzy Radzieckiej. Iść prosto przed siebie. Milczeć. Nie zwracać się do nikogo. Skręcać tylko wtedy kiedy ja wam każę. Krok w lewo, lub krok w prawo bez rozkazu uważa się za próbę ucieczki. Będę strzelał bez uprzedzenia”.

Nie ma tajniaka.

Wilk mnie prowadzi po stepie. Może ja jego prowadzę? Nie wiem. Jeśli nadejdzie „purga” — wielka stepowa wichura, wykopimy sobie w zaspie dołki obok siebie, aby przeczekać. Na razie manewruję za nim po przysypanej ścieżce — gęsiego. Nie przyśpieszam i nie poganiam go.

... Na ulicy Feliksa Dzierżyńskiego prowadzą więźniów zawsze gęsiego. W każdym mieście jest ulica Dzierżyńskiego, a przy ulicy sądy i milicja, specjalny sklepik dla milicji a nawet teatr milicyjny. Zawsze żołnierz z tyłu pogania bagnetem trzymany na wprost na karabinie, jak gdyby kłuł w plecy. Ten z przodu, konwojent, trzyma tylko nagan w ręce. Tam i z powrotem ma-

szerują takie trójki, jak kukielki w upiornym filmie. Na przesłuchanie, po wyrok, lub do więzienia. Nie kują. W Związku Radzieckim ludzi nie kują. Dwóch wojskowych i aresztant z rękoma z tyłu. Dwóch wojskowych i aresztant. Bagnety w plecy, nagany, paranoia. Przez lata kilkanaście razy dziennie przejeżdżałem ulicą Dzierżyńskiego... Nikt mi nigdy nie uwierzy, że może istnieć państwo-utopia, gdzie stopień paranoi jest miarą patriotyzmu, a zakłamanie nazywa się naukowo: dialektyczną filozofią.

... Czy można wilkowi wytłumaczyć, że mam nadzieję, że przetrwam. Przetrwam jego i innych i wyjdę ze stepów i wrócę z utopii pomiędzy ludzi. Zapomnę o nim, o paranoi i o tym całym zwierzęcym życiu. Czy można mu wytłumaczyć co to jest marzenie, nadzieja, wolność, miłość, radość?

Mogę to też nazwać szczęściem.

Bo tylko w styczniu jeszcze wilki chodzą w pojedynkę. W lutym goniłyby za suką; kilkanaście, czasami kilkadziesiąt w jednym stadzie. Są wtedy agresywne. Tylko długi sznur może się uratować, jeśli zdążysz położyć go wokół siebie na ziemi. Możesz wygrać wtedy kilka godzin aż do zmroku. Wilk sznura nie przekroczy. Twoje szczęście jeśli będzie przejeżdżała jakaś ciężarówka. Wieczorem można także świeczkę zaświecić w słoiku, bo nie ma z czego robić ogniska. To pomaga chwilowo na stado, póki nie głodne i nie rozuchwalone.

W lutym zawsze chodziłem owinięty sznurem jak alpinista i ze świeczką w dyndającym słoiku. Zapałki trzymałem za wótką, aby były suche...

... Jeśli ktoś znajdzie moje buty z nogami, lepiej żeby rodziła ich nie dostała. Wprawdzie buty pasują na brata; jemu by się przydały. Ale lepiej żeby się łudzili, że ja żyję... gdzieś tajnym sądem zesłany do łagru za byle co. Będą pisać do Stalina, albo do Czerwonego Krzyża po wojnie i pytać o mnie. To lepsze niż świadomość konkretnej śmierci i chowanie samych tylko nóg.

Może mnie znajdą ci z sowchozu i wtedy buty oddadzą Liubie. Zawołają ją od tokarni i powiedzą: „Liubka, miałaś Saszę? — Już nie masz. Twój kochanek wilki nakarmił”. — Może to powie Masza. Masza jest zawistna gorzej niż żmija i dorzuci: „Już nie będzie miał cię kto ruchać na tokarni”. Może Liubka za nią rzuci jakimś kluczem i objedzie zdrowo. Potem popłacze i za chwilę przestanie chlipać, gdy się zreflektuje, że się na nią patrzą, zawstydzona że jej „charakter zmiękł” i wtedy bryznie: „Już nie miał ten w mordę kopany gdzie kitować, tylko z wilkami! Też sobie wybrał kompanię”. — Nie mam jej tego za złe. To jest Liuba. Ona inaczej nie umie. Tak od urodzenia: Ktoś

jej matkę i ona czyjeś matki po kątach przestawiała. Na dobre, czy na złe zawsze kłęła. — „Dogódź mnie, mamusia twoja taka siaka — niech znam polskie kochanie!” — krzyczała w barłogu. — „Cicho” mówiłem ty w mordę trącana. Zamknij dziapę — matka twoja pieska!...” Patrzyła na mnie spode łba i szeptem: „Sasza, ja cię kocham!” — ... Taki to był fason w chutorze.

Liuba weźmie moje buty pod pachę i poprosi kowala, żeby kości wydlubał. Liubie się buty przydadzą. Może sama włoży na podwójne onuce, albo to będzie jej posag. Będzie szukała takiego z moim rozmiarem kopyta. Trudno takiego znaleźć, bo mam małą stopę. Noga dużego chłopca wejdzie, ale bez onucek. Nowy kawaler będzie się musiał wykosztować na skarpetki. Liuba zawsze mówiła: „Uważaj, taka to twoja mać, tylko gówniarza mi nie narób. Jeden tak się do mnie przyczepił z tym kochaniem, że mi balon zrobił — pieska jego niebieska. Mam malucha w przedszkolu”. — Uważałem psiakrew. Teraz będzie miała, kopana moje buty, bez balona. Po cholerę się męczyłem. Tu na wsi nikt się nie męczy, nie gimnastykuje z „tym”. Balony robią po Bożemu. Cała wieś pełna gówniarzy. Masza, ta od wydawania narzędzi, zazdrościła Liubie tokarce, bo nie było na wsi mężczyzn, a ona sama to by i do buhaja podeszła, tak ją roznosiło. Od czasu, jak się o mnie ocierała, waliłem ją z całej siły dłonią po rozłożystym zadzie, tak że leciała od tego uderzenia aż na drugi koniec szopy. Trzymała się wtedy jeszcze za pośladek, ale odwracała uśmiechnięta do mnie i przez zęby chutliwie cedziła: „Ech ty to jaki, znać, że mężczyzna”. Parna była i gziłaby się tylko, a mężczyzn w sowchodzie jak na lekarstwo. Wszyscy w wojsku. Strzelają Niemców.

Żeby tak miał karabin, to bym go pacnął z tyłu za czaszką, albo pod łopatką na komorę — w samo serce. Nawet by nie podskoczył. Po prostu zwałiłby się na śnieg i nie ma wilka. Nie można iść i celować. Trzeba stanąć i prowadzić na muszce blisko bez wyprzedzenia... Wilk się oblizał. Co to znaczy? Nie popatrzył na mnie, gdy się oblizał. Czego się ślinisz ty taki owaki? — Ale nie przekląłem go na głos. Sam nie wiem czy to jest strach uśpiony na dnie duszy, albo przezorność. Lepiej nie prowokować, póki biegnie spokojnie... A może by go tak kamieniem przegonić?

Raz, gdy byłem w miasteczku okłamałem chłopaka z sąsiedztwa, bo rzucał kamieniami do naszej izby. Szybko trudno dostać i ojca mi mógł trafić. Matkę i rodzinę mu objechałem od Boga Ojca i chujów. Mój ojciec to posłyszał i załamał się. Zaczął płakać: „Chciałem ciebie wykształcić. Miałeś jechać do Anglii na studia. Oxford miałeś kończyć...”

„Tatusiu!” — mówię — „przecież ja do niego jego językiem, on inaczej nie rozumie”. Ojciec swoje: „Chciałem ciebie na człowieka...” Rozłościłem się. Mówię: „Nie ma ludzi. Ojcie, TATUSIU! — nie ma tu ludzi. Wszyscy jesteśmy zwierzętami. Tu byli może kiedyś ludzie; ale ONI naprzód ich zgnoili a teraz gnoją nas. W gnoju człowiek musi być zwierzęciem, bo inaczej nie przeżyje. Tatusiu, tamto życie się skończyło. Zrozum, jesteśmy na Marsie. Mamy przeżyć i to wszystko. Będiesz mnie uczył etyki od nowa, jeśli wrócimy. Ja nie chcę tu zdechnąć jako człowiek dobrze wychowany. Nikomu nic po tym. Ja chcę przetrwać ten okres na Marsie nawet jako zwierzę. Widzisz, powiedziałem chłopakowi mięsem po rodzinie i chłopak zmył się do kurzej babci i nie rzuci kamieniem póki ja tu jestem. Ja pójdę, a on znowu zacznie z tobą, bo ty jesteś tu przeżytkiem w tej chwili. Nawet ci władze nie dają pracować w aptece boś Polak i twierdzą, że wytrujesz pół miasta. Tu magister farmacji jest niepotrzebny; wystarczy półanalfabeta. Da aspirynę, da sulfidynę i olej rycynowy. Zwierzęciu dużo nie potrzeba. Tatusiu!...” — ojciec płakał. „Ja chcę przeżyć!” — krzychałem. „Kłąć, pić, rzygać i pieprzyć. Ci co myślą, umierają tu ze zmartwienia, z braku perspektyw. Ja się chcę przystosować, oduczyć od tego cholerskiego myślenia; to jedyny ratunek — recepta”. — Ojciec płakał. Mówił do mnie: „Olesiu, Olesiu...” Chciał coś więcej powiedzieć i nie mógł. Patrzył na mnie, jak gdyby pierwszy raz zauważył, że mam na sobie błyszczącą smarem zdartą watówkę. Chciał zapiąć mi pętlę na guziku i nie mógł...

... Nie chciałem teraz przy wilku rozpiąć watówki, chociaż byłem spocony; aby mi się nie płątała w razie czego...

... Ojciec nie chciał jeść tej garści kradzionego jedzenia, które przynosiłem pod watówką. Zostawia dla mnie. Mówił: „Jedz synu masz młode kości”. Szklanka cukru kosztowała miesięczną pensję. Nie mogłem mu dać słodkiej herbaty, gdy dogorywał z wycieńczenia... Całe miasteczko było podzielone na zamknięte sklepiki: dla generałów i pułkowników, wyższych partyjnych, oficerów, zwykłych partyjnych, milicji i tajniaków... Byliśmy „zwykłymi pracownikami”. Trzeba było stać w ogonku jak inni pariasi od czwartej nad ranem: po sól, lub wódkę, czy chleb na kartki. Wódkę można zamienić na cukier. Nic nie nazywało się, że się kupuje. Nazywało się, że to „dają dzisiaj”. Dają sól. Dają mąkę. Dają garść cukierków przed świętem państwowym, lub trzy łokcie materiału. Oczywiście za wszystko się płaci pieniędzmi. Ale pieniądze nie ważne. Ludzie zawsze pytają: „Co dzisiaj dają?” Całe społeczeństwo można sklasyfikować według zamknię-

tych sklepików, do których należą: na lepszych, gorszych i pariasów bez sklepiku. Z głośników nie ucicha słowo: „równość”, a nawet wilk więcej wart od pariasa. Kto przyniesie głowę wilka, może dostać nagrodę: Dwie szklanki cukru i jeszcze coś tam...

... Prawie sięgnąć ręką — maszerują przy mnie dwie szklanki cukru i jeszcze coś tam... Osłodziłbym ojcu herbatę, żebym choć miał nóż ze sobą.

Wilk zwolnił. Już nie biegnie przede mną, lecz równolegle do mnie. Muszę uważać, żeby mi nie skoczył na grzbiet. Nie puścić go za siebie. Zwalniam więc też i boczę się na niego. Bez strachu, na zimno. Skośne oczy jak szparki. Nie widać jego spojrzenia. BASIOR!

Gdybym miał nóż? Czy łatwo jest go ciachnąć?... Trzeba by podskoczyć do niego tych parę kroków. Jestem przekonany, że usunąłby się i uniknął zetknięcia. Musiałbym go sprowokować. Jak? Gdzie go uderzyć? Czy padnie od razu, jak w szlachtuzie uderzony nożem w serce prosiak...

Nie wiem ile w tym prawdy. Podobno w jesieni dwa wilki prowadziły przez sowchoz upierającego się prosiaka; za uszy. Trzeci wilk podszczypywał go z tyłu, aby raźniej biegł. Prawie jak na rysunkowym filmie. Prosiak nawet nie chrząkał, taki był wystraszony. Ludzie to w nocy widzieli. Cały chutor jak gdyby się zmówił aby nie spać i obserwować wilki wiodące przydużego świniaka. Wszyscy się przysięgali czy to na partię, czy to na Boga, jak gdyby to nie wypadało nie być świadkiem miejscowej sensacji. „WIDZIELI”... i wiadomo, że prosiak znikł z chlewu. Nigdy nie byłem pewien czy to nie wymówka i w grę wchodził wypadek masowej kradzieży, jednego państwowego wieprza. Ktoś gdzieś urządził świniobicie rządowej świni i teraz bajkę puścił o wilkach; nawet ze szczegółami o tym szczypyaniu w tyłek... — I ci co jedli boczek w to „wierzą”. Ja też w to „uwierzyłem”, gdy się obżarłem świniną z olbrzymiej wspólnej patelni, wielkiej jak dno beczki z nafty. Tłuszcz nawet naftą przypachniwał... „Jedz!” — mówili mi dobrzy ludzie. — „Wrzuć sobie na brzuch i w garb, jak wielbłąd. Jedz! Co zjesz to twoje. Jedz, póki masz jeszcze zęby i możesz słyszeć jak mięso skwierczy na patelni. Potem jak przyjdzie twoja kolejka, to ci zęby wypadną w obozie, albo ci je wystukają w murowanym domku, smutni ludzie. Słyszeć też nie będziesz. Mogą cię jeszcze przestraszyć pięścią po uszach. Jedz, póki czujesz zapach tłuszczu. Możesz i zapach stracić jak ci mordę w gównie wytyłają. Jeszcze cię przy tym pouczą dobrych manier: „Nie sraj pod siebie głupcze jak cię biją”. — Jedz, nim cię smutni ludzie śledziami nakarmią...”

... Chce jeść. Znowu się oblizał. Jest chyba głodny. Nie tylko oblizał, ale zmienił tempo. Przyspieszył nie czekając na mnie. Przebiegł truchtem kilka kroków i stanął w zaspie. Teraz się odwrócił mordą do mnie. Wiedziałem, że to „JUŻ”. — Skurcz strachu... a potem jak gdyby coś prysnęło we mnie. Jakieś trząśnięcie drzwiami i złość zalewająca krwią oczy. — Złość zastąpiła strach. Zaczął się nagle nowy film. Może krzyczałem — nie wiem. Wyłem coś przez ściśniętą krtani: Cóż on cholernik będzie mnie tu męczył, niedość, że mnie inni męczą. Biegłem na niego prosto w zaspę. Nie chciałem go minąć bo stał tuż przy ścieżce i mógł po wyminięciu skoczyć mi na kark z tyłu. Musiałem twarzą w twarz... Dyszałem brnąc po śniegu... Dobiec do niego jak najszybciej zanim zdąży się odbić do skoku... Z zasy trudniej jest mu skoczyć czy podejść mnie z boku. Czekał na mnie. W ostatniej chwili jak gdyby przysiadł... Nie odbił się od zasy. Odwrócił się tylko i odskoczył bokiem jak pies zdzielony kamieniem. Jak gdyby nigdy nic; jak gdyby nie miał ambicji... i odbiegł truchcikiem ode mnie szybciej niż mogłem brnąć do niego. Oblizał się przy tym znowu... Psiakrew! Pawłow mi się kłaniał z jego teoriami o ślinieniu się i refleksach warunkowych. Wilk miał cholera apetyt na mnie. Teraz biegł przede mną jak gdyby uciekał, ciągle się oblizując. Widziałem jego czerwony język zwieszony na kłach... Jeść ci się zachciało, co?... Jeść?!?... Pieska twoja niebieska!!!...

... „Jedz!” — mówili dobrzy ludzie podsuwając mi pod nos wielgachne skwarki z państwowego wieprzka. Obżarłem się aż do sraczki. Rzygałem i jadłem. Kucałem w polu za domem, lało się ze mnie, ale w palcach trzymałem przysmażony kawał tłuszczu tego mięcha i jadłem. Piłem fermentowaną bragę aż do zamroczenia, śliniłem się półpijany i jadłem. Chciałem jak wielbłąd na zapas. Olbrzymie kawały galetetowatego tłuszczu z mokrym glieniastym chlebem. Co moje to moje. DZISIAJ!... Czkałem dusząc się gazami od dynamitowego chleba. DZISIAJ, BO DZISIAJ DAJĄ... Jutro zamroczony obudzę się z bólem głowy i wzdętym gazami żołądkiem. Pojutrze znowu wstanę głodny... i będę oszukiwał spieczone usta plackami z dyni. Dobrzy ludzie powiedzą: „Nie każdy dzień prosiak. Za dobrze by ci tu było Sasza. Już Stalin czuwa, abyś się tu mu nie rozwyrzył”... Co on myśli? Wciąż jednak idzie przede mną. Czy sądzi, że osłabnę w kolejnej zaspie? Musi mieć przecież jakiś cel, jakieś „wilcze” wyliczenie, czy coś tam... Nie uwierzę, aby mi towarzyszył, bo mu raźniej na duszy. Na co on liczy?...

Może mu smutno w ten jego wilczy sposób. Może żałuje teraz, że mnie nie zaatakował tak od razu, „z punktu”... Roz-

tkliwiam się chyba. Prawie mi przykro za wilka, że go rozczarowałem. Wiem! JA GO ZAŁAMAŁEM! Stracił wolę walki. Nie stałem się ani na jotę słabszy od tego chodzenia. Chciałbym znowu popatrzeć mu w oczy. Mówię sobie: „Załamany wilk”. Nawet mi go żal. Chcę krzyczeć: „Ja załamane wilka! Jaki jestem silny! Ludzie, nie boję się go! Załamane wilka!”...

... Żeby tak mógł z prezesem sowchozu. Jutro czeka mnie rozmowa z nim: o deputatach i pensji. Będzie mnie wyzywał od polskich *swoloczy* i straszył. Znam jego śpiewkę, że tą dłonią *sobstwiennoruczno* — własnoręcznie rozstrzelał trzystu ludzi, jak był kiedyś w CzeKa. Taki to z niego patriota. I mnie też wykończy, taka to moja mać...

Myślę, że z wilkiem łatwiej. Nie klnie i mogę go zdzielić obciążkami po oczach. Jakie to proste. — A gdyby tak prezesa sowchozu, tego co rozstrzeliwał ludzi w tył głowy i teraz głodzi chutor, bo chce dostać nowy medal za nadplanowe dostawy?!?... Gdyby go tak obciążkami po oczach, jak wilka: ciach, ciach!!! Po oczach i po zębach, aby mi mojej matki nie bezczęścił i do mnie jak do niewolnika... Nie mogę. Zgniłbym na Sybirze. Czterystu ludzi na to czeka w małym miasteczku. Milicja, NKGB, NKWD... Z wilkiem łatwiej...

Chyba zapomniał o mnie. Nie zauważyłem momentu, gdy odłączył się od mojego cienia i powoli, bardzo powoli zaczął odpływać w głąb stepu. Jak szybowiec odlatujący na wstępującym wietrze. Nie spojrzał na mnie na pożegnanie. W ogóle na mnie nie popatrzył. Czułem się dotknięty. Byliśmy przecież tyle czasu razem. Chyba jemu też było rażniej iść obok mnie.

Odplynał.

Zmieszał się ze śniegiem i buranem. Po chwili nie mogłem nawet zobaczyć jego sylwetki. Podskoczyłem do góry, aby lepiej dojrzeć dokąd odszedł. Nic. Wtopił się w płytkie zaspy i rude kępki. Zamienił się z powrotem w część stepu.

Tak długo czekałem na ten moment, prawie całą drogę. Teraz wcale się nie cieszyłem. Ciężej mi było iść samemu. Nikogo więcej przy mnie nie było. Nie potrafię nikomu nigdy wytłumaczyć tego uczucia. Przy wilku uczułem się człowiekiem. Po raz pierwszy od wielu lat... A teraz: nie miałem za kim iść i kogo gonić. Nie miałem o kim i o czym myśleć. Nie potrafiłem, samotny w stepie. Wróciła pustka. Zostałem znowu zdegradowany do insekta. Pustka i senność po zbyt wielkiej emocji. Jeszcze przez chwilę myślałem, że wróci mój wilk i odprowadzi mnie aż do chutoru...

... WRÓĆ! Biegnij przy mnie wilku, chcę myśleć przy tobie swobodnie...

Nie było go już przy mnie. Widziałem z powrotem zatrzaśnięte koło horyzontu. Znowu stałem się więźniem nieskończonej równiny...

Zmięte koszule odwinąłem z ręki do worka. Ciotka na próżno prasowała je dla mnie dziś rano. Prężny krok zamienił się w czałapanie. Raz, dwa, — raz, dwa, — bez końca. Jak oddech. Nie myślałem już o niczym. Nie potrafiłem myśleć. Przykrył mnie szklany klosz i znowu czułem się słaby i mały w ogromie zdarzeń.

Dosyć miałem stepu. Chciałem już tylko być w sowchozie. Jak dziecko. Jeden jedyny cel: osiągnąć sowchoz. Oazę na stepie, z kilkoma drzewami i zamarzniętym stawkiem. Sowchoz z donosami i prezesem czekistą. Z dobrymi ludźmi, którzy bali się siebie nawzajem i swoich własnych dzieci. Ze smrodem przypalonej dyni w stołówce i piaskiem w zębach od niemytej kapusty. Z robactwem i klasami społecznymi, na które tych kilkaset ludzi było podzielonych. Można się przyzwyczaić do izby tortur i w myślach się do niej wraca jak do domu... Nie mam już kolegi wilka. Jestem zupełnie sam. Człowiek sam nie może istnieć. W pustce nie potrafi myśleć, a to prawie boli...

... Na przełaj przez chutor, jak najszybciej, mijając drewniane zapuszczone domki... Nie mówić do nikogo... Zwalić się na zapluskwiony siennik... Strzepnąć buty z nóg. Twarzą do poduszki. Zamknąć zmęczone, przeświecone przestrzenia oczy...

... I póki nie poczuje ukąszeń robactwa...

— SPAĆ! — SPAĆ!

Aleksander PFAU

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

JAK BYŁO

*Ścigając jelenia zapuściłem się daleko w góry i stamtąd
widziałem.*

*Albo może z jakiegokolwiek innego powodu wzniostem się
nad zachodzące słońce.*

*Nad stoki czarnoboru i płat oceanu i karminowe w zmierzchu
stopnie lodowca.*

*Widziałem nieobecność; mocarstwo przeciw-spełnienia; karę
utraconej na zawsze obietnicy.*

*Jeżeli w jurtach z dykty, szczątków opon i plugawej blachy
dawni mieszkańcy tej ziemi potrzęsali jeszcze grzechotką, było
to daremne.*

*Zaden orzeł-stwórca nie szybował w powietrzu z którego
wytracono piorun jego chwały.*

*Opiekuńcze duchy skryły się za podziemne łoża bulgoczącej
rudy i targwały niekiedy powierzchnią aż pękała materia autostrad.*

*Bóg Ojciec nie przechadzał się doglądając latorośli cedru,
nie słyszano już nigdy jego wielkiego oddechu.*

Syn jego nie znał synostwa i odwracał oczy mijając krzyż neonowy, wielki jak ekran strip tease.

Tym razem był to naprawdę koniec Starego i Nowego Testamentu.

Nie błagano i każdy wybierał bryłkę agatu albo diorytu żeby jej tylko szeptać: nie mogę żyć dłużej.

Brodaci wystąpiły w naszyjnikach z paciorków zakładali tajne gminy w imperialnych miastach i portach za morzem.

Ale żaden z nich nie oznajmiał narodzin dzieciątka-odkupiciela.

Żołnierze ekspedycji karzących narody szli w przebraniu i masce na zakazane obrzędy nie po to żeby jeszcze wyglądać nadziei.

Wdychali kojący wszelką pamięć dym i chwiejąc się z boku na bok dzielili się słowem bezimiennego zjednoczenia.

Rzeźbione w czarnym drzewie koło wiecznego powrotu stało przed namiotami wędrownych zakonów.

A którzy tęsknili do Królestwa, jak ja dziczeli w górach, potomkowie zhańbionego mitu.

OKNO

Wyrząłem przez okno o brzasku i zobaczyłem młodą jabłonkę przezroczystą w jasności.

A kiedy wyrząłem znowu o brzasku stała tam wielka jabłoń obciążona owocem.

Więc dużo lat pewnie minęło ale nic nie pamiętam co zdarzyło się we śnie.

Czesław MIŁOSZ

WIDOK DELFT

1.

*W Hadze jest widok Delft
w Hadze jest perspektywa Delft
wystarczy wspiąć się na piętro Mauritshuis
by ujrzeć Delft
panoramy nie przestania wzgórze
nie przestania kasztan rozłożysty*

*Teraz urbanistyka betonu stali szkła
zakryła mi widok Delft
uczciwi obywatele mają dach nad głową
dzieci mają huśtawki w ogrodach i baseny ryb
ale widok rudawej cegły Delft
ale widok ocienionych kanalików Delft
ale widok kościołów Delft
jest zakryty
w pałacu pokoju w salach muzeum
odcięty jestem od tych
 barek przycumowanych
 mostków zwodzonych
 dzieci w kryzach
 kobiet w sabotach*

2.

*Miał wielkie szczęście że ujrzął Delft
może nawet i dziś wystarczy bilet drugiej klasy
ale by widok także utrwalić nie tylko w pamięci
potrzebny był ktoś kto żył w roku 1657
kto albo miasto od dziecka znał
albo przyjechawszy z daleka za interesami
szedł spacerkiem piaszczystym nadbrzeżem kanału
szedł po prawej mając mury wieżyczki miasta
szedł gdy dopisywała pogoda
poprzedniego dnia było parno lecz w nocy
spadł deszcz biły pioruny
dlatego teraz w chłodniejszym powietrzu
obłoki przelatuja szybko po czystym niebie
czasem są to nawet chmury ciemniejsze gradowe
i właśnie w ten dzień
taki jest widok Delft
tylko niektóre domy rozświetlone słońcem
mury miejscami szare przygaszone*

3.

Wiele rzeczy kochałem
język który układał się w strofy
lament klawikordu
podróż pociągiem międzynarodowym widok
zalesionych gór nad wodą
pożądałem jasne ciało kelnerki w Delft
piłem ciemne piwo
przez szkło sprawdzałem fakturę obrazów

4.

Są to składniki najprostsze
woda cegły obłoki światło słońca
grupki kobiet mężczyzn małych dzieci
zbyteczna jest interpretacja alegoryczna
niepotrzebne szczegóły biograficzne
zagadkowe historyczne tło
ustrój społeczny i stan gospodarki
Nie wiem kim była jego żona
nie wiem kto go uczył kłaść farby na płótno
nie wiem dlaczego znalazł się w Delft
w dzień nieco zachmurzony
czy to był przypadek
nagle wezwanie w strony odległe
czy też wynik z premedytacją podjętego zadania
obowiązku obywatelskiego zamówienia
cechu jubilerów
i nie o to chodzi

5.

Dziś widok miasta przestoniła
niespodziewana mgła pociąg się spóźnił
było już ciemno błądziłem i czas traciłem
nikt nie znał mojego języka
przeszła bezpowrotnie odpowiednia chwila

6.

Można to nazwać idealnym aktem płciowym
paradoksem Grellinga
żeby temu który brunatnych murów
który słońcem oświeconych dachówek
który wody z barkami

*w dzień wietrzny wiosenny nie widział
dać pojęcie wyglądu Delft
nie przestłoniętego siecią wysokiego napięcia
nawet wytwórną lśniących fajansów*

7.

Zobaczyłem Delft

*długo czekałem na tę chwilę
dni schodziły i lata
czytałem mądre książki
córce opowiadałem dzieje Babilonu
z synem dyskutowałem nieskończoność czasu
spierałem się z żoną o kolor tapety
płaciłem rachunki
zamykałem okna
otwierałem drzwi
jadłem obiad kaszlałem
lecz ciągle wierzyłem że ujrzę Delft
nie we śnie nie na pocztówce nie na ekranie
że ujrzę wieżyczki fortifikacyjne
odbite w lekko sfalowanej wodzie
widziałem Delft
mam w oczach Delft
zobaczyłem Delft
opiszę Delft*

8.

*W parku miejskim palą liście
kaształy przestłonięte niebieskawym dymem
do stawu przy którym bawią się dzieci
pikuje kaczka
elipsę lotu hamują płetwy
trzepot skrzydeł
teraz nieruchomą lekko unosi sfalowana woda*

Adam CZERNIAWSKI

Zweig i Erenburg

Brałem udział w trzech kolejnych kongresach PEN-Klubów: w roku 1953 w Dublinie, w roku 1954 w Amsterdamie, w roku 1955 w Wiedniu. Nie pamiętam już na którym z nich — zdaje się że na amsterdamskim — miejsce przy stole podczas obiadu kongresowego wypadło mi obok Arnolda Zweiga. Reprezentował PEN-Klub wschodnioniemiecki, był już bodaj po Brechcie jego prezesem, łącząc tę godność z fotelem prezesa Akademii Sztuki. Apogeum w jego karierze miało jednak dopiero nastąpić w roku 1958, dokładnie w dziesięć lat po powrocie z Haify do wschodniego Berlina, kiedy uwieńczono mu czoło laurem Leninowskiej Nagrody Pokojowej. Dla jednego z największych europejskich powieściopisarzy pacyfistycznych był to zapewne uroczysty moment. I symboliczny odwet na malarzu pokojowym, który w roku 1933 zmusił go do ucieczki z kraju ojców i dziadów i do schronienia się w kraju biblijnych praszczurów.

Jest nie do wiary jak zmieniają się zamożni nawet pisarze, ilekroć otwiera się przed nimi kongresowy sezam dobrego i obfitego jedzenia i picia *gratis*. Czyżby działał tu zwycięski mimo wszystko „archetyp” głodomora literackiego? Zweig był w moim najbliższym otoczeniu wyjątkiem. Jego łakomstwo było innego rodzaju. Łaknął rozmowy, zdawał się wygłodniały intelektualnie. Rozmowy nie kleiły się jednak z dwóch przyczyn. Po pierwsze, „koledzy z Zachodu” traktowali go trochę jak stare dziwadło i straszydło z innej epoki, kilka razy padło szeptem nieuniknione na wszelkich obiadach literackich słówko *gaga*. Po drugie, czuwała w ciągłym napięciu grubo od męża młodsza pani Zweig. Należałoby kiedyś napisać nowelę o żonach sławnych „pisarzy stamtąd”, towarzyszących swoim mężom w niebezpiecznych wyprawach *in partibus infidelium*. Pokłon, niski pokłon, tym wiernym i cierpliwym męczennicom które interweniują zawsze we właściwej chwili, by przypomnieć zbyt w konwersacji rozpędzonym mężom że trzeba zażyć pastylkę na serce, lub skromnie i z opuszczonymi oczami zauważają, że jeszcze nigdy czytelnictwo nie

było zjawiskiem tak powszechnym jak w krajach socjalistycznych... „Jaki miała nakład twoja ostatnia książka, kochanie?“. „Trzydzieści tysięcy egzemplarzy, rozsprzedano je w ciągu trzech dni” — odpowiada nie bez dumy otrzeźwiony i szczęśliwie rzeczywistości przywrócony mąż. Taki właśnie przebieg miały wówczas w Amsterdamie próby rozmowy Zweiga i z Zweigiem. Ledwie w jego wzroku pojawiał się na okamgnienie ironiczno-sceptyczny ogień, dobrze znany bywalcom przedhitlerowskich kawiarni wiedeńskich i berlińskich, pani Zweig wkraczała ze swoją cichą i błagalną gaśnicą. I znowu ten wzrok stawał się szary, zmęczony, prawie wyblakły. Przyglądałem się ze smutkiem autorowi *Sporu o sierżanta Griszę*, książki która należała niegdyś do żelaznego repertuaru moich młodzieńczych lektur.

Arnold Zweig urodził się w roku 1887 w Głogowie na Śląsku, ma więc dziś dokładnie osiemdziesiąt lat. Debiutował *Nowelami o Klaudii* i dramatem *Mordy rytualne na Węgrzech*, ale sławę przyniósł mu dopiero *Spór o sierżanta Griszę*: powieść, którą stawia się słusznie obok *Ognia Barbusse'a* i *Na zachodzie bez zmian* Remarque'a. Pochodzi z ubogiej rodziny rymarza, był od wczesnej młodości socjalistą i marksistą. Zdobycie władzy przez Hitlera wyгнаło go z Niemiec do Palestyny. Osiedlił się w Haifie, mieszkał tam do roku 1948. Zapomniano by o nim stopniowo, bo na emigracji i pod opiekuńczymi skrzydłami Ulbrichta przestał w praktyce pisać, gdyby nie ten nieszczęsny powracający ogień w coraz słabszych oczach; i gdyby nie osłabiona na chwilę czujność żony.

Prasa niemiecka ujawniła niedawno dwa listy Zweiga do przyjaciół w Izraelu. Trudno pochwalać tę niedyskrecję, zarówno ze strony adresatów jak ze strony koncernu prasowego Springer, tekst pozostaje jednak tekstem. W jednym z listów, skierowanym do pisarza izraelskiego Leo Heimanna, mowa jest o wschodnich Niemczech jako o „rosyjskiej satrapii” w której „życie stało się piekłem”. „Odmówiłem — kontynuuje tenże list — udziału w kampanii zmierzającej do likwidacji Izraela i popieranej przez tutejsze władze, gdyż jest równoznaczna z polityką ludobójstwa i eksterminacji Żydów uprawianą przez hitlerowców... Przeklinam dzień w którym wyjechałem z Haify, lecz za późno już na skargi. Lepiej umrzeć jak człowiek, niż żyć jak tchórzliwy zając”. Można być pewnym że tego wieczoru, gdy w liście do przyjaciela w Izraelu rozległ się na nowo głos autora *Wychowania pod Verdun*, pani Zweig wyszła na długo z domu.

Jej wierną i czujną obecność u boku męża odczuwamy natomiast w pełni, czytając oficjalne oświadczenie Zweiga złożone na ręce przedstawiciela wschodnioniemieckiej agencji prasowej: „Nigdy, nawet pod brudnym panowaniem Goebbelsa, nie wymyślono na mój temat podobnych kłamstw”. Pani Zweig była też obecna nazajutrz, podczas rozmowy męża z bliżej nieokreślonym „gościem z zachodniego Berlina”. Tak o tym pisze korespondent *Corriere della Sera* z Bonn: „Pisarz zapewnił że nigdy nie posyłał żadnych listów do obywateli Izraela, i że nigdy nie nosił się

z zamiarem opuszczenia wschodnich Niemiec. Rozmowa toczyła się w obecności żony, zważywszy zły stan zdrowia Zweiga; więcej, to pani Zweig właśnie ją prowadziła. Pisarz, który jest niemal ślepy i mówi z ogromnym wysiłkiem, przyznał jednak że to co pisały gazety komunistyczne o Izraelu było bardzo nieprzyjemne. Jego zdaniem zawinił tu brak ścisłych informacji. Gość z zachodniego Berlina zapytał wtedy pisarza, czy uważa państwo żydowskie za napastnika a państwa arabskie za ofiary agresji. Nie — padła odpowiedź". Była to zapewne odpowiedź równie błyskawiczna jak krótka, wykorzystująca fakt że ostatniego pytania nie usłyszała roztargniona w swym przerażeniu pani Zweig.



Także z osobą Erenburga związane jest pewne moje wspomnienie osobiste. Było to chyba jesienią 1959 roku, w każdym razie po ostatecznym zaszczuciu Pasternaka w Rosji a przed jego śmiercią. Autora *Odwilży*, podróżującego po zachodniej Europie, zaproszono do neapolitańskiego oddziału stowarzyszenia *Italia-URSS*. Mała sala mieściła zaledwie setkę słuchaczy. Za stołem prezydialnym stanął Erenburg, gotów do odpowiedzi na pytania komunistycznego przeważnie audytorium (za pośrednictwem tłumacza). W pierwszym rzędzie zasiadła żona pisarza, janusowo zwrócona jedną stroną twarzy do męża a drugą do nas oczekujących jego krasomówczego popisu.

Pytania były z początku nudne i stereotypowe, odpowiedzi też. Nagle wstał młody chłopak, komunista, i z rumieńczykiem zażenowania na policzkach zapytał jak to właściwie jest z tym *Doktorem Żiwago*, który w rękach prasy burżuazyjnej i reakcyjnej stał się narzędziem zimnej wojny i bezwstydnej nagonki na ojczyznę proletariatu światowego. Erenburg zdawał się czekać na to pytanie. Jego wargi ułożyły się w pogardliwy uśmieszek wyższości, jego prawa ręka wykonała w powietrzu ruch kuglarza który za chwilę wyciągnie za uszy z górnej kieszonki kamizelki żywego królika. I rzeczywiście ujrzelśmy niebawem żywego królika: „Jest tak, drogi towarzyszu, że uważam Pasternaka za wielkiego poetę i za bardzo złego powieściopisarza; *Doktor Żiwago* jest po prostu bardzo złą powieścią". Ostatnie słowa były z naciśkiem, i jakąś dziwną zawziętością w oczach, wyskandowane. Nagroził je wybuch oklasków. Pani Erenburg promieniała.

Wyczekawszy tyle ile trzeba aby incydent uznano za definitywnie zamknięty, i aby mówca odczuł roz pogodzenie atmosfery, zadałem niewinne i nieśmiałe pytanie o ogólny poziom produkcji powieściowej w Związku Sowieckim. Erenburg, nie podejrzewając zasadzki, nałożył teraz maskę jowialnego liberała, który nie omija żadnej dobrej sposobności by pokazać że jest zagranicą całkowicie niezależny w swoich sądach. „Poziom ogólny produkcji powieściowej jest u nas wciąż jeszcze bardzo niski, nie róbmy sobie złudzeń, drogi przyjacielu: wychodzi u nas co roku więcej

może nawet szmir niż na Zachodzie, ale co jest ważne to podskórna zdrowa tendencja rozwojowa naszej literatury socjalistycznej". Znowu rozległy się oklaski, znowu pani Erenburg promieniała. Wśród jej promieni pojawił się jednak cień niepokoju, gdy poprosiłem powtórnie o głos: „Jeśli poziom ogólny produkcji powieściowej jest w Związku Sowieckim tak niski, jeśli z drugiej strony Pasternak jest wielkim poetą który ubzdurał sobie że napisał dobrą powieść, to czy nie można było zadowolić jego próżności wydając obok wielu innych szmir także jego szmirę? Ostatecznie autor *Doktora Żiwago* ma pewne zasługi dla literatury rosyjskiej”. Zapadła cisza. Zbladł pisarz, zbladła jego żona. Nigdy nie zapomnę wściekłego wyrazu twarzy Erenburga, twarzy kuglarza któremu wyrwano naraz podstępem z ręki żywego rzekomo królika, by zademonstrować ogłupiałym widzom że jest tylko martwą i sztucznie nadmuchaną zabawką. Żona, nieśmiertelna żona „pisarza stamtąd” buszującego zbyt lekkomyślnie po najeżonych pułapkami krainach innowierców, nie odrywała od męża błagalnego spojrzenia. W końcu autor *Odwilży* wykrztusił przez zaciśnięte zęby: „Tak, niewydanie *Doktora Żiwago* w Rosji było błędem”. Nazajutrz to zdanie zdobiło, w tytułach sprawozdań z występu Erenburga w Neapolu, całą prasę włoską z wyjątkiem komunistycznej.

Po śmierci Erenburga napisano dużo głupstw o jego „postaci tragicznej”. Erenburg nie był postacią tragiczną, tragiczne były czasy w których odgrywał rolę wiecznego kuglarza, „piskorza przemądrego”, znającego tylko jedną granicę: strachu. Powiedzieć publicznie w roku 1959, że niewydanie w Rosji *Doktora Żiwago* było błędem: to mogło jeszcze ująć na sucho. Bywało kiedyś gorzej, znacznie gorzej. Pisze o tym sam Erenburg w swoich pamiętnikach.

Czytamy w nich o Stalinie: „Zawsze ignorował własne zbrodnie, co więcej potępiał je na forum publicznym. Przyjmując raz delegację ormiańską, zapytał z wielkim szacunkiem o jednego z poetów tego kraju; w kilka miesięcy później kazał go aresztować i rozstrzelać”. I komentarz Erenburga: „Nie kochałem Stalina, ale przez długi czas wierzyłem w niego i bałem go się. Wiara, podobnie jak strach, jest zaraźliwa. Stalin był człowiekiem o wielkim umyśle, lecz o jeszcze większej perfidii”. Jest w tym cały Erenburg, jego bezgraniczna pycha maleńkiego tchórzka. Nie wystarcza mu nawet po latach wyznać z pokorą: „Bałem się, bałem się dniem i nocą tego przewrotnego tyrana, który zapytawszy raz z wielką estymą o mego ormiańskiego kolegę po piórze, kazał go wkrótce potem zgnoić”. Nie — skoro on, Erenburg, bał się Stalina, to musiał w niego również „wierzyć” i musiał w nim również mimo wszystko widzieć „człowieka o wielkim umyśle”. Tacy jak Erenburg, śmietanka intelektualna kraju, nie mogą się zwyczajnie bać zwykłych satrapów politycznych. Ich strach wymaga, by mu towarzyszyła „wiara”; i by został przynajmniej nobilitowany i wysoko wyniesiony „umysł” tego, który sieje postrach. W innym miejscu swoich pamiętników Erenburg zauwa-

za, że „istnieją okresy historyczne, w których los człowieka podobny jest raczej do loterii niż do rozgrywanej według wszelkich reguł partii szachów”. Brzmi to skromnie. A przecież Erenburg dokonywał cudów sztuki kuglarskiej, by przekonać świat że i on na swoim podwóreczku rozgrywa z wiarą w zwycięstwo małą partię szachów. I oburzał się ilekroć mu wskazywano, że jest tylko mizernym, nic nie znaczącym, używanym do najgorszych posług pionkiem. Po zejściu „wielkiego umysłu” do grobu było już za późno, by *Odwilżą* czy stawianiem świeczek na ołtarzykach Czechowa i Stendhala odrobić stracony czas.

O tym jak mizerny pionek przesuwany był na szachownicy opowiada eseista angielski T. R. Fyvel w doskonałym szkicu *Szczęśliwa gwiazda Ilji Erenburga*.

Najpierw *Julio Jurenito* (1922) i *Burzliwe życie Lejzorka Rotszwanca* (1927), dwie książki napisane zagranicą i niewątpliwie najlepsze w całym bogatym dorobku Erenburga. *Lejzorek Rotszwanc* zawierał pewne *credo*, dość nonkonformistyczne gdy się pamięta rok wydania: „Myślicie że kiedy się zabija człowieka i przybija mu się śmiertelny stempel, jakby nie był rzeczywistym trupem lecz raczej tabliczką mnożenia cudownej przyszłości, myślicie może że krew przestaje być wówczas krwią?”. Ale trzeba było jakoś żyć w Paryżu, a co ważniejsze — trzeba było posiadać tytuł do odnawiania paszportu sowieckiego na tej osobliwej emigracji dozwolonej przez władze. Biedny Lejzorek zostaje porzucony i zdradzony w *Drugim dniu stworzenia* (1932), powieści o Komsomole, na rzecz dewizy (lub, jeśli kto woli, dewiz) że intelektualista sowiecki stawiający własne sumienie ponad „wolę kolektywu” skazany jest na zagładę. Ta książka staje się równoznaczna z drogocenną bezterminową książeczką paszportową, dzięki której w latach wznoszenia się fali hitleryzmu i faszyzmu w Europie, wojny domowej w Hiszpanii, rozszalałego terroru stalinowskiego w Rosji, twórca Rotszwanca i Jurenity skacze z Paryża do Moskwy i *vice versa* z dezynwolturą konika polnego. Wybuch drugiej wojny światowej zastaje go w Paryżu. Co czuje w głębi serca autor *Drugiego dnia stworzenia*, oglądając na Polach Elizejskich przemarsz wojsk niemieckich, nie wiadomo. Wiadomo tylko, że pamięta dobrze pakt Ribbentrop-Mołotow i artykuł *Prawdy* witający „nowy wielki triumf armii niemieckiej”. *Ogoniok* drukuje jego reportaż o upadku Paryża, w którym mowa jest po kuglarsku o wszystkim i wszystkich z wyjątkiem agresorów. Robi się jednak zbyt gorąco w „najpiękniejszym mieście świata” okupowanym przez niewidzialnych przybyszów z Marsa, zbyt gorąco nawet z paszportem sowieckim w kieszeni. Erenburg wraca do kraju tuż przed 21 czerwca 1941 roku. Mikrofony radia moskiewskiego transmitują teraz *wsiem, wsiem, wsiem* jego bojowy okrzyk: „Hitler zaczął wojnę, Stalin ją skończy!”. *Wsiem, wsiem, wsiem*, ale przede wszystkim *jew-rejam*. 14 sierpnia wskrzeszony z popiołów Lejzorek pisze w *Prawdzie*: „Jestem Rosjaninem, pisarzem rosyjskim, lecz Hitler

przypomniał mi coś innego. Moja matka nazywała się Hana, jestem więc Żydem. Mówię to z dumą. Nas Hitler nienawidzi najbardziej, i ta nienawiść przynosi nam zaszczyt".

Erenburg oddycha nareszcie pełną piersią. Jego audycje i artykuły antyniemieckie ociekają krwią, żołnierze w okopach uczą się ich na pamięć. Jest z polecenia Stalina jednym z promotorów Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, do którego wchodzi również sławny aktor Michaels, znani pisarze *jidysz* Fefer, Bergelson i Markisz, stary dyplomata Łozowski. Komitet opracowuje projekt przesiedlenia po wojnie uchodźców żydowskich na Krym z pomocą finansową Żydów amerykańskich. Wraz z wymienionymi Erenburg udaje się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych po oficjalny *placet*. Nie ma żadnych trudności, projekt podoba się na Kremlu bardzo. Data spotkania delegacji z rzecznikiem ministerstwa: 10 lipca 1944 roku. Jest to szczyt euforii, w kilka miesięcy później fala zaczyna groźnie odpływać odbita przez wynurzającą się z morza krwi skałę nazwiskiem Ulbricht. W marcu 1945 roku Aleksandrow atakuje bez obstrukcji Erenburga w *Prawdzie* za antypartyjne wrzucanie do jednego worka „złych” i „dobrych” Niemców; w artykule nie brak aluzji do „zażydzenia” prasy sowieckiej. W pierwszej chwili Erenburg reaguje śmiało: na zebraniu Związku Pisarzy oskarża o antysemityzm Tichonowa i Wiszniewskiego, wyciąga z kieszeni odręczny list Stalina z pochwałą jego działalności literackiej.

Trwa to krótko. W latach 1947-48 zmienia się radykalnie polityka sowiecka: dosyć popierania nowopowstałego Izraela, czas na kokietowanie nacjonalistów arabskich. U progu roku 1948 Michaels płaci głową za przebrzmiałe iluzje Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego. Mnożą się aresztowania wśród Żydów moskiewskich. A wskrzeszony z popiołów Lejzorek? 26 października 1948 roku ogłasza w *Prawdzie* gwałtownie antyżydowski artykuł. Wyśmiewa w nim „komiczną i kontrrewolucyjną ideę” wspólnoty żydowskiej, przylepia Izraelowi etykietkę „prywatnej kolonii miliarderów amerykańskich” i „śmiesznego karłowatego państewka kapitalistycznego”. Nie pamięta już, że w roku 1943 podpisał wraz z Michoelsem, Feferem i Bergelsonem apel do palestyńskiego Histadrutu, zakończony słowami: „Maszerujemy w kierunku wskazanym przez Makabeuszy sowieckich, którzy walczą w szeregach koalicji antyhitlerowskiej. Ta walka łączy nas i was, Żydów całego świata, więzami przyjaźni które nie rozluźnią się po zwycięstwie i zmieceniu faszyzmu z powierzchni ziemi. Jesteśmy znowu zjednoczeni”. Rok 1949 pogarsza sytuację: można go bez przesady nazwać rokiem łapanek inteligencji żydowskiej, szczególnie pisarzy i aktorów *jidysz*. W roku 1952 wszyscy główni przywódcy Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, z wyjątkiem Erenburga, stają przed sądem. Oskarża ich się teraz o „burżuazyjny kosmopolityzm”, projekt przesiedlenia po wojnie uchodźców żydowskich na Krym staje się teraz „spiskiem” zmierzającym do oderwania Krymu od Związku Sowieckiego. Z dwudziestu czterech oskarżonych uchodzi z życiem tylko sędziwa

uczona, Lina Stern. Dzięki aktowi odwagi: kiedy podczas procesu osławiony Abakumow nazywa ją „kurwą”, Lina Stern odpowiada: „Jak śmiecie znieważać jedyną kobietę zasiadającą w sowieckiej Akademii Medycznej? Jest hańbą dla kraju socjalistycznego, że osobnik waszego pokroju zajmuje stanowisko ministra i nosi nawet mundur generalski!”. Okres pogromu wyraża się następującymi cyframi rozstrzelanych lub zesłanych do łagrów: 238 pisarzy *jidysz*, 106 aktorów *jidysz*, 19 muzyków, 87 malarzy i rzeźbiarzy.

A Erenburg? Z *Burzliwego życia Lejzorka Rotszwanca* zostaje sama *Burza* z takim finałem: „Kiedy zbliżyli się do mauzoleum, Nina Gieorgiewna spojrzała na Stalina. Uśmiechał się. Nina Gieorgiewna uśmiechnęła się także, uśmiechnęła się do człowieka który znał stary świat, który walczył u boku Lenina, który był wielokrotnie więziony i wziął na swoje barki najcięższe brzemię: wzmocnienia państwa sowieckiego, przeprowadzenia narodu przez burzę, a obecnie obrony jego życia, jego szczęścia rodzinnego, jego pokoju. Na chwilę słońce wychyliło się spoza ciężkiej zasłony szarych chmur. „Niech żyje chorąży pokoju!”. Wszystkie oczy były skierowane na Stalina, i Nina Gieorgiewna pomyślała: oto cały świat patrzy na Niego”.

Zapłaciwszy z nawiązką wymaganą cenę, mizerny pionek wraca chociaż do ulubionego sportu konika polnego, wciąż przekonany, że nie jest pionkiem. Wraca, dla odmiany, w roli „herolda pokoju”. W roku 1954 zjawia się w Londynie i z podniesionym dumnie czołem staje przed dziennikarzami na konferencji prasowej. „Fefer, Bergelson, Markisz? Nigdy nie znałem osobiście tych pisarzy. Nic o nich nie wiem”. To samo powtarza podczas objazdu Ameryki. Ale w *Hôtel Royal-Monceau* w Paryżu, w trakcie uroczystości wręczenia Stalinowskiej Nagrody Pokojowej b. ministrowi Pierre Cot'owi, dostrzega na sali grupę Żydów. „Nie mam czasu do stracenia z takimi ludźmi jak wy!” — wykrzykuje w popłochu. I zwraca się do gospodarzy francuskich z prośbą o ochronę.

W roku 1955 zaczynają przeciekać na Zachód wiadomości o żydowskich więźniach łagrów sowieckich, którzy w przedśmiertnych spowiedziach przeklinali Erenburga. Podejmują je dwa pisma: *The Spectator* i *Le Monde*. W dwa lata potem, z okazji przyjazdu Erenburga do Paryża, *Figaro Littéraire* pisze: „Za każdym razem kiedy Moskwa chce poprawić stosunki kulturalne z Francją, przysyła nam tego pana Erenburga którego oportunizm jest po prostu akrobatyczny. Nie tak dawno jeszcze wychwalał on Stalina w sposób przyprawiający o mdłości; ledwie tyran wyzionął ducha, jego adulator przedzierzgał się błyskawicznie w jego krytyka na kartach złej powieści pod tytułem *Odwilż*”. Cios jest zbyt celny, by udawać że go się nie zauważa. Erenburg wysłał do *Le Monde* list w trzech punktach: 1) jakkolwiek ofiary arbitralnych prześladowań Berii należały do wszystkich narodowości sowieckich, jest prawdą że w roku 1949 znalazła się wśród ofiar

pewna ilość pisarzy żydowskich, jego najbliższych przyjaciół; 2) dowiedział się o ich tragicznym losie dopiero w kilka lat później, kiedy ich publicznie zrehabilitowano; 3) co do oskarżeń że jest częściowo odpowiedzialny za ich śmierć, to dziwi się że poważne pisma dają posłuch podobnym insynuacjom, opartym na rzekomych wyznaniach ludzi już nie żyjących, a więc niezdolnych do zaprzeczeń. *Le Monde* odpowiada łodowato również w trzech punktach: 1) jak Erenburg wie, czystka Berii i Stalina z roku 1949 nie była wymierzona przeciw obywatelom sowieckim wszystkich narodowości, ale przeciw wybitnym osobistościom narodowości żydowskiej; 2) nikt przy zdrowych zmysłach nie jest w stanie uwierzyć, że Erenburg nie wiedział o masowej egzekucji intelektualistów żydowskich, a szczególnie o rozstrzelaniu dwudziestu trzech osób skazanych w procesie z roku 1952; 3) jeśli Erenburg mówi dziś o tych zamordowanych pisarzach jako o swoich „najbliższych przyjaciółach”, to dlaczego w latach 1950-1955 nie przyznawał się nawet do zwykłej z nimi znajomości?

W szkicu Fyvel'a z roku 1960 Erenburg nazwany jest delikatnie „starym konformistą nonkonformistycznym”: zapewne z myślą o przyszłej poprawie delinkwenta. Równie delikatnie, choć z innych powodów i dzięki temu bardziej wymownie, napisał o nim niegdyś Pasternak: „Erenburg, pisarz inteligentny, człowiek obrotny i wszechstronny, zupełne moje przeciwieństwo”.



W zeszłym roku miesięcznik *Moskwa* ogłosił w dwóch numerach pośmiertną powieść Michaiła Bułgakowa *Mistrz i Małgorzata*. We Włoszech rzuciło się na nią aż trzech wydawców równocześnie. Ale jeden z nich, Einaudi, odkrył ostatnio że wydanie moskiewskie zostało dokładnie „wyczesane” przez cenzurę. I zdołał usunąć partie, fragmenty, a nawet poszczególne zdania, łącznej objętości około siedemdziesięciu stron. Nowe, pełne wydanie włoskie jest już dostępne dla admiratorów *Mistrza i Małgorzaty*. Wśród przywróconych kartek znajduje się epizod z przepięknej noweli o Chrystusie i Piłacie: po śmierci Judasza prokurator Judei wzywa do siebie Levi Mateusza i zabiera mu pergamin gdzie zapisywał on myśli ukrzyżowanego niedawno Chrystusa. Główna z tych myśli brzmi tak: „Największym kalectwem jest tchórzostwo”. Tchórzostwo moralne było dla Bułgakowa najcięższym złem, więcej: nie-złem i nie-dobrem, zerem człowieczeństwa, próżnią egzystencji. Łatwo zrozumieć cenzora sowieckiego: w tej próżni egzystencji nie chcą dłużej żyć młodzi pisarze rosyjscy typu Gałanskowa.

Szczęśliwa gwiazda Ilji Erenburga... Perykles mówi u Tucydidesa: „Nie ma szczęścia jeśli nie ma wolności, a wolność to odwaga”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

26 września 1967.

Koszary Szołochowa

Autor niniejszego artykułu, Jurij Timofiejewicz Gałanskow, jest młodym pisarzem sowieckim, jednym z redaktorów nielegalnego pisma literackiego *Feniks 66*. Po niedawnym wyroku skazującym jego towarzyszy, Kuszewa i Bukowskiego, za organizowanie zgromadzeń studenckich w obronie Siniawskiego i Daniela, oczekuje on w więzieniu na rozprawę sądową wraz z Aleksiejem Dobrowolskim i Aleksandrem Ginzburgiem. Warto przypomnieć że przemówienie Szołochowa na XXIII Zjeździe KPZR wywołało na Zachodzie gwałtowną reakcję w lewicowych kołach intelektualnych. Między innymi Alberto Moravia pisał w *Liście otwartym do Szołochowa* z 10 kwietnia 1966 roku: „Kiedy oświadcza pan że obrońcy Siniawskiego i Daniela powinni się wstydzić, musimy panu powiedzieć, że to pan powinien się wstydzić”.

W swoim przemówieniu na XX Zjeździe KPZR Michaił Szołochow oświadczył: „Chciałbym powiedzieć kilka słów o roli pisarza w życiu społeczeństwa: jeszcze i dzisiaj aktualne jest w stosunku do artystów całego świata pytanie Maksyma Gorkiego: „z kim jesteście, nauczyciele kultury?” Na pytanie to odpowiedział Stalin: „kto nie jest z nami, jest przeciwko nam”. Już na początku XX wieku Lenin z całą stanowczością przeprowadził rozróżnienie pomiędzy kulturą proletariacką a kulturą mieszczańską, formułując zasadę partyjności literatury i ustalając stosunek zależności pisarza od „worka z pieniędzmi”.

Niewątpliwie, pisarz zależy od „worka z pieniędzmi” w takiej samej mierze jak ktokolwiek inny. Ale literatura nie. Stawiać literaturę w tym stosunku zależności znaczyłoby zabić ją, tak właśnie jak stało się z literaturą sowiecką. Na szczęście „worek z pieniędzmi” nie jest wszechmocny. Bardzo często to *on* musi poddać się wszechmocy literatury. Cała poważna literatura XIX i XX wieku, która surowo krytykowała etyczno-polityczne postawy klasy panującej, nie tylko nie znikła, ale przeciwnie — prosperowała doskonale w społeczeństwie które zwalczała. I to jest zupełnie zrozumiałe. Jeżeli, na przykład, rzucimy okiem na współczesną literaturę rosyjską, zauważymy że największą popularnością cieszą się literatura i pisarze, którzy są w opozycji do reżymu i władzy. Jewgienij Jewtuszenko, na przykład, mówi otwarcie: „Robię karierę dzięki temu, że jej nie robię”. To ma swój sens. Rzecz prosta, że pospolity karierowicz literacki nikogo nie interesuje. Natomiast karierowicz, który robi karierę dzięki temu, że jej nie robi, to zupełnie co innego, to jest co najmniej ciekawe. A świat jest pełen ciekawskich i głupców.

W związku z tymi wypowiedziami na temat zależności literatury od „worka z pieniędzmi”. Czytelnik zechce rozważyć co następuje: przykładem upadku do jakiego prowadzi „worek z pieniędzmi” jest fakt, że uchwalono przyznać nagrodę Nobla Michaiłowi Szołochowowi. Inteligencja rosyjska poddana na tak ogromną skalę uciskowi politycznemu dyktatury stalinowskiej i zdziśiatkowana przez nią fizycznie, nigdy nie wybaczy kulturze zachodniej uhonorowania Szołochowa, człowieka, który ciesząc się grubo przesadzonym autorytetem rozwija zgubną działalność dla kultury i dla wolności sztuki w Rosji.

Występując na Zjeździe pisarzy, Szołochow wypowiedział się w następujący sposób o sprawie Siniawskiego i Daniela: „Niektórzy, chowając się za humanistyczne frazesy, płaczą nad surowością kary. Widzę tutaj politycznych delegatów naszej umiłowanej sowieckiej armii. Jak zachowaliby się oni gdyby ktoś należący do ich oddziału okazał się zdrajcą? Nasi żołnierze wiedzą doskonale, że humanizm nie ma nic wspólnego z mięczakowatym ślinieniem się”.

Możliwe że prawa trybunału wojkowego są surowe, i że „nasi żołnierze” o humanizmie wiedzą tylko tyle, że „nie ma on nic wspólnego z mięczakowatym ślinieniem się”. Niech i tak będzie. Ale co nasz mówca chciał przez to powiedzieć? Przypuszczalnie w wyobraźni Szołochowa państwo sowieckie jest czymś w rodzaju koszar wojskowych, co pozwala mu widzieć Siniawskiego i Daniela jako zdrajców zdemaskowanych nagle w jednym z oddziałów tego państwa-koszar, czyli w Związku Pisarzy Sowieckich. Wtedy wszystko staje się jasne. Wtedy „nasi żołnierze” obowiązani są bez wątpienia działać konsekwentnie, kierować się w swoim działaniu nie przepisami kodeksu — które w najlepszym razie odpowiadają ustrojowi państw demokratycznych — ale normami ustawodawstwa wojkowego, napisanego specjalnie dla koszar.

Zniżając się do porównań o zapaszkach wojskowo-koszarowym, Szołochow zdradza się i odsłania swoją psychologię „kantoniści” literackiego. Niektóre słowniki tak tłumaczą słowo „kantoniści”: „Synowie żołnierzy w Rosji feudalnej, którzy na zasadzie pańszczyzny od urodzenia należeli do Ministerstwa Wojny”. Można jeszcze od biedy zrozumieć, że Szołochow wyobraża sobie całą Rosję jako jeden wielki rezerwat kantonalny, gdzie wszyscy ludzie należą od urodzenia do Ministerstwa Wojny, zaś Związek Pisarzy Sowieckich, jako pododdział tego „rezerwatu”. Zupełnie natomiast jest niezrozumiałe oskarżenie o zdradę, skierowane pod adresem Siniawskiego i Daniela. Siniawski i Daniel nigdy nie zapisali się do szołochowskich „kantoniistów” i nigdy nie przysięgali na wierność prawom koszar: nigdy też nie ślubowali wierności wojskowo-policyjnej machinie, która jeszcze i dziś używana jest do dławienia wolności w Rosji.

Ale prawda nie obchodzi Szołochowa. Jego interesuje jedynie oskarżanie innych o zdradę. Dlaczego? Prawdopodobnie prokurator nie posiadał dostatecznie wysokiego autorytetu moralnego, by to zrobić za niego. I oto, rzucając na szalę całą wagę swego

autorytetu, nasz laureat Nobla wygłasza nikczemne przemówienie oskarżycielskie. Na początku — bardzo skromnie — mówi o sobie, że jest „częsteczką wielkiego i szlachetnego narodu”, „synem możnej i pięknej Matki-Ojczyzny”. Zaraz potem „częsteczka” się ożywia: przede wszystkim napada na „odpychające potwory” i przybierając pozę człowieka szlachetnego, oburzonego do głębi duszy, wykrzykuje z patosem: „Wstydę się za tych, którzy oszkalowali Ojczyznę i obrzucili błotem rzeczy dla nas największe. Są to ludzie amoralni”. Ale najlepsze przychodzi na deser. „Częsteczka” wstydi się za całą postępową inteligencję, która usiłuje „wziąć ich w obronę”. „Częsteczka” wstydi się „podwójnie” za liberalnych literatów, którzy „ofiarowują swoje usługi” i „proszą, aby renegaci zostali oddani pod ich opiekę”.

Ponieważ, posłuchajcie, „za bardzo drogie są dla nas nasze zdobycze, za bardzo kochamy ustrój sowiecki, aby pozwolić na jego bezkarne zohydzanie i obrzucanie błotem”. Właśnie tak! Miliony ludzi torturowanych i zamęczonych na śmierć w łagrach stalinowskich to za wysoka cena dla koszar Szołochowa, w których swobodnie poruszać się mogą jedynie palce w butach, bo tego kapral nie może dostrzec. I po oszkalowaniu dwóch wartościowych ludzi, po obrażeniu wszystkich ludzi odważnych i uczciwych, którzy powstałi w obronie sprawiedliwości, „częsteczka” nie spoczywa jeszcze — zadowolona z siebie — na laurach. Zdając sobie przypuszczalnie sprawę że nie da sama rady w walce z prawdą, „częsteczka” prosi o pomoc „politycznych delegatów umiłowanego wojska sowieckiego”, proponując dla ukarania pisarzy typ kary przewidzianej przez wojskowe trybunały dla zdrajców. Ale jeszcze i tego mało „częsteczce wielkiego i szlachetnego narodu”, która wykrzykuje: „Ach nie uszłoby tak na sucho tym wilkołakom, tym łotrom o zaświnionym sumieniu, gdyby wypadło im stanąć nie przed sądem ale, powiedzmy, przed komitetem rewolucyjnym, wydającym wyroki zgodnie z rewoluwać 'surowość' wyroku”.

Trybunał wojskowy ich nie sądził; komitet rewolucyjny, ożywiony „rewolucyjnym poczuciem sprawiedliwości”, nie skazał ich na śmierć. „I, pomyślcie tylko, ma się jeszcze odwagę krytykować 'surowość' wyroku.

Pomyślcie, mają jeszcze odwagę krytykować! Ośmielają się krytykować! Czyż to nie jest obskurantyzm? „Ja” — powiada Szołochow — „jestem jednym z tych pisarzy którzy, jak wszyscy ludzie sowieccy, uważają się z dumą za częsteczkę wielkiego i szlachetnego narodu”. Wy, obywatelu Szołochow, nie jesteście już pisarzem; byliście przez pewien czas dość miernym literatem, ale już od dawna nawet i tym nie jesteście. Teraz jesteście wyłącznie najzwyczajniejszym politycznym demagogiem. Jesteście tylko wątpliwym prymusem, który swoim autorytetem osłania grupkę literackich pasażerów w rodzaju Michałkowa i spółki. I nie bijcie w dzwon wielkości i szlachetności narodu rosyjskiego. Hańbicie jedną i drugą. Fakty wykazały, że żaden szkalujący artykuł w oficjalnej prasie (która między innymi całkowicie

zależą od „worka z pieniędzmi”) nie potrafił zdyskredytować oskarżonych. W czasie procesu nieustająca powódź listów w obronie Siniawskiego i Daniela zalała urzędowe organizacje i redakcje pism. Każdy pisarz i każdy uczciwy uczony poczuwał się do obowiązku wystąpienia w obronie oskarżonych. Do nich 5 kwietnia dołączyli studenci w publicznym wystąpieniu na placu Puszkina. I czy wiecie co to wszystko znaczy? Znaczą przede wszystkim to, że takim ludziom jak wy ziemia usuwa się spod nóg i że jedyny kontakt ze społeczeństwem, jaki wam pozostaje, to aparat ucisku. Ostatnio także i nadzorcom państwowej machiny represyjnej ziemia zaczyna umykać spod nóg. Skończy się na tym, że ani wy ani aparat ucisku nie znajdziecie dla siebie miejsca na którym moglibyście się oprzeć, skoro tylko w Rosji odżyje na nowo wolność. Aparat ucisku będzie pozbawiony siły i „worka z pieniędzmi”; wy zaś pieniądze, zaszczytów, odznaczeń państwowych i międzynarodowych. Oto w jakim sensie wasze nikczemne przemówienie oskarżycielskie nie będzie ani przeoczone przez współczesnych ani zapomniane przez historię.

Proces Siniawskiego i Daniela przyspieszył polaryzację sił: na jednym biegunie znalazły się walory, a na drugim — w praktyce wokół zera — antywalory. Ale czyż Związkowi Pisarzy Sowieckich zależy na walorach?

Członkowie Związku Pisarzy Sowieckich w minimalnym nawet stopniu nie dają pojęcia o realnych możliwościach inteligencji rosyjskiej. Związek Pisarzy Sowieckich jest niczym innym jak właśnie owym oddziałem szołochowskich koszar, za pośrednictwem którego „worek z pieniędzmi” kupuje i zabija w zarodku talenty literackie. W ten to sposób udało się w ciągu kilku dziesięcioleci zabić literaturę rosyjską całkowicie. Tylko wobec niektórych opornych trzeba było się uciec do fizycznej likwidacji w latach dwudziestych, około roku 1937 i w latach pięćdziesiątych.

Dla wszystkich jest zrozumiałe co oznacza fizyczne zniszczenie literatury, ale o wiele trudniej zrozumieć jak przebiega proces kaleczenia sumień. Rosja okazała się pod tym względem krajem oryginalnym; owa oryginalność polega na tym, że pisarz z jednej strony jest zafascynowany ideałami komunizmu, a z drugiej w żaden sposób nie może zaakceptować odrażającej rzeczywistości komunistycznej z jej stalinowskimi łagrami i z jej powszechną niedorzecznością. Komunistyczne obozy koncentracyjne przeszkadzają mu w opiewaniu ideałów komunistycznych, a ideały komunistyczne nie pozwalają mu na krytykowanie komunistycznych obozów koncentracyjnych. W tym stadium albo wpada w stan paraliżu artystycznego albo zaczyna szachrować; w jednym i drugim wypadku umiera jako pisarz. Wszystko to jest aż nadto proste. Jeżeli, na przykład, Michaił Szołochow rzuci szybkie spojrzenie na swoją przeszłość, będzie musiał przyznać, że ten stan paraliżu artystycznego nie oszczędził i jego. Tym się prawdopodobnie tłumaczy niekończąca się praca nad drugą częścią „Zorano ugoru”, nie mówiąc o łajdackich lukach w całym dziele.

Niestety znajdują się na Zachodzie osoby, jak na przykład przeświatny sekretarz Europejskiej Wspólnoty Pisarzy, Giancarlo Vigorelli, które skłonne są mniemać, że podziemna literatura w Związku Sowieckim nie posiada żadnej wartości; dla nich wartość mają tylko te dzieła, które są wydawane, „literatura która działa w świetle dziennym, że swoimi zwycięstwami i swoimi klęskami”. Vigorelli zrobiłby lepiej, gdyby zajmował się sprawami na których się zna. Związek Pisarzy Sowieckich i oficjalne wydawnictwa w dzisiejszej Rosji upokarzają pisarzy i literaturę, niszczą gusty i oślepiają czytelników. Ale na szczęście dla Rosji dzieła „oficjalne” czyta się dzisiaj raczej skąpo, a nawet jeśli się je czyta to z dużą ostrożnością, aby uniknąć skażenia własnego gustu*

W Rosji czyta się głównie klasyków literatury rosyjskiej i obcej, tłumaczenia współczesnych autorów zagranicznych i — poczynając dopiero od lat sześćdziesiątych — Pasternaka, Achmatową, Cwietajewą, Chlebnikowa, Mandelsztama, Bułgakowa, Płatonowa i innych, ale to nie dzięki Związkowi Sowieckiemu i oficjalnym publikacjom, lecz wbrew nim, prawie nielegalnie, ze strachem przed karą administracyjną i moralną, a często nawet pod groźbą procesu sądowego. Jak dotąd, większa część dzieł wymienionych wyżej autorów nie została oficjalnie wydana. W Rosji lat sześćdziesiątych kolportaż najlepszych dzieł współczesnej literatury rosyjskiej w chałupniczych odpisach osiągnął rozmiary nigdy dotąd niespotykane.

Właśnie literatura podziemna, to jest pozbawiona dostępu do oficjalnych wydawnictw (poczynając od pisarzy lat dwudziestych, a kończąc na utworach Siniawskiego i Daniela) ma dla naszej kultury narodowej wielkie i oryginalne znaczenie.

Rosja literacka jest jak śpiąca królewna, która ledwie obudziła się ze snu; nie zdążyła jeszcze otrząsnąć się z otępienia hipnozy ideologicznej i przetrzeć sobie jak należy oczu, a już sekre-

* Gałanskow wyszydza tu artykuł Vigorellego, drukowany w tygodniku *Tempo Illustrato*, w którym pisarz włoski polemizował przed aresztowaniem Siniawskiego z artykułami Gustawa Herlinga-Grudzińskiego o Tercu i o rosyjskiej literaturze podziemnej w miesięczniku *Tempo Presente*. Po aresztowaniu Siniawskiego i Daniela Herling-Grudziński odpowiedział Vigorellemu na łamach tygodnika *La Fiera Letteraria*. Sekretarz COMES'u zaniemówił wówczas w tej polemice, przeszedł natomiast — jak gdyby nigdy nie — na pozycje obrońców Siniawskiego i Daniela. Jak wiadomo, stało się to przyczyną trwającego po dziś dzień kryzysu Europejskiej Wspólnoty Pisarzy.

Istnieje pewna analogia między pierwotną postawą Vigorellego a pierwszą reakcją pisarzy zachodnich na Manifest Praski. Jeśli nie liczyć listu otwartego Günthera Grassa do Novotnego, była to reakcja w wielu wypadkach przerażająco głupia (Moravia, Steinbeck, Peter Weiss, John Osborne, Arnold Wesker), w innych przesadnie ostrożna (Bertrand Russell, Arthur Miller, Jean-Paul Sartre). Wagę i doniosłość Manifestu Praskiego zrozumieli natychmiast przywódca lewego skrzydła *Labour Party* Michael Foot i jeden z czołowych publicystów *Corriere della Sera* Enzo Bettiza. „Nie tylko — oświadczył Foot — myślę że powinniśmy odpowiedzieć na Manifest Praski, ale jestem zdania, że jego autorzy uczą nas czym jest socjalizm”.

tarz Europejskiej Wspólnoty Pisarzy oświadcza: nie zwracajcie na nią żadnej uwagi, liczą się wyłącznie oszuści i spekulanci literaccy z ich pyrrusowymi zwycięstwami.

W Rosji usiłuje z trudem utorować sobie drogę literatura autentyczna, a kultura zachodnia płaszczy się przed Michaiłem Szołochowem przyznając mu nagrodę Nobla. Potem Szołochow zjawia się na Zjeździe Pisarzy i piorunuje: „Chcę powiedzieć burżuazyjnym obrońcom paszkwilantów: nie troszczcie się o nieskazitelną krytykę w naszym kraju. My podtrzymujemy i rozwijamy krytykę, rozbrzmiewa ona z surowością i na obecnym Zjeździe”. Jeżeli naprawdę, faktami a nie słowami tylko, „podtrzymujecie i rozwijacie” krytykę, pozwalam sobie liczyć na waszą pomoc, kiedy mój skromny wkład do niej spotka się z biurokratyczno-policyjną pałką.

Pokładam moje nadzieje wyłącznie w waszym wielkim autorytecie prymusa, ponieważ nie mogę liczyć na nic innego. W naszym kraju bowiem nie ma ani wolnych pism, ani wolnych organizacji, ani wolnych sądów. Pokładam w was moje nadzieje, ale w głębi duszy wiem dobrze, że nie należy zbyt wiele liczyć na waszą pomoc: dlatego więc, na wszelki wypadek, podpisuję artykuł nie własnym nazwiskiem ale pseudonimem. Jaki pseudonim wybrać? Nigdy o tym nie myślałem. No dobrze, niech będzie Jurij Gałanskow. Bo widzicie, ze względu na moje słabowite zdrowie powinienem unikać jakichkolwiek rugów administracyjnych i sądowych, a zdrowie mojej matki jest także zbyt wątłe, by znieść coś podobnego. Na domiar złego grożą mi przykrości w pracy i w studiach, choć naturalnie dobrze wiem, że każdy obywatel mojej ojczyzny ma prawo do pracy i nauki, prawo zagwarantowane przez konstytucję. Mam nadzieję, że wy osobiście nie macie żadnych wątpliwości co do moich zalet uczciwego obywatela wielkiej Rosji. Wreszcie myślę również o tym, że — na przykład — Siniawski w łagrze, w którym się w tej chwili znajduje, nie ma przy całej swojej inteligencji, przy całym swoim talencie krytyka literackiego, żadnej możliwości zajmowania się ani literaturą ani krytyką literacką. Czy wiecie, że w łagrze pisarz musi, tak samo jak każdy pospolity przestępca, ciężko pracować fizycznie, że jest wciąż wygłodniały i że dopiero po odsiedzeniu połowy kary ma prawo otrzymywać dwie paczki żywnościowe rocznie, wagi 5 kilogramów każda? Wszystko to jest bardzo inteligentne i ludzkie, zwłaszcza jeżeli o humanizmie wie się tylko tyle, że „nie jest bynajmniej mięczakowatym ślinieniem się”.

W łagrze nie ma żadnej możliwości zajmowania się problemami narodowymi kultury i polityki, wojną w Wietnamie, rewizjonizmem, rozbrojeniem czy pokojem, a ja, trzeba wam wiedzieć, jestem przekonany socjalpacyfistą i uciekam przed jakąkolwiek formą przemocy. A *propos*: jestem także pisarzem z „podpolja”, w sensie „podpolja” ludzkiego, jak u Dostojewskiego. A czy wiecie co to jest pisarz podziemny? Pisarz podziemny, i na dodatek socjal-pacyfista, nie jest milionerem. Nie posiada

nawet maszyny do pisania, nie mówiąc o pieniądzach. Pisarz podziemny to pracuje jako robotnik, aby zarobić na kawałek chleba, to pisze pod ziemią, ale ostrożnie, ostrożnie, bojąc się prawie, że mu mogą nagle przeszkodzić.

Chwilami wydaje się, że ten reżym chce doprawdy naprawić popełnione błędy, ale zaraz potem strzela takie głupstwo, że sam się za niego wstydzisz. Rozumiecie sami jak trudne jest życie pisarza podziemnego. Ale na tym nie koniec: musi on także napisać artykuł o wystąpieniu jakiegoś, przez wszystkich szanowanego idioty-prymusa, które grozi zahamowaniem rozwoju kultury narodowej i cofnięciem jej wstecz o kilka dziesiątków lat. Ostatecznie pisarz podziemny jest przykładem obywatelem swego kraju i człowiekiem honoru, nie może więc pominąć milczeniem szyderstw skierowanych pod adresem jego ojczyzny i jej najlepszych synów.

A propos, mogę wam podać do wiadomości także i adres mojego pseudonimu: Moskwa, — Blok 180, 3 Golutwinskij pere-ułok, m. 7/9.

Jurij Timofiejewicz GAŁANSKOW

W KOŃCU BIEŻĄCEGO MIESIĄCA UKAŻE SIĘ
W SERII „ARCHIWUM REWOLUCJI”
ALEKSANDRA WEISSBERG-CYBULSKIEGO

WIELKA CZYSTKA

Najbardziej wstrząsający dokument z okresu stalinizmu

Str. 576.

Cena 30 F (dol. 6,50; 45/6)

Archiwum polityczne

Kronika angielska

SOWIETOLOGIA I AMERYKANOLOGIA

Państwom komunistycznym a Sowietom w szczególności — zarzuca się, że fałszują historię, przeniczą fakty, tendencyjnie naświetlają wydarzenia bieżące. Wydaje się oczywiste, że tylko ten może posługiwać się fałszem jako instrumentem politycznym, kto zna prawdę. Mieszkaniec zapadłej wioski w Uzbekistanie, który powtarza sowiecką wersję o Katyniu nie jest fałszerzem historii tylko ignorantem.

Człowiek urodzony, wychowany i uformowany w Sowietach wnioskuje w oparciu o analogię i doświadczenia całkowicie różne od naszych. Tylko ludzie inteligentni, wykształceni, którzy mieli możliwość podróżowania — mają szansę zrównoważenia przemożnego wpływu otoczenia.

Ustrój totalistyczny narzuca pewien system analogii. Ludzie sowieccy są skłonni wnioskować, że Stany Zjednoczone są takim samym mocarstwem jak Związek Sowiecki tylko o przeciwnym znaku ideologicznym. Anglia czy Francja funkcjonują na tych samych zasadach tylko nie są tak potężne.

Analiza wypowiedzi dyplomatów sowieckich w okresie afery Dr. Tkaczenki, oraz analiza komentarzy prasy sowieckiej w tej sprawie — prowadzą do następujących wniosków. Aparat polityczny sowiecki ocenia Zachód w identyczny sposób jak Dulles i jego aparat polityczny oceniał Sowiety. Zachód, z Ameryką na czele, stanowi spisek czy sprzysiężenie, którego dalekofalowym celem jest likwidacja Sowietów. Dulles i McCarthy dopatrywali się we wszystkim machinacji wywiadu i tajnej policji sowieckiej. Dyplomaci i prasa sowiecka w sposób identyczny oceniają działalność CIA i brytyjskiej Intelligence Service. Z wypowiedzi londyńskich dyplomatów sowieckich należałoby wnioskować, że Scotland Yard i jego odgałęzienia działają niezależnie od rządu brytyjskiego i stanowią państwo w państwie.

Słuchając wywiadów radiowych dyplomatów sowieckich w okresie afery nieщасznego Dr. Tkaczenki — doszedłem do wniosku, że ci ludzie niestety nie udają, tylko naprawdę nie rozumieją demokracji zachodniej. Można dany ustrój potępiać lecz w pierw musi się go zrozumieć. Rosjanie potępiają lecz nie rozumieją.

McCarthy'zm był stanem paranoicznym, spowodowanym szokiem licznych sowieckich afer szpiegowskich. Dziś nie pozostało śladu ani z doktryny Dullesa ani z manii prześladowczej McCarthy'ego. W ostatnich 10-ciu latach Sowiety zostały na Zachodzie od-demonizowane. Dokonano tego dzieła cierpliwą obiektywną pracą w dziesiątkach instytutów badawczych, które wyprodukowały pokolenia poważnych specjalistów. Wpływ naukowej sowietologii okazał się niewspółmiernie większy niż demonologiczna propaganda antykomunistyczna dawniejszego okresu. Naukowa sowietologia a nie propaganda położyła kres romansowi radykalnej lewicowej inteligencji z komunizmem. We wszystkich ruchach młodzieżowych na Zachodzie komunizm odgrywa rolę mniej niż marginesową. A przecież wydawałoby się, że Wietnam powinien odgrywać rolę drugiej Hiszpanii jako emocjonalny instrument werbunkowy.

Anglia znajduje się w bardzo trudnej i ciężkiej sytuacji gospodarczej i społecznej. Lecz brytyjska partia komunistyczna nie ma niczego do zaofiarowania, ponieważ jest rozbita na frakcje pro-chińską i pro-sowiecką. Na dobitkę — na skutek sowieckiej polityki anty-izraelskiej — szeregi partii opuścili Brytyjczycy żydowskiego pochodzenia, co bardzo wydatnie obniżyło potencjał intelektualny partii.

Żydzi, choć są nieliczni, stanowią wielką potęgę opiniotwórczą i intelektualną. Z politycznego punktu widzenia jest zawsze błędem mieć Żydów przeciwko sobie. Zwolennicy ideologii międzynarodowej — jak komunizm — powinni dokładać wszelkich starań by mieć Żydów za sobą. Anty-izraelska i antysemitka polityka Sowietów może się okazać w przyszłości jednym z poważniejszych błędów Moskwy.

W Anglii mamy „Towarzystwo Płaskiej Ziemi” które głosi, że ziemia jest płaska a nie okrągła — mamy „Towarzystwo nauczania w czasie snu”, mamy „Partię Komunistyczną” i wiele innych stowarzyszeń niemniej dziwacznych. Lecz dziś jest wręcz nie do pomyślenia by Koestler, Spender czy Orwell (gdyby żył) — mogli być członkami partii komunistycznej. Sama myśl wydaje się komiczna i to stanowi miarę degrengolady komunizmu w świecie anglosaskim.

Intelektualista może mieć pewne powiązania z marksizmem, zwłaszcza z „młodym Marksem”, lecz nie z partią komunistyczną. Niedawno zmarły Izaak Deutscher przyznawał się otwarcie do marksizmu na którym zrobił dużą karierę i pieniądze. Zarówno jego książki jak i angielszczyzna są wysoko cenione w Anglii. Deutscher był obywatelem brytyjskim i jako marksista mógł być członkiem Brytyjskiej Partii Komunistycznej. Nie był jednak członkiem żadnej partii komunistycznej, ponieważ, jako partyjny komunista nie mógłby swobodnie ogłaszać swoich prac i co ważniejsze, jego status niezależnego intelektualisty uległby likwidacji. Na wyższym szczeblu intelektualnym można być „prywatnym marksistą” — to nawet przydaje oryginalności — lecz nie można być członkiem brytyjskiej partii komunistycznej. To byłby ekscentryzm posunięty zbyt daleko.

Powróćmy jeszcze jednak do McCarthy'zmu *à rebours* w wydaniu komunistycznym. Komunizm jest bardzo trudno wydobyć się z demonologii w stosunku do Stanów Zjednoczonych, ponieważ totalna dyktatura w ramach której są wychowani jest demonologiczną formą władzy państwowej. Najdoskonalszą definicję dyktatury dał Lenin: „Dyktatura to jest usunięcie wszyst-

kich legalnych ograniczeń władzy państwowej". Trzeba przyznać, że jest to definicja genialna w swej pełni i prostocie.

W systemie leninowskiej dyktatury państwo stoi ponad prawem i w konsekwencji dysponuje władzą absolutną. Nie socjalizm, którego nie ma, nie rewolucja z której nic nie pozostało — lecz ustrojowy model totalnej dyktatury stanowi dorobek 50 lat rządów bolszewickich.

Ktoś powie, że to są truizmy. Niewątpliwie, lecz trzeba było wielu lat by je rozpoznać. Przez długi czas mieliśmy na Zachodzie po jednej stronie McCarthy'istów wszelkiej maści i odcieni a po drugiej stronie *fellow-traveler*ów wszelkiej maści i odcieni. Tak jedni jak i drudzy demonizowali Sowiety, tak jedni i drudzy byli niezdolni do obiektywizmu.

Dziś to się zmieniło. Sowiety na Zachodzie zostały rozpracowane i rozpoznane. Wielu włoskich komunistów przyznało otwarcie, że w studiach nad Związkiem Sowieckim opierają się nie na opracowaniach sowieckich lecz na opracowaniach amerykańskich, które są znacznie bardziej wyczerpujące i lepiej udokumentowane. Sądzę, że naukowe zachodnie prace o Sowietach wywarły decydujący wpływ na ewolucję komunizmu włoskiego i francuskiego i odrzucenie przez te partie modelu sowieckiego.

Teżą tej noty jest następujące stwierdzenie: demokratą zachodni, by obiektywnie rozpoznać sowiecki komunizm nie musi porzucać swych przekonań demokratycznych. Natomiast przekonany komunista szkoły sowieckiej — obojętnie Polak czy Rosjanin — nie ma możliwości obiektywnego rozpoznania świata Zachodu a w szczególności Ameryki. Oczywiście nie mam na myśli administracyjnych ograniczeń — tylko dyspozycję intelektualną badacza i jego aparat metodologiczny.

W każdej ideologii a w ideologii komunistycznej w szczególności — podstawową rolę odgrywa nomenklatura. Badacz, czy naukowiec komunistyczny jest niewolnikiem nomenklatury. Wszystko się zmienia i ewoluuje lecz nie nomenklatura, która zapewnia fikcyjną czystość ideologii.

Za czasów Marksa Anglia była kapitalistycznym, społecznie zacofanym krajem. W okresie życia Lenina Anglia była imperialistycznym, kapitalistycznym i konserwatywnym mocarstwem. Jak wiemy nastąpiły olbrzymie przemiany. Imperium brytyjskie należy do historii, Anglia jest krajem społecznie postępowym, rządzi ją socjaliści. Przeżyliśmy drugą wojnę światową — wszystko uległo przemianom, lecz nomenklatura ideologii komunistycznej pozostała nietknięta. Badacz czy naukowiec będący komunistą szkoły sowieckiej — bez względu na to co myśli o Anglii i bez względu na to czy ją zna czy nie zna — pisząc o brytyjskim współczesnym ustroju musi użyć tej samej nomenklatury którą posługiwali się Marks i Lenin. Musi napisać, że Anglia jest krajem kapitalistyczno-imperialistycznym. I z tego dylematu dla naukowca komunistycznego nie ma wyjścia. Odrzucenie nomenklatury jest bowiem *de facto* równoznaczne z odrzuceniem ideologii.

Dla bezstronnego badacza nie może ulegać wątpliwości, że Anglia A.D. 1967 jest krajem niewspółmiernie bardziej socjalistycznym niż Związek Sowiecki. Jednak w ramach nomenklatury i metodologii nauk społecznych uprawianych w Europie wschodniej — powyższego faktu nie można ani rozpoznać, ani stwierdzić, ani wyrazić.

To są fakty, które pociągają za sobą poważne konsekwencje. Zachodni sowietolodzy specjalizują się w odczytywaniu „pod-tekstów” w oficjalnych wypowiedziach, w artykułach „Prawdy” itp. „Pod-tekst” służy do wypowie-

dzenia aktualnej opinii — nie zawsze ortodoksyjnej — przy zachowaniu ortodoksyjnej nomenklatury.

„Pod-tekst” jest drugim językiem, który zrodziła konieczność — ponieważ w oficjalnej „drętwej mowie” nie można wyrazić wielu zagadnień bez narażenia się na zarzut „odchylenia”.

Jednak zasięg „pod-tekstu” jest niezmiernie ograniczony. W Moskwie czy w Warszawie nie może ukazać się obiektywne studium o Stanach Zjednoczonych bo cenzura takiej książki nie przepuści. Autor całość opracowania musi utrzymać w kluczu negatywnym bo tylko wówczas ma szanse przeżycia kilku „pod-tekstów”.

W bloku sowieckim nie może powstać „amerykanologia” na wzór sowietologii w świecie anglosaskim. W tym wypadku nie chodzi o cenzurę tylko o schemat: intelektualisci versus władza. W Ameryce intelektualisci wywierają wpływ na „egzekutywę” w Sowietach „egzekutywa” dyktuje intelektualistom obowiązującą linię.

Dla ludzi wychowanych i uformowanych w systemie totalistycznym — Ameryka musi być zaiste trudnym orzechem do zgryzienia.

W prasie krajowej ukazała się ostatnio seria artykułów poświęcona „Kulturze”. Powtórzone przy tej okazji jeszcze raz wszystkie nonsensy na nasz temat. „Kultura” jest „finansowana” przez Kongres Wolności Kultury, który z kolei finansowany jest przez CIA, która z kolei jest komórką rządu amerykańskiego. Wniosek stąd prosty, że tak jak „Trybuna Ludu” jest organem PZPR tak „Kultura” jest jednym z organów rządu amerykańskiego. Moja rola w „Kulturze” została również rozszyfrowana. Cytuję dosłownie: „Juliusz Mieroszewski jest głównym publicystą miesięcznika i wytycza jego linię programową. Koncepcje teoretyczne otrzymuje gotowe”.

Ludziom wychowanym w totalistycznym systemie jest trudno wyjaśnić, że w ustroju demokratycznym rząd nie dyktuje niczego pisarzom, nawet emigracyjnym.

Pierwsze wiadomości na temat finansowej działalności CIA ukazały się w lutowym numerze amerykańskiego miesięcznika „Ramparts”. Następnie tygodnik „Newsweek” opublikował szczegółowy graficzny schemat, w którym uwidocznił wszystkie instytucje, które korzystały kiedykolwiek z finansowej pomocy CIA. Zbędne dodawać, że „Kultura” w owym schemacie nie figuruje.

Mówimy o „amerykanologii”. Wschodnioeuropejski komunista uważa za niewzruszony pewnik, że instytucja czy stowarzyszenie, które bierze pieniądze od CIA — jest ślepym narzędziem propagandy amerykańskiej. Otóż w ustroju demokratycznym a szczególnie w Ameryce to bynajmniej *nie jest* pewnikiem.

A oto przykład. W drugiej dekadzie sierpnia br. w Maryland odbył się coroczny kongres Amerykańskiego Stowarzyszenia Studentów (*National Students Association*). Prezydent stowarzyszenia w czasie obrad ujawnił, że w pewnym okresie (rok 1965) — CIA pokrywała 90% budżetu stowarzyszenia studentów. W tym samym roku 1965 Kongres Stowarzyszenia Studentów uchwalił deklarację domagającą się jednostronnego zawieszenia broni w Wietnamie i dopuszczenia Chin komunistycznych do OZN.

Tego typu wydarzenie w orbicie świata komunistycznego jest nie do pomyślenia nawet w *science fiction*. W Ameryce natomiast, przykładów tego rodzaju można by przytoczyć tuzinami. Wiele amerykańskich pism i insty-

tucji, które korzystały w takim czy innym okresie z pomocy finansowej CIA — zachowały pełną polityczną niezależność.

W Ameryce nie ma UB czy NKWD — nie ma aparatu totalnej władzy i nikogo nie można zmusić do popierania polityki rządu — nawet jeżeli dany osobnik czy instytucja biorą od rządu pieniądze.

W ramach sowieckiego komunizmu nie powstanie obiektywna „amerykanologia” i nie jest rzeczą możliwą dla sowieckiego komunisty wydobyć się z McCarthy'zmu *à rebours*. Sowieckich mężów stanu cechuje często „chłopski rozum” — co jest zaletą cenną lecz nie zawsze wystarczającą. „Chłopski rozum” jest w gruncie rzeczy pragmatyzmem ignorantów. Chruszczow w okresie kryzysu kubańskiego o mały włos nie doprowadził do wybuchu wojny, nie na skutek braku „chłopskiego rozumu”, którego mu nie brakowało — lecz na skutek ignorancji. Nie był sam „amerykanologiem” ani nie miał wokół siebie „amerykanologów” i dlatego popełnił błąd i musiał przełknąć upokorzenie przegranej.

Obiektywnej wiedzy nie zastąpią ani „chłopski rozum” ani chytryść ani ostrożność. Rosjanie mogą kiedyś odczytać reakcję Ameryki zgodnie z Marksem lecz nie zgodnie z rzeczywistością — co może pociągnąć za sobą skutki katastrofalne nie tylko dla nich.

P R O B L E M

W dawnych czasach trafiały się sytuacje w których od decyzji dowódcy pułku czy batalionu zależał wynik kampanii. Dziś pod wpływem telewizji wyobrażamy sobie, że w razie wybuchu wojny atomowej o wszystkim decydować będą komputery w schronach operacyjnych Pentagonu a dowódca w polu czy na morzu będzie tylko pionkiem na elektronicznie obsługiwanej szachownicy.

Wydaje mi się, że to jest pogląd fałszywy. Łatwo bowiem wyobrazić sobie rozwój wydarzeń, który sprawi, że dowódca małej jednostki będzie musiał w czasie wojny atomowej podjąć decyzję i przyjąć odpowiedzialność, która w dawniejszych epokach obciążała tylko naczelnego wodza.

W dniu 18. IX. br. amerykański minister obrony Robert McNamara wygłosił w San Francisco przemówienie dotyczące w głównej mierze programu obrony przeciwrakietowej (ABM). W tej notatce nie interesuje nas system ABM — tylko stwierdzenie McNamara, że Stany Zjednoczone górują nadal wyposażeniem atomowym nad swym potencjalnym przeciwnikiem tj. Związkiem Sowieckim. Stany Zjednoczone posiadają 1000 „Minutemen” w chronionych fortyfikacjach podziemnych, 656 pocisków Polaris operowanych spod wody, oraz około 600 bombowców dalekiego zasięgu. Amerykańskie siły pogotowia (*Alert forces*), które mogą podjąć akcję niemal natychmiast — mają w swej dyspozycji 2.200 głowic atomowych o przeciętnej mocy głowicy ponad 1 megaton. Według oceny McNamara wystarczy 400 jednomegatonowych pocisków by zlikwidować jedną trzecią ludności Związku Sowieckiego i połowę sowieckiego przemysłu.

Jednak ani Ameryka ani Sowiety nie posiadają przewagi absolutnej tzn. nie dysponują bronią umożliwiającą całkowite ubezwładnienie przeciwnika jednym uderzeniem. Oba super-mocarstwa posiadają potencjał odwetowy tzn. są zdolne nie tylko przetrwać pierwsze uderzenie lecz na atak atomowy odpowiedzieć atakiem atomowym.

Oczywiście wynalezienie broni absolutnej umożliwiłoby danemu mocarstwu dyktowanie warunków przeciwnikowi. Gdyby Amerykanie posiadali broń, której użycie pozbawiłoby Związek Sowiecki możliwości odwetu — wówczas Rosjanie znaleźliby się w analogicznej sytuacji jak Japończycy pod koniec drugiej wojny światowej. Prymitywne bomby atomowe stanowiły wówczas broń absolutną na którą Japończycy nie mieli żadnej odpowiedzi. Kapitulacja była jedynym wyjściem.

McNamara uważa, że ani Ameryka ani Związki nie zdobędą broni absolutnych w dającej się przewidzieć przyszłości. Oznacza to, że ani Ameryka Rosji ani Rosja Ameryki nie może zaatakować nie narażając się na odwet atomowy.

I tu zaczyna się nasz dylemat. Założmy, że z takich czy innych przyczyn wybuchła wojna atomowa. Związki uderzyły pierwsze. Przyjmijmy, że uderzenie sowieckie byłoby słabsze od przykładu przytoczonego przez McNamara. Zakładamy, że uległo likwidacji tylko 25% ludności i 30% przemysłu Stanów Zjednoczonych.

Wstawmy się w położenie dowódcy amerykańskiej łodzi podwodnej z pociskami „Polaris” na pokładzie. Oczywiście nasz dowódca miałby rozkaz podjęcia ataku odwetowego. Lecz jaka byłaby sytuacja? Rosja na razie byłaby nietknięta. Odwetowe uderzenie amerykańskie byłoby pierwszym atakiem atomowym na Rosję, który — według McNamary nie pozbawiłby Rosji zdolności do atomowego przeciwuderzenia. W konsekwencji, po odwiecie amerykańskim Rosja uderzyłaby po raz drugi podnosząc wskaźnik strat amerykańskich w ludności i w przemyśle być może do 70%.

Stany Zjednoczone po drugim uderzeniu atomowym — jeżeli nawet nie utraciłyby całkowitej zdolności do odwetu — z całą pewnością dysponowałyby tylko minimalnym potencjałem odwetowym. W rezultacie układ byłby następujący: Stany Zjednoczone byłyby zbombardowane dwukrotnie a Rosja tylko raz. Stosunek strat w ludności i w przemyśle mogłby przyjąć proporcje 1 : 2 na niekorzyść Ameryki.

Nie można uniknąć następującego pytania: czy w takich warunkach odwet jest celowy w sensie militarnym i politycznym?

Gdyby Rosja po pierwszym uderzeniu atomowym oświadczyła, że gotowa jest podjąć negocjacje — będąc dowódcą amerykańskiej łodzi podwodnej z 16 pociskami Polaris w mojej dyspozycji — zastanawiałbym się długo czy należy podjąć akcję odwetową, nawet gdybym miał odpowiednie rozkazy. Wiedziałbym bowiem, że odwet spowoduje drugi atomowy atak sowiecki po którym Stany Zjednoczone mogą się nie podnieść.

Nie wydaje się by generałowie czy nawet marszałkowie z okresu pierwszej czy drugiej wojny światowej byli obarczeni decyzją tak gigantycznego wymiaru jak decyzja, którą w opisywanej sytuacji musiałby podjąć samotnie kapitan amerykańskiej łodzi podwodnej. Warto przypomnieć, że 16 pocisków Polaris posiada większy potencjał niszczycielski niż wszystkie bomby zrzucone w czasie drugiej wojny światowej.

Powtórzmy za Clausewitzem, że operacje wojskowe są polityką prowadzoną innymi środkami. Odwet dla zaspokojenia zrozumiałej chęci odwetu byłby politycznym nonsensem. Podstawą decyzji naszego fikcyjnego kapitana łodzi podwodnej byłby następujący schemat rozumowania. Rosja zaatakowała pierwsza. Ameryka poniosła straty w potencjale ludnościowym i przemysłowym wynoszące 25-30 %. Stany Zjednoczone zredukowane w swych siłach

o 25 % byłyby nadal mocarstwem światowym — jeżeli już nie równie potężnym jak Związek Sowiecki to niemal równie potężnym jak Związek Sowiecki. Jeżeli w takich okolicznościach Amerykanie podejmują odwet — Rosja uderza po raz drugi podnosząc wskaźnik strat amerykańskich z 30 do 60 a może 70 %.

Należy pamiętać, że odwet byłby podjęty przez Stany Zjednoczone zredukowane w swych możliwościach przez atak sowiecki. Lecz jeżeli przyjmemy, że Stany Zjednoczone nawet zbombardowane atomowo przez Sowiety będą zdolne spełnić zapowiedź McNamara i akcją odwetową zniszczyć jedną trzecią ludności i połowę sowieckiego przemysłu — to i tak saldo tych operacji byłoby ujemne. Nie ulega bowiem wątpliwości, że straty Amerykańskie po dwóch bombardowaniach byłyby większe niż straty sowieckie po jednym bombardowaniu. Czy zatem jest celowe odwetem prowokować drugie bombardowanie?

Jeżeli rozpatrujemy konflikt dwóch super-mocarstw o zbliżonych potencjałach nuklearnych, przemysłowych i ludnościowych to należy stwierdzić, że mocarstwo, które uderza pierwsze zapewnia sobie atut, którego nie wydaje się możliwe wydrzeć agresorowi akcją militarną. Z tych przyczyn jeżeli agresor dokonawszy pierwszego uderzenia oświadczyłby gotowość negocjacji — należałoby jego ofertę przyjąć, by uratować to co byłoby jeszcze do uratowania.

Tak postąpiłoby mocarstwo, którego polityka byłaby w całości dyktowana logiką i rozumem. Mocarstw takich nie ma i zapewne nigdy nie będzie. Instynkt i furia odwetu wzięłyby górę nad logiką. Gdyby raz doszło do wojny oba super-mocarstwa bombardowałyby się wzajemnie do ostatniego pocisku osiągając sytuację w której nie byłoby ani zwycięzców ani zwyciężonych.

EWANGELIE ELEKTRONICZNE

„Nasza nowa elektroniczna technologia, która przedłuża zmysły i system nerwowy — zawiera w sobie wiele wskazań dotyczących języka. Elektroniczna technologia obywa się bez słów. Elektryczność w tej postaci wskazuje drogę do przedłużenia i rozszerzenia świadomości w skali światowej — bez potrzeby uciekania się do słowa. Taki stan kolektywnej świadomości był udziałem ludzi w epoce przed-językowej a więc nim wynaleziono ludzką mowę”.

Powyższy tekst wyjęty jest z pism Marshall McLuhan'a, które obecnie wydano w Anglii. McLuhan jest przedmiotem kultu zwłaszcza młodych w Ameryce i ofiarą nieubłaganej krytyki zwłaszcza ze strony socjologów starszego pokolenia. McLuhan nie należy do branży, nie jest zawodowym socjologiem. Zajmował stanowisko profesora literatury angielskiej na uniwersytecie w Toronto i jego literackość, werbalizm i zamiłowanie do metafor — tutaj niewątpliwie biorą swoje źródło.

Rudolf Klein na łamach „The Observer” w sumarycznym i nie we wszystkich punktach sprawiedliwym omówieniu prac McLuhana podkreślił, że wielu ludzi w Ameryce uważa go za proroka elektronicznej epoki. Prorocy nigdy nie byli szczególnie mocno w logice. Proroków na ogół nie interesuje również żmudny proces udawadniania danej tezy ponieważ posłanie, które oferują ludzkości — dla nich samych jest oczywistą prawdą bez jakichkol-

wiek dowodów. Prorok musi natomiast mieć intuicję i ostry, nowy wgląd w sprawę tego świata. Wydaje mi się że McLuhan posiada owe cechy w znacznym stopniu.

Marks uważał, że sprężyną historii jest walka klasowa, którą z kolei determinował model produkcji. McLuhan wierzy natomiast, że proces rozwojowy określają media komunikacji, które w epoce elektronicznej osiągną swój szczyt i spełnienie. Spełnienie czego? „The Medium is the Message” — to jest zarówno tytuł książki McLuhana jak i odpowiedź na powyższe sformułowane pytanie. Medium samo w sobie staje się przekazem. Nie jest istotne co przekazujemy — tylko czym i jak przekazujemy.

Kluczem do zrozumienia Marks'a jest jego pogląd na historię. Każdy prorok pisze swoją własną wersję księgi rodzaju ludzkiego. Otóż według McLuhana w zamierzchłych czasach, kiedy nie znano pisma ani druku — człowiek stanowił część swojego otoczenia i żył w stanie szczęśliwego zespolenia z naturą i ze swoim szczepem. Owa sielanka dobiegła kresu gdy wynaleziono alfabet a następnie druk. Człowiek utracił swoją harmonijną integralność i przekształcił się w istotę niemal całkowicie wizualną — tzn. w istotę operującą wyłącznie wzrokiem. Druk zdeterminował rozwój naszej umysłowości i sposób w jaki pracuje ludzka mózgowica. Logiczne, racjonalistyczne myślenie jest odpowiednikiem linearnego, uporządkowanego procesu druku. Człowiek, który czyta w swoim prywatnym pokoju czy w publicznej bibliotece jest sam i samotny. Zyskuje indywidualność za cenę utraty uczestnictwa w „kolektywnej świadomości”, która niegdyś była jego udziałem.

McLuhan rozróżnia dwie kategorie mediów komunikacji. Media które angażują i które nie angażują — media, które narzucają uczestnictwo i które nie narzucają uczestnictwa.

Do mediów angażujących należy telewizja, do mediów nie angażujących zaliczyć należy druk. Telewizja oddała katastrofalną usługę prez. Johnsonowi i jego polityce wietnamskiej. Ludzie są przeciwko wojnie bo patrzą na wojnę, uczestniczą w niej i są w niej zbiorowo zaangażowani. Druk nigdy by tego nie dokonał, ponieważ gazety i prasa argumentują bardziej lub mniej logicznie lecz ludzi nie angażują, nie dają im możliwości uczestniczenia, nie włączają ich w kolektywną świadomość przeżycia.

Teraz widzimy, że coś jednak tkwi w owym paradoksalnym stwierdzeniu, że *the medium is the message* — to znaczy, że medium komunikacji determinuje treść przekazu. Medium określa przekaz tak jak byt określa świadomość.

McLuhan używa terminu *involvement*, który Bulas tłumaczy: „wplątanie, uwikłanie, wmieszanie, wciągnięcie”. Wydaje mi się, że słowo „zaangażowanie” oddaje lepiej termin *involvement* w sensie jaki nadaje temu słowu McLuhan. Oczywiście nie chodzi w tym wypadku o „zaangażowanie się”, tylko o „zaangażowanie siebie”. Nie chodzi o zaangażowanie się w obronie takiej czy innej idei tylko o zaangażowanie siebie, o wciągnięcie siebie samego w zasięg kultury masowej. Owo wciągnięcie się przybierze w erze w którą wkraczamy charakter całkowity. McLuhan głosi, że każdy z nas będzie tak wciągnięty w to samo w co wciągnięci będą wszyscy inni, — że nikt nie zdoła sobie nawet wyobrazić pojęcia indywidualnej winy. Według McLuhana świat staje się „wsią” gdzie wszyscy o wszystkich wiedzą i gdzie wspólnota przeżywanych spraw stwarza „kolektywną świadomość”, która jest istotniejsza niż indywidualna tożsamość.

Innymi słowy, wracamy do archaicznych warunków szczepowych czy plemiennych, kiedy człowiek był zdrowo i naturalnie stopiony ze swym otoczeniem i współbłizniami.

Rudolf Klein słusznie i bystro zauważył, że wadą wszystkich proroków jest „system jednego klucza”. Bezklasowe społeczeństwo czy technologia elektroniczna nie stanowią klucza do rozwiązania „szarady” ludzkości, ponieważ pojedynczy klucz nie wystarczy do tej operacji.

Należy również podkreślić, że istnieje liczna i poważna szkoła psychologów i socjologów, którzy w zdobyczach technologii współczesnej dopatrują się źródła wszystkich zaburzeń psychicznych i nerwowych, stanowiących cechę charakterystyczną narodów wysoko uprzemysłowionych. Alienacja, eskapizm, depresja, narkomania, to wszystko spotykamy w Nowym Jorku a nie w Jordanowie czy w Bochni.

Raj utracony nie jest do odbudowania na tej planecie, ponieważ postęp choć rozwiązuje część dawnych problemów stwarza równocześnie nowe — często trudniejsze do rozwiązania niż poprzednie.

Wydaje mi się jednak, że Rudolf Klein i wielu innych brytyjskich recenzentów — wysunęli przeciw McLuhanowi podstawowy i niesłuszny zarzut. Oskarżono go bowiem, że zwalnia nas od odpowiedzialności, że jego program w przeciwieństwie do Marksa i Freuda — nie domaga się od nas żadnej akcji.

To nie jest prawda. Oto słowa Marshalla McLuhana które odpierają powyższe zarzuty: „Tak jak dziś próbujemy zabezpieczyć się przed *fall out* (opad radioaktywny) bomb atomowych — tak podobnie w przyszłości podejmiemy próby zabezpieczenia się przed *fallout*’em mediów komunikacyjnych. Nauczanie (wykształcenie) zostanie uznane jako organizacja obrony cywilnej przed *fallout*’em mediów komunikacji”.

Z powyższego cytatu wynika jasno, że McLuhan zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa i odpowiedzialności jaka na nas ciąży. Dodaje również, że *establishment* oświaty oparty o medium druku nie uznaje jak dotąd żadnych innych odpowiedzialności.

Rudolf Klein swój obszerny artykuł o McLuhanie kończy stwierdzeniem, że jest on fałszywym prorokiem i tylko jako człowiek znakomitego wglądu (*brilliant insight*) zasługuje na uwagę.

Socjologów, pisarzy, intelektualistów, którzy nie popełniają błędów McLuhana i nie wygłaszają dzikich tez nie popartych dowodami — mamy tysiące. I co z tego? McLuhan, a nie oni wskazał palcem na rzeczy które wszyscy widzą lecz tylko on dojrzał. Fałszywi prorocy są potrzebni pod warunkiem, że mają *brilliant insight*. Oni bowiem zapładniają uładowanych, akademickich naukowców, którzy często mają wszystkie zalety z wyjątkiem błysku intuicji.

LONDYŃCZYK

Najnowsza historia Polski

Wspomnienia Janusz Radziwilla (I)

Gdy przed kilku laty przybył do Madrytu książę Janusz Radziwiłł, w odwiedzinach do najbliższej rodziny, redaktor „Kultury” zwrócił się do mnie z propozycją przeprowadzenia rozmowy z księciem i uzyskania od niego wspomnień z okresu wojny i okupacji. Na razie była to rzecz niemożliwa, gdyż Radziwiłł ciężko zachorował i przez dłuższy czas przebywał w szpitalu, dosłownie między życiem i śmiercią.

Po wyjściu z kliniki zapytałem go przy pierwszej okazji, czy byłby skłonny udzielić mi rozmowy na ten temat. Zgodził się chętnie, zastrzegając jedynie, że wspomnienia mogą być ogłoszone drukiem dopiero po jego zgonie. Rozmowa była nie jedna, lecz kilka, bodaj siedem czy osiem. Rekonwalescent męczył się szybko, więc rzadko kiedy rozmawialiśmy dłużej niż pół godziny, najwyżej trzy kwadransy.

Nie jestem stenografem, choć potrafię zapisywać rzeczy najważniejsze dość szybko, oczywiście w dużym skrócie. Gdy chodziło o ciekawsze dialogi, książę powtarzał tekst cierpliwie, by umożliwić mi dokładny zapis.

Notatek, jakie wtedy poczyniłem, starczyłoby na sporą broszurę, ograniczam się jednak do rzeczy mających niewątpliwą wartość dla historyka. Tak więc w części pierwszej położyłem nacisk na spotkania z Berią, w części drugiej na wizytę w Berlinie.

Prócz warunku niepublikowania wspomnień za jego życia, zmarły postawił jeszcze parę warunków, których skrupulatnie przestrzegam. Tak więc opuściłem te wszystkie fragmenty wspomnień, przy których sam opowiadający stawiał znak zapytania, wyrażając obawę, że mógł poplątać wydarzenia, daty i nazwiska ludzi zainteresowanych. Uwzględniłem tylko to, czego książę był absolutnie pewny.

Nie brakuje tu informacji, którymi ten i ów może się poczuć dotknięty, a w wypadku osób nieżyjących ich krewni, lub najbliższe otoczenie. Ilekroć była mowa o sprawach przykrych, jak

na przykład o wizycie w berlińskiej nuncjaturze, zawsze pytałem, czy książę życzy sobie dokładnej relacji. Za którymś z takich pytań powiedział z naciskiem: — Nie należy bać się prawdy. Nie tylko zgadzam się, ale proszę pana o uwzględnienie tych informacji w całej rozciągłości.

Słowa Radziwiłła podaje *in extenso* i w osobie pierwszej tylko wtedy, gdy istniał dosłowny zapis. Poza tym streszczam opowiadanie w formie jak najbardziej lakonicznej i suchej, by uniknąć nawet cienia beletryzacji.

Nie jest to właściwie wywiad, gdyż rzadko zadawałem pytania, Radziwiłł mówił sam, snuł opowiadanie swobodnie, a moja rola ograniczała się najczęściej do naprowadzania na zgubiony chwilowo wątek, lub podsuwanie następnego z kolei.

Przyznaję, iż żywiłem obawę, że osiemdziesięciokilkuletni starzec, do tego tuż po ciężkiej chorobie, nie będzie panować nad materiałem, że popłącze wydarzenia i osoby. Spotkało mnie przyjemne rozczarowanie. Książę sam mówił: — Tego dobrze nie pamiętam, tamto mogło się zdarzyć nieco wcześniej albo później. Kiedy indziej był kategoryczny. Uciekłem się do drobnego chwytu: po paru dniach wracałem do jakiejś sceny czy rozmowy, udając, że zapisałem niedokładnie. Sprawdzało się zawsze, bez najmniejszego pudła.

Notatki mają niewątpliwą wartość dokumentarną, gdyż dotyczą wydarzeń i ludzi, którzy w większej czy mniejszej mierze weszli już do historii. Zmarły książę był dobrze tego świadom, gdy upoważniał mnie do ich opublikowania i do przekazania całej prawdy, bez żadnych retusów ni osłonek.

A jeśli nie chciał mówić o niektórych zjawiskach okupacyjnych, albo zbywał je w kilku słowach, jest to sprawa jego sumienia i drażliwości moralnej, i należy tę postawę uszanować. Gdy w rozmowach wypływała tematyka budząca w zmarłym grymas niechęci, rozumiałem, że nie należy nalegać. Pozostaje mi tylko stwierdzić, że z reguły były to sprawy, do których własnych rąk nie przykładął.

Józef ŁOBODOWSKI

Madryt, 8 października 1967.

I. — Z OŁYKI PRZEZ ŁUBIAŃKĘ DO WARSZAWY

Pada pierwsze pytanie: — Gdzie i w jakich okolicznościach zastał księcia wybuch wojny?

— Wakacje 1939 roku spędziłem częściowo na Wołyniu, głównie w Ołyce. Lato było, jeśli pan pamięta, bardzo piękne, wszyscy bodaj liczyliśmy, że zapowiadająca się burza wojenna ulegnie zwłoce, dopiero przyjazd Ribbentropa do Moskwy i pakt ze Związkiem Sowieckim uanoćnił natychmiastowość niebezpieczeństwa. W Ołyce czyniliśmy odpowiednie przygotowania. 1 września, gdy już nastąpiła agresja niemiecka, pojechałem samochodem do Warszawy.

— Czy książę miał powierzoną przez czynniki urzędowe jakąś określoną funkcję?

— Nie, chciałem zorientować się w sytuacji i przynajmniej *pro forma* zgłosić się do wojska jako oficer kawalerii; *pro forma*, gdyż mój wiek — 59 lat — wykluczał możliwość przyjęcia. W Warszawie nie miałem poza tym wiele do roboty i czwartego września wyjechałem z powrotem do Ołyki. Powierzono nam zakup koni i zboża dla armii — rzecz zasadniczej wagi przy mobilizacji powszechnej. Jechaliśmy samochodem w nocy i wczesnym rankiem następnego dnia dotarliśmy do Ołyki, bez żadnych przygód, jeśli nie liczyć zatorów na szosach, a i to tylko przez pierwsze kilka godzin.

Następnie książę Radziwiłł opowiedział szczegółowo o wydarzeniach następnych trzynastu dni, aż do wtargnięcia Armii Czerwonej. Nie siedział w Ołyce beczynnie, jeździł parokrotnie do Łucka, Dubna i Krzemieńca, kontaktował się z najwyższymi dostojnikami państwowymi i członkami korpusu dyplomatycznego, który towarzyszył prezydentowi i rządowi w ich peregrynacji po drogach Wołynia; starał się o kwatery dla coraz liczniej napływających uciekinierów, brał udział w organizowaniu zaimprovizowanego szpitala w Cumanii. Postawa miejscowej ludności ukraińskiej była na razie całkowicie lojalna.

Prezydent Ignacy Mościcki ze świtą i kompanią zamkową przebywał przez jakiś czas w Ołyce, kilkakrotnie przyjeżdżał z Krzemieńca premier Sławoj-Składkowski, natomiast marszałek, Śmigły-Rydz, zatrzymał się u Chodkiewiczów, w pobliskim Młynowie.

— Trudno mi po tylu latach wymienić wszystkich, z którymi się spotkałem. Na Wołynź zważyło się pół urzędowej Polski. Niemal cały MSZ, urzędy centralne; tu wpadam na znajomego starostę z Łańcuta, tam na urzędników z Kieleckiej Izby Skarbowej, dezorganizacja straszna, wszyscy poszukują benzyny, policja i żandarmeria z trudem utrzymują jako taki porządek.

Pytam jak wyglądały spotkania księcia z obcymi dyplomatami.

— Stykałem się z nimi przede wszystkim w Krzemieńcu, ale także w pałacu biskupim w Łucku i w innych miejscowościach. Nuncjusz, który zatrzymał się w domu dyrektora Liceum Krzemienieckiego, w rozmowie ze mną wyraził chęć powrotu do Warszawy i pytał, czy bym nie zechciał odwiedzić go moim samochodem; powoływał się przy tym na precedens: Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI, w roku 1920 nie chciał opuścić zagrożonej stolicy Rzeczypospolitej.

Następnie Janusz Radziwiłł podkreślił bardzo godne i przyjazne dla Polaków zachowanie się ambasadora Stanów Zjednoczonych, Biddle'a. Gdy Biddle'a zapytano w Krzemieńcu, czy Polska może liczyć na amerykańską pomoc sanitarną, natychmiast wysłał w tej sprawie depezę do Waszyngtonu.

Z dużym uznaniem Radziwiłł wspominał posła węgierskiego i ambasadora Wielkiej Brytanii, oświadczył natomiast, że ambasador francuski Noël, zachowywał się niegrzecznie a nawet wy-

zywająco, mówiąc z pogardą o polskiej armii i wyrażając żal, iż Francja z winy Polski wplątała się w awanturę wojenną.

Ostatnie dni przed wtargnięciem Armii Czerwonej (14-17 września) upłynęły w Ołyce dość spokojnie — przez cały czas nie było ani jednego bombardowania. W pałacu zgromadziła się cała rodzina, z wyjątkiem najmłodszego syna, Stanisława, który był w wojsku, i zięcia, Józefa Potockiego, pracującego w MSZ-cie. Książę miał do dyspozycji cztery samochody i zapas benzyny, dobrze ukryty w lesie, ale o wyjeździe nikt z nich nie myślał.

— Byłem przynębiony — mówił Radziwiłł — widokiem powszechnej ucieczki i nie chciałem brać w niej udziału.

Zwalała się zbrojna okupacja sowiecka. Jej pierwsze dwa dni upłynęły również spokojnie. Księcia Radziwiłła zatrzymano, gdy jechał samochodem, na 60-tym kilometrze od granicy, zrewidowano wóz w poszukiwaniu broni, nie znaleziono, pozwolono wracać do Ołki. W środę 20 września, gdy wszyscy domownicy siedzieli w pałacowej bibliotece przy popołudniowej herbacie, weszło kilku sowieckich oficerów z pułkownikiem na czele. Zachowywali się uprzejmie, a gdy ich zaproszono do stołu, pułkownik oświadczył, że wszyscy mieszkańcy pałacu znajdują się pod opieką „niezwyciężonej” Armii Czerwonej i nie mają czego się obawiać, co z emfazą zaręczył słowem sowieckiego oficera.

W jakiś czas później zjawili się kilku umundurowanych agentów NKWD. Wezwali obecnych mężczyzn, aby udali się z nimi, nie zabierając ze sobą żadnych osobistych rzeczy. Jednocześnie na zewnątrz rozległy się strzały karabinowe.

— Widocznie — opowiadał książę z uśmiechem — chcieli wyrzucić odpowiednie wrażenie. Obejrzałem się na pułkownika, który przed dziesięcioma minutami w imieniu Armii Czerwonej, gwarantował nam pełne bezpieczeństwo i nietykalność. I on i pozostali oficerowie poznikali, jakby ich wiatrem wymiotło, nawet nie zorientowałem się, którędy uciekli. Zrozumiałem wtedy, że tam, gdzie wkraczają błękitne otoki enkawudystów, wojskowi, nawet wysokiego stopnia, nie mają nic do powiedzenia i wolą się ulotnić na wszelki wypadek.

Aresztowanych zaprowadzono na folwark, oddalony o kilometr, i ustawiono pod jakimś płotem, oświetlając ich reflektorami ciężarówek, gdyż w międzyczasie zapadł zmrok. Nadjechał samochodem oficer, krzyknął: — Dawać sznury i związać! — odwieziono ich jeszcze pół kilometra do młyna parowego i tam trzymano na podwórku aż do rana. Wartownik przyniósł worki do przykrycia się, bo noc była chłodna.

Książę nie wiedział, że w tym samym czasie, w budynku gminy odbywał się zaimprovizowany na prędcie sąd ludowy: spędzono setkę ludzi z folwarku i ze wsi, zaplatało się kilka osób z miasteczka. Po wygłoszeniu odpowiedniego przemówienia oficer NKWD zapytał jakiej kary zgromadzony lud żąda dla wyzyskiwaczy i krwiopijców. Dwa głosy padły za karą śmierci, 98 głosów za zwolnieniem. Chłopi zgodnie twierdzili, że „od kniaziów Radziwiłłów myśmy nijakiej krzywdy nie zaznali...”

Wówczas politruk wpadł w gniew i skoczył z wielkim wrzaskiem na tych dwóch, którzy głosowali za śmiercią — jeden z nich był fryzjerzykiem z Ołki — grożąc im strasznymi karami za występowanie przeciw woli ludu i wprowadzanie sowieckiej władzy w błąd. Z miejsca zabrano ich pod eskortą, ale księżę już nie dowiedział się, co się z nimi stało.

Nad ranem nadjechały dwie limuzyny NKWD i bocznymi drogami, omijając główną szosę, odstawiły księcia i jego syna do Równego. Ponieważ szoferzy nie znali terenu, sam Radziwiłł na ich prośbę pokazywał jak mają jechać, by omijać większe miejscowości. Zawieziono ich do gmachu gimnazjum, gdzie już znajdowało się sporo aresztowanych Polaków. Księcia uderzyło nieprzyjemnie, że niektórzy z nich zachowywali się w stosunku do sowieciarzy w sposób przesadnie uniżony. A zaraz potem rozegrała się jeszcze bardziej przykra scena.

— Kiedy wprowadzono mnie na dużą salę, od razu dojrzałem generała Smorawińskiego*, którego dobrze znałem. Gdy jednak zbliżyłem się, by się z nim przywitać, odwrócił głowę i udał, że mnie nie zna. Na to podszedł pułkownik NKWD i powiedział ironicznie: — *Cztoż eto wy, gienierał, niezdarowajetieś s kniaziom Radziwiłłom? Wied' wy mnie nie skażetie czto s nim nieznakomy! Paczemu że jewo nie uznajotie?!*

Pierwsze badanie było powierzchowne i trwało krótko. Żadnych pytań na polityczne tematy nie zadawano. Wydali niezły posiłek, ale na skargę, że aresztowani nie mają przy sobie żadnych rzeczy osobistych, nie było najmniejszej reakcji. Wieczorem tegoż dnia zawieziono księcia do Korca, potem do jakiejś wsi w pobliżu Zviahla, już na sowieckim terytorium, wreszcie do Szepietówki i dalej do Płoskirowa. W miejscowym więzieniu umieszczono go w małej celi, gdzie już znajdowało się trzech polskich oficerów.

W Płoskirowie przebywał prawie dwa tygodnie, traktowanie było dość przyzwoite, wzywano na badania kilka razy, poważniejszych zarzutów nie stawiano, najcięższy, że księżę rzekomo zajmował się na Wołyniu organizowaniem krakusów, których śledczy z uporem nazywał *karakuzami*.

Wczesnym rankiem 3 października oficerów zabrano do transportu, a księcia tego samego dnia zawieziono do Kijowa. Tam Radziwiłł siedział w osobnej, dużej celi, na badania go nie wzywano. Po dalszych dwóch tygodniach komisarz Spraw Wewnętrznych Sowieckiej Republiki Ukrainy oświadczył mu na osobistym przesłuchaniu, że pojedzie do Moskwy. Zapewnił, że władze sowieckie żadnych specjalnych pretensji do księcia nie mają, ale „*żetajut s wami pagawarit w Maskwie...*”

Gdy Radziwiłł upomniał się o jakieś odzienie, wręczono mu na

* Generał Mieczysław Smorawiński, w ostatnich latach przed wojną dowódca O.K. Lublin, do którego należało także województwo wołyńskie. Znalazł się później w pierwszym transporcie zamordowanych w lasu katyńskim.

drogę ciepłą fufajkę. Dokładnej daty wyjazdu nie pamięta, zdaje się — 20 października; jechał ekspresem, konwój składał się aż z pięciu żołnierzy NKWD. Siedział przy oknie, mógł swobodnie oglądać przejeżdżane stacje. Pociąg szedł przez Nieżyn-Konotop-Briańsk-Kaługę. W Nieżynie książę zauważył przy torach ogromne kupy niezmagazynowanego ziarna pszenicy i nie trudno było domyśleć się, zważywszy porę roku, że skazana jest na zgnojenie.

W Moskwie osadzono księcia w słynnym więzieniu na Łubiance, początkowo w pojedynczej celi, a po dwudziestu czterech godzinach w podwójnej. Towarzyszem niedoli był wykształcony, kulturalny Ormianin, Agabekow, były wice-minister finansów. Opowiedział księciu całe swoje życie. Syn zwykłego owczarza, urodzony w roku 1902, spędził dzieciństwo w skrajnej nędzy. Mając szesnaście lat, wstąpił najpierw do Ormiańskiej Organizacji Rewolucyjnej a następnie do Armii Czerwonej. Po zwycięstwie rewolucji bolszewickiej zdobył wykształcenie i stopniowo dochrapał się wysokich stanowisk w Partii. Aktu oskarżenia jeszcze mu nie odczytano, w śledztwie oskarżają o wszelkie możliwe zbrodnie. Agabekow trzymał się na razie dobrze, ale wypowiadał obawę, że jeśli zaczną go torturować, przyzna się do najbardziej fantastycznych zbrodni.

Dowiedziawszy się, że ma przed sobą polskiego księcia, Agabekow poczuł do niego pełne zaufanie i nie taił swego antyrosyjskiego nastawienia. „Dawniej — mówił — gnębiła nas carska Rosja, a obecnie gnębi Rosja Sowiecka. Tyle, że jeszcze ciężiej. A Marks ulotnił się z tego — nie ma go”. Z dawnego rewolucjonisty i żołnierza Czerwonej Gwardii nie pozostało nic, młodzieńcze złudzenia zastąpił gniew i nienawiść. Agabekow miał szczupły zapas papierosów i częstował nimi Radziwiłła.

Codziennie zabierano księcia na badania, trwające zazwyczaj od dwóch do czterech godzin. Ormianin powiedział mu, że to dobry znak. W ciężkich wypadkach badanie trwa co najmniej osiem godzin bez przerwy, a często dwanaście i więcej. Z prowadzącymi dozorcami nie wolno było rozmawiać pod surową karą. Przeważnie budzono koło północy, ale nie regularnie: czasem wcześniej, czasem znacznie później. Ponieważ więzień na to czekał, sen był nerwowy, najwidoczniej liczono na psychiczne wyczerpanie.

— Jak książę to znosił? — zapytałem.

— Właściwie byłem uprzywilejowany. Dwie do czterech godzin badania, to na Łubiance uchodziło za dziecinną porcję. Agabekowa trzymano pewnego dnia na nogach przez trzydzieści sześć godzin i tej nocy w ogóle nie zjawił się w celi.

Śledczy ponawiał prawie zawsze te same pytania, następnie podsuwał papier i pióro, proponował uzupełnić na piśmie odpowiedzi. Następnej nocy powtarzało się to samo. Radziwiłł sądził, że śledczy uwzględni w swoich badaniach międzynarodowe kontakty księcia, ale ku jego wielkiemu zdziwieniu pytania były ograniczone do spraw wyłącznie polskich.

Interesowano się mocno osobą marszałka Józefa Piłsudskiego i jego postawą wobec Związku Sowieckiego i Niemiec w ostatnich latach jego życia. Jedno z pytań: — Czy pan sądzi, że Piłsudski, gdyby dożył, poszedłby na wspólną z Niemcami agresję przeciw Związkowi Sowieckiemu? Czy Piłsudski, zawierając pakt z Niemcami Hitlera, szedł po linii antysowieckiej, czy tylko chciał zyskać na czasie? Jak daleko szły kontakty osobiste Piłsudskiego z hitlerowcami?

— Odpowiadałem, zgodnie z rzeczywistością, że Piłsudski nie miał żadnego zamiaru iść wraz z Trzecią Rzeszą przeciw Związkowi Sowieckiemu. Gdyby było inaczej, cała polityka polska poszłaby zupełnie innymi drogami.

Pytano również o prezydenta Mościckiego, przy czym śledczy doskonale orientował się, że Mościcki jest wybitnym chemikiem; o wojsko i policję, o rzekome nadużycia polityczne i administracyjne, a przede wszystkim o stosunki na Wołyniu. Którejś nocy prowadzący śledztwo powiedział z grymasem, mającym oznaczać uśmiech: — Widzę, że książę nie chce nikogo oskarżać. A co tu wygadują inni Polacy na siebie nawzajem, *wot by wam włosy dybom stali!**

Śledczy znał zresztą całkiem nieźle język polski, więc rozmowa toczyła się na przemian w języku rosyjskim i polskim. Gdy książę mimowoli wtrącił kilka słów po francusku, śledczy ostro zaprotestował: — Wystarczą dwa języki, po co wprowadzać jakąś cudzoziemszczyznę?! Mówiąc po polsku, enkawudysta traktował Radziwiłła *per pan*, gdy przechodzili na rosyjski, mówił *wy*, albo *kniaź*.

— Czy księcia nie zdziwiło to traktowanie? — zapytałem.

— Początkowo dziwiłem się. Następnie mniej, bo doszedłem do przekonania, że były jakieś interwencje na moją korzyść. Jakie — nie wiedziałem, mogłem się najwyżej domyślać.

Po dwóch tygodniach zbudzono więźnia późno w nocy, Radziwiłł natychmiast zdał sobie sprawę, że chodzi o coś ważnego, gdyż tym razem pofatygował się sam dyrektor więzienia w randze pułkownika NKWD. Zaprowadzono księcia na inne piętro niż zazwyczaj, otworzyły się drzwi do luksusowo urządzonego gabinetu: puszyste dywany, boazerie, lustra, wspaniałe biurko, miękkie fotele. Zza biurka podniósł się niewielkiego wzrostu, mocno wyłysiały brunet w binoklach, o wschodnim typie i uprzejmie przedstawił się. Miał przed sobą wszechwładnego szefa NKWD, prawą rękę Stalina, Ławrientija Berię. Okrągłym ruchem wskazał fotel, sam usiadł obok. Dyrektor więzienia i dwaj inni enkawudyści asystowali, stojąc.

Wywiązał się następujący krótki dialog:

— Przeczytałem z prawdziwym zainteresowaniem wszystko, co pan napisał. W ogóle nie mamy nic przeciw panu i w zasadzie nie zamierzamy dłużej go tu trzymać. W razie czego jakby pan swoją osobą zadysponował?

* To by panu włosy dęba stanęły.

— Pragnę wyjść na wolność. Co się dzieje z moją rodziną?

— Proszę się nie niepokoić — wszyscy żywi i zdrowi. A co by pan zrobił, gdybyśmy go puścili wolno?

— Pragnę wrócić z rodziną do Polski.

— A konkretnie? Do Warszawy? Tam są Niemcy, kto wie jakby się z panem obeszli... Czy nie lepiej pozostać w Związku Sowieckim?

— Każdego ciągnie do własnej ojczyzny.

— Rozumiem. Między Rosją i Polską jest wiele sprzecznych i niezłatwionych spraw, ślimaczących się od dawna. My jesteśmy komunistami, wy — nie. Książę jest na pewno przeciwnikiem komunizmu. A jednak... Przecież wielu arystokratów rosyjskich pracuje z nami... — tu Beria zwrócił się do dyrektora więzienia i innych enkawudystów, obecnych przy rozmowie: — Tacy ludzie, jak książę Radziwiłł, są nam bardzo potrzebni. Znaleźlibyśmy dla niego dobre zajęcie.

Gdy więzień wyraził raz jeszcze zdecydowane życzenie powrotu, Beria więcej nie nalegał. Poradził księciu napisać list do ambasadora niemieckiego w Moskwie, von Schulenburga, gdyż nie wystarczy „dobra wola rządu sowieckiego, potrzebna jest ponadto zgoda Niemców na powrót do Warszawy”.

Zaraz potem Beria zaczął troszczyć się, jak wyglądają więzienne warunki Radziwiłła. Zwrócił się do dyrektora z zapytaniem jak jedzenie... Ten odparł, że więzień nigdy się na nic nie skarżył. — A bo pewnie widział, że inni otrzymują to samo. Powinności księcia lepiej karmić... I wreszcie zapytał Radziwiłła wprost czy czego nie potrzebuje. — Bielizna? Skarpetki?

Nagle padło pytanie: — Czy książę zna Eustachego Sapiechę? Bo on także jest u nas.

— Znam. Czy również zamierzacie go zwolnić?

— Może nieco później. Na razie nich jeszcze trochę posiedzi.

Nazajutrz przyniesiono Radziwiłłowi do celi parę koszul i skarpetek, flakon wody kolońskiej i inne drobiazgi. Jedzenie zmieniło się radykalnie: dobrze przyrządzone potrawy, wędliny, masło, herbata, nawet takie przysmaki jak bieługa i jesiotr. Ponadto codziennie 25 sztuk dobrych papierosów. Książę mógł teraz odwdziżyć się Agabekowowi za jego uprzednią uprzejmość.

Zgodnie z instrukcją Berii Radziwiłł napisał list do von Schulenburga, ale odpowiedzi nigdy nie otrzymał. Jak się zdaje, list ten do rąk niemieckiego ambasadora nie dotarł, a wszystko, co Beria na ten temat mówił, było zwykłą inscenizacją: sprawa odesłania księcia pod niemiecką okupację została zadecydowana i uzgodniona znacznie wcześniej.

Minęło kilka dni i nastąpiła ponowna rozmowa z Berią, w tym samym gabinecie, co uprzednio. Szef NKWD rozplýwał się w uprzejmościach, zawiadomił o natychmiastowym zwolnieniu i poinformował, że na stacji granicznej w Brześciu spotka się z szeregiem osób, które również zostaną zwolnione z więzień i obozów. Wymienił Franciszka Radziwiłła, Leona Radziwiłła z Nieświeża, hrabiego Tyszkiewicza, mecenasa Żeromskiego.

Na zakończenie zaproponował, żeby ksiązę utrzymywał z nim kontakt, gdyż to może okazać się korzystne dla obu stron, a także dla narodu polskiego. Sens jego wywodów był w ogólnym ujęciu następujący: wojna dopiero skończyła się na pierwszym etapie, armia niemiecka stoi na razie beczynn timer na zachodniej granicy, działania wojenne wznowią się zapewne na wiosnę. Trudno przewidzieć, jak się potoczą wypadki i kto jeszcze zostanie wpłątany do konfliktu.

— Byłoby dobrze — powiedział Beria — gdybyśmy od księcia otrzymywali od czasu do czasu jakieś istotne wiadomości na temat ogólnej sytuacji w okupowanej przez Niemców Polsce, o nastrojach społeczeństwa, ewentualnie o ruchach wojsk i tak dalej.

— Rozumie się samo przez się — dodał Beria z miłym uśmiechem, że ksiązę może moją propozycję odrzucić, nie stawiam żadnych warunków, tylko proszę. Ale bardzo bym się cieszył, gdyby ksiązę wyraził zgodę...

Nie dając Radziwiłłowi dojść do głosu, poinformował, że listy można przysyłać na adres pewnej nauczycielki we Lwowie (podał nazwisko), albo przez którąś z sowieckich ambasad, na przykład w Berlinie.

— W takim wypadku — mówił, nie przestając uśmiechać się — należy powołać się bezpośrednio na mnie.

Ksiązę odpowiedział powściągliwie, że nie sądzi, aby zdobyte przez niego wiadomości mogły mieć większą wartość, ale przyrzekł, że przy okazji do Berii napisze. Ten pożegnał się, życząc szczęśliwej podróży i rychłego spotkania z rodziną.

— Istotnie nastąpiło ono w Brześciu Litewskim. Przeszliśmy most na Bugu i znaleźliśmy się na stacji w Terespolu. Do Warszawy dotarliśmy niemieckim pociągiem wojskowym, który wiozł urlopowanych żołnierzy z oddziałów stojących na linii demarkacyjnej. Było to na kilka dni przed Bożem Narodzeniem 1939 roku, dokładnie nie pamiętam, w każdym razie między osiemnastym i dwudziestym grudnia. A więc niemal co do godziny w trzy miesiące po zaareztowaniu przez bolszewików i wywiezieniu z Ołki na niepewny los.

(c.d.n.)

Sprawa Tadeusza Żarskiego

Na starym rynku w Piotrkowie był skład apteczny cieszący się dobrą sławą. Właściciel, pan Żarski, mógł zostać prowincjonalnym Wokulskim. Prowadził swe przedsiębiorstwo z rozmachem, miał zawsze najlepsze produkty, ceny właściwe oraz wiedzę tro-

chę lekarską, trochę weterynaryjną, był więc i doradcą w wyborze tego czy innego specyfiku. Toteż w dniu targowe tłoczyli się w jego sklepie okoliczni chłopci, a w dniu powszednie nie brakowało nigdy klienteli miejskiej. Pan Żarski korpulentny, jowialny dla jednych i drugich miał zawsze życzliwy uśmiech i gotowość do usługi z zachowaniem postawy godnej bez najmniejszego poniżenia. Interes siedł dobrze i dom Żarskich należał do dostatnich i powszechnie szanowanych. Famaniosła, że gdyby pan Żarski chciał to mógłby postawić swe przedsiębiorstwo na skalę dotychczas niespotykaną. Ale po co rozwijać inicjatywę, gdy żadne z czworga dzieci nie upodobało sobie zawodu ojca?

Gryzła go świadomość, że ten piękny sklep, wypełniony po sufit przeróżnymi słojami, butelkami i pudłami trzeba będzie oddać w obce ręce. Nie warto myśleć o ekspansji. Jeszcze bardziej gorzkie uczucia wywoływała myśl o przyszłości dzieci. Bo oto, gdy przyszedł rok 1905 gorączka rewolucyjna padła na najstarszą córkę, rzucając ją w szeregi S.D.K.P.i.L. Starszy pan stracił z nią wszelki związek duchowy. Gniewały go tyrady, w których jego pracę przedstawiano jako pasożytnictwo, a wynik jej jako owoc wyzysku. Szczery patriota bolał nad wyśmiewaniem narodowych dążeń i godeł. Rodzona córka powiązała się z tymi, którzy orła polskiego nazywają gęsią! Wyszła ona z domu i poszła swoją niezrozumiałą dla ojca drogą.

Przycichł z czasem jeden dramat rodzinny — wyrastał drugi. Syn Tadeusz na razie był — nie można zaprzeczyć — grzecznym, posłusznym, dobrze wychowanym chłopcem. Ładna, pociągła twarz o jasnych pogodnych oczach ojca i subtelnych rysach matki, smukła, zgrabna postawa zwracała powszechną uwagę i życzliwe spojrzenia na tego dobrze przy tym ubranego chłopca. Uczył się dobrze, przechodził z klasy do klasy bez trudności, nauczyciele chwalili jego inteligencję i zdolności pisarskie. W rozhukanym gronie kolegów uchodził wprawdzie trochę za lalusia, nie nadającego się do sztubackich awantur, ale był lubiany za uczynność i solidarność nawet w wypadkach gdy sam nie brał udziału w jakimś figlu.

Tak było do lat piętnastu, kończył czwartą klasę gimnazjum Jakobsona i wchodził w wiek, kiedy wzrok ogarnia szeroki już horyzont, a myśl domaga się odpowiedzi na tysiące pytań dotychczas nieznanych lub odsuwanych z beztroską. W gimnazjum zaprzyjaźnił się z braćmi Nowickimi. Z nimi trafił do mojego domu na Krakówce, gdzie były pola, łąki, stawy i szeroka swoboda.

Z Marianem i Wiesławem Nowickimi byłem w przyjaźni jeszcze w dzieciństwie z czasów wspólnego pobytu w przedszkolu pani Jaroszewskiej. Tadeusz wszedł do naszej trójki i dopasował się doskonale do naszego stylu zabaw. Wylegiwaliśmy się nad sadzawką, pływali, pomagali zwozić siano i zboże, urządzali wycieczki do pobliskich lasów, gdzie mieliśmy swe zaczerowane kąty, nazwane nam tylko znanymi imionami. A poza tym gadaliśmy i gadali bez przerwy, bez końca, o wszystkim bez żadnego składu i ładu.

Z rekordową ilością dwójek i po krótkim popasie na ochotniczym terminie u szewca zostałem na drugi rok w czwartej klasie, wyprawili mnie więc rodzice dla poprawy do „arystokratycznego” gimnazjum gen. Chrzanowskiego w Warszawie. Uroki piotrkowskiego życia na swobodzie musiały się ograniczyć do wypadów na święta i wakacje. Przyjaźń naszej czwórki odnawiała się bez przeszkód. Aż przyszedł kryzys. W czasie świąt Bożego Narodzenia zastałem moich przyjaciół gruntownie zmienionych. Zamiast rozmów o wszystkim i niczym moi koledzy uważali, że tylko zagadnienia społeczne i polityczne godne są uwagi i roztrząsania. Moje modne kloszowe spodnie i mundurek ze srebrnymi guzikami wzbudzał szydercze uwagi. Przyjaźń wisiała na włosku. Ale wziął mnie w obroty ich mistrz nowej drogi — starszy o trzy klasy kolega, Bolesław Dratwa — i skończyło się kapitulacją kandydata na złotego młodzieńca.

Żażyłość naszej czwórki została nawet pogłębiona udziałem w tajnym Związku Młodzieży Postępowo Niepodległościowej. Staliśmy się na długie lata nierozłącznym bractwem uszczuplonym w czasie pierwszej wojny światowej śmiercią Wiesława, który nie przetrzymał zaziębnienia nabawionego w czasie jakiegoś patrolu POW.

Tadeusz Żarski stał się jednym z najgorliwszych członków organizacji. Każdy z nas wyrósł w innym środowisku, miał inny temperament i inne cechy wnosił do przyjacielskiej wspólnoty. Marian spokojny i pedantyczny, Wiesław lubujący się w nieskończonych analizach, ja zawadiacki i lubiący się pośmiać, Tadeusz zachowywał zawsze powagę i skłonny był nawet do pewnej przesady w wymogach dotyczących swojej i naszej czystości ideologicznej. Gdy pozwalałem sobie pisać wierszyki nieco kpiące z naszej paczki konspiratorów — Tadek patrzył na mnie z wyrzutem i nie kwitował dowcipów uśmiechem lecz wyraźnie był nimi zgorzsony.

Oddaliśmy Tadeuszowi opiekę nad biblioteką organizacyjną, zakonspirowaną w pustych ulach matczynej pasieki w ogrodzie moich rodziców. Zadanie spełniał więcej niż sumiennie. A nie było ono tak proste. Kilkudziesięciu chłopców i dziewcząt składało na ręce Tadeusza zapotrzebowania; trzeba było przynieść książki przeczytane, rozlokować w ulach, zabrać zamówione i roznieść do kolegów i koleżanek. Tadeusz dołożył od siebie jako dobry bibliotekarz jeszcze porady co trzeba przeczytać, by zostać dobrym socjalistą i nawet pewną kontrolę czy rzecz była przeczytana dokładnie i porobione wymagane w samokształceniu notatki z lektury. Można było prawie codzień spotkać Tadeusza z paczką idącego na Krakówkę bądź wprost, bądź okrężną drogą przez Bugaj i Łąki nad Strawą. Mawiali też nieraz rodzice do swych dorastających synów: — Bierzcie przykład z Żarskiego, zawsze z książkami, a wy co? Tylko figle w głowie!

Ostre poczucie porządku i dyscypliny moralnej Tadeusza wywoływało czasem zabawne kolizje w naszym rozbałaganionym nieco światku. Po jakiejś zapalczącej dyskusji czy sprawę nie-

podległości należy traktować jako potrzebę uczucia narodowego, czy też konieczność dla usunięcia przeszkód w rozwoju gospodarczym kraju, obliczyliśmy swoje zasoby finansowe i zdecydowali pójść na lody do Icka, Icek miał sklepik na placu naprzeciw więzienia i słynał wśród sztubaków z lodów, które sprzedawał po 3 kopiejki za małą i 5 kopiejek za dużą porcję. Poszliśmy całą czwórką. Było gorąco a lody pyszne. Każdy wyciągnął swego miedziaka i płacił z żalem, że koniec rozputy. Nagle Wiesław zamówił cztery nowe małe porcje. Nie trzeba nas było zapraszać, tylko ze zdziwieniem patrzyliśmy na fundatora, który z gestem wielkopańskim wyciągał z kieszonki od kamizelki 15 kopiejek i brał resztę. Po małym rozkoszowaliśmy się zimnym przysmakiem, gdy ku największemu zdziwieniu i zgorszeniu zobaczyliśmy jak Tadek niedojedzoną kulkę rzuca do rynsztoka i czerwony z gniewu rzuca Wiesławowi: świnia, świnia. Nie rozumieliśmy o co chodzi, Wiesław zażądał zwołania naszego koła by otrzymać satysfakcję. Tadeusz też tego żądał by oskarżyć Wiesława o nadużycie. Jakie? Wyjaśniło się to na zebraniu, które natychmiast zwołaliśmy w ogrodowej budzie ogrodu służącej do pilnowania sadu, a latem zajmowanej po kolei przez dorastające moje rodzeństwo. Tadek wystąpił z pytaniem:

- Gdzie Wiesław trzyma pieniądze organizacyjne?
- W prawej kieszonce kamizelki, brzmiała odpowiedź.
- Skąd wyciągnął pieniądze by zapłacić za lody?

Zrozumieliśmy o co chodzi. Wiesław błady wytrząsa z kieszonki kilkadziesiąt kopiejek skarbu organizacyjnego i złuszonym przez żal i gniew głosem woła:

— Licz, znajdziesz 3 kopiejki więcej niż zawartość kasy... Miałem własne 15 kopiejek...

Ale nie trzeba ich było trzymać w tej samej kieszonce...



Wysoka wrażliwość moralna i błyskotliwa inteligencja z pewną skłonnością do doktrynerstwa sprawiły, że Tadeusz Żarski stał się w naszej paczce dobrym hamulcem rozhukanej nieco młodości. Dopełnialiśmy się wzajemnie i trzymali razem poprzez wiele lat. Razem weszliśmy do szeregów PPS, razem włączyliśmy się do antymilitarystycznej opozycji perłowskiej, razem poszliśmy do więzienia, razem odnaleźliśmy się w Charkowie, by wspólnie przeżyć uniesienia rewolucji marcowej. Tutaj organizowaliśmy Zjednoczenie Socjalistyczne Polskie i wydawali tygodnik „Jedność Robotnicza”, by po półrocznym trwaniu tej próby połączenia różnych kierunków polskiego socjalizmu powrócić do swej macierzystej PPS. Tutaj też organizowaliśmy powrót do kraju naszych towarzyszy i razem wyprawiliśmy się do Polski tam widząc jedyny teren dla własnej działalności.

Przygotowania do przewrotu listopadowego 1918 roku przeprowadzaliśmy jeszcze wspólnie, ale w tym czasie zaczęły się pojawiać pierwsze oznaki pogłębiających się różnic w poglądach.

Spójnia naszej trójki wyraźnie się rozluźniała. Marian Nowicki wyszedł z więzienia w Orle na szpitalnych noszach i ciągle kwękał, zmuszony do odsunięcia się z czynnej pracy partyjnej. A pomiędzy mną i Tadeuszem wyrastała przegroda różnej oceny wydarzeń w Polsce i w Rosji oraz zapatrywań na zadania polskiego ruchu robotniczego. Powstawały dyskusje trwające godzinami. Ich centralnym punktem było pytanie: czy hasło dyktatury proletariatu jest aktualne i czy budowa socjalizmu stała się już zadaniem bezpośrednim ruchu robotniczego. Obaj byliśmy pod urokiem rewolucji rosyjskiej i broniliśmy bolszewików i ich przewrotu październikowego, jako nieuchronnej konsekwencji bezradności rządu tymczasowego. Kiedy w maju 1918 roku, podczas przejazdu z Rosji do Polski, wygłosiliśmy wobec grona lwowskich towarzyszy referaty o rewolucji Artur Hausner potraktował nas jako bolszewików. Nie miał racji i więcej jej wykazał Mikołaj Hankiewicz stwierdzając, że „rewolucji nie dokonywa się przy pomocy olejku różanego”. Ale w dalszym rozwoju Tadeusz coraz bardziej przechylał się do pozytywnej oceny polityki bolszewików, gdy ja pogłębiałem swój do niej stosunek krytyczny.

Fascynowała go idea rewolucji przelewającej się z Rosji na cały świat. Przyznawał, że dyktatura proletariatu w kraju tak mało uprzemysłowionym jak Rosja jest formułą czysto abstrakcyjną, ale co innego, gdy podniesie to hasło proletariatu krajów wysoko uprzemysłowionych, o potężnie rozwiniętej klasie robotniczej w Niemczech, we Francji, w Anglii, a słowa o dyktaturze proletariatu nabiorą pełnego znaczenia. Stąd wysnuwał wnioszek: rewolucja rosyjska, jeśli ma się stać początkiem rewolucji powszechnej, nie może rozwijać się pod innym hasłem. Nie podzielałem wiary w przeniesienie się rewolucji bolszewickiej na zachód, jak również nie widziałem warunków dla realizacji socjalizmu w naszej epoce. Przeciwwstawiałem rozumowaniu Tadeusza myśl o „ustroju przejściowym” jako o zadaniu polityki klasy robotniczej. Tym wyznaczyła się główna granica naszego rozejścia. W konsekwencji tych rozważań teoretycznych wyrosło zupełnie inne pojmowanie zadań aktualnych i praktycznych ruchu socjalistycznego w Polsce.

Dla Tadeusza Polska była albo pomostem albo zawadą dla rozszerzenia rewolucji na zachód. Pragnął aby stała się pomostem, a więc zadaniem miało być rozpalenie w Polsce rewolucji na wzór bolszewicki. Dla mnie zadaniem najważniejszym było doprowadzenie do końca budowy własnego państwa, zjednoczenie trzech zaborów i utrwalenie ustroju demokratycznego dającego klasie robotniczej możliwość dalszej walki o socjalizm i aktualny do tego celu etap w postaci ustroju przejściowego, w którym posunie się jak najdalej ustawodawstwo społeczne, rozbuduje szeroki samorząd i przejmie z rąk kapitalistów główne dźwignie życia gospodarczego. Byliśmy jeszcze członkami tej samej partii, ale już na jej przeciwnych krańcach.

Konflikt stał się nieunikniony. Zarysował się ostro na tle działalności warszawskiej Rady Delegatów Robotniczych w któ-

rej spełniałem rolę rzecznika polityki PPS, zmierzającej do zmuszenia grupy delegatów komunistycznych stanowiących opozycję w Radzie do wyraźnego sformułowania swego stosunku do powstałego państwa polskiego. Forsowałem — zresztą na wzór bolszewicki — przyjęcie przez istniejące Rady Delegatów platformy politycznej zawierającej akcenty niepodległościowe i zmuszającej przez to komunistów uczestniczących w Radach do lojalności wobec państwa polskiego i zaprzestania jego bojkotu. Tadeusz Żarski wraz ze swoją narzeczoną, późniejszą żoną, Zofią Maciejowską, stanął na czele grupy opozycyjnej zwalczającej ostro reprezentowaną przeze mnie koncepcję.

Konflikt lokalny na Zjeździe, łączącym odrębne partie w dotychczasowych trzech zaborach w jedną PPS, zamienił się w problem całej partii. Zaglądam do sprawozdania z tego Zjazdu (23-27 kwiecień 1919 roku) i czytam w deklaracji złożonej przez Żarskiego w toku dyskusji programowej: „Konieczna jest dyktatura proletariatu, który wprawdzie nie jest przygotowany do objęcia władzy, ale wyszkolenie zdobędzie przystępując praktycznie do wykonywania zadań... Rząd socjalistyczny ma być wyłoniony bezpośrednio z klasy robotniczej, a więc z Rad Delegatów Robotniczych, a nie z Sejmu nawet demokratycznego”. Wypowiedź ta została w sprawozdaniu zjazdowym skrócona i zszematyzowana, ale wiernie oddaje zasadniczy punkt widzenia mówcy.

Więzy łączące nas rozluźniły się lecz nie zostały zerwane. Widywaliśmy się, dyskutowaliśmy, aż pewnego dnia Tadeusz zdecydował rozstać się z PPS i wstąpić do KPRP. Była to logiczna konsekwencja zajmowanego stanowiska i nieraz w naszych rozmowach podkreślałem, że na tym musi się skończyć jego opozycja w łonie partii. Nie uważałem też wcale by to musiało prowadzić do zerwania naszych stosunków. Tadeusz sądził inaczej. Otrzymałem od niego list w którym pisał, że trzeba nam zaprzestać utrzymywania osobistych stosunków, żeby nieuniknionymi sporami nie zniszczyć do szczeru skarbu długoletnich wspólnych przeżyć i przyjaźni. W liście tym wyrażał się cały Żarski: prostolinijny, bezwzględny wobec siebie i innych gdy chodziło o sprawy, w które wierzył i służył im całą duszą.



O losach Żarskiego w szeregach KPRP dochodziły mnie tylko głuche słuchy, że zajął wysokie stanowisko w hierarchii partyjnej, a także o jego udziale w sporach wewnętrznych. Było to dla mnie zupełnie zrozumiałe, że życie Tadeusza w nowym środowisku nie ułoży się gładko. Partia komunistyczna powstała z połączenia SDKPiL oraz PPS „lewica”, przy czym SDKPiL wniosła dwie zwalczające się frakcje. Tego już wystarczyło, by życie wewnętrzne w warunkach konspiracji nie układało się łatwo. Wejście kilku PPS-owców jeszcze musiało bardziej skomplikować stosunki. Nie dziwiło więc, że, jak wieść niosła, Żarski znalazł się szybko w konflikcie z Leńskim-Leszczyńskim. Mówiono przy

tym, że Żarski jest potencjalnym kandydatem na po... figu-
 w partii a Leszczyński broni swego stanowiska. Z...
 odgłosów można też było sądzić, że Żarski zastał K...
 podzieloną na dwa skrzydła: jedno pod przywództwem Adolfa
 Warskiego uznanego od dawna przywódcy i teoretyka SDKPiL
 oraz Wery-Ciszewskiej z dawnej PPS „lewicy”. Ta część partii,
 mająca większość, usiłowała zachować samodzielność wobec
 Moskwy i prowadzić politykę liczącą się z realnościami polskiego
 życia. Kierunek mniejszościowy skupiał się przy Leńskim-Lesz-
 czyńskim i Doleckim-Fenigsteinie i wyrównywał swój front z
 utrwalającym się kierunkiem stalinowskim.

Można sądzić, że Żarski sympatyzował raczej z grupą więk-
 szościową niż z mniejszościową reklamującą się hasłem „bolsze-
 wizacji KPRP”. Jako nowy przybysz musiał jednak lawirować
 między tymi grupami. Tymczasem możliwość takiego lawirowania
 coraz bardziej się kurczyła, a kiedy Stalin z Jagodą i Jeżowem
 opanował całkowicie zarówno aparat policyjny — sławetne OGPU
 — jak i Komintern, możliwość przeciwstawiania się grupie Leń-
 skiego-Doleckiego została na przełomie lat 1932/33 całkowicie zam-
 knięta. Otwierał się okres „oczyszczania ruchu komunistycznego
 w skali międzynarodowej i Związku Radzieckiego z elementów
 niepewnych”. Do nich Leszczyński zaliczył w pierwszym rządzie
 Żarskiego. Złożyło się na to, że przyszedł z szeregow PPS a może
 co jeszcze ważniejsze, że stawał się w partii coraz bardziej
 popularny, lubiany i szanowany, a piastując mandat poselski miał
 pełną swobodę poruszania się po kraju bez potrzeby szukania
 środków na przejazdy w kasie partyjnej jak każdy zwykły akty-
 wista.

W oficjalnej „Historii partii komunistycznej w Związku Ra-
 dzieckim” czytamy w opisie VII Kongresu Kominternu (lato
 1935 roku): „Ugrupowania antyleninowskie w partiach komunis-
 tycznych zostały pobite i izolowane. Utworzyły się w partiach
 w toku walki z trockizmem i oportunistem prawicowym mocne
 ośrodki marksistowsko-leninowskie skupione wokół Mao Tse-
 tunga w Chinach... Jerzego Leńskiego w Polsce...” (*Nouvelle édi-
 tion* str. 509).

Był to efekt działania specjalnej komisji na czele z Jeżowem.
 W ciągu dwu lat poprzedzających ten kongres ściągała ona do
 ZSSR działaczy różnych partii pod pozorem ważnych narad, by
 wykończyć ich w lochach Łubianki.

W latach trzydziestych kursował po Warszawie pamflet nie-
 znanego mi autora, przedstawiający w żartobliwej formie walki
 wewnętrzne w KPRP. Żarski z jednej a Leszczyński z drugiej
 strony występowali pod przeźroczystymi pseudonimami jako
 główni antagoniści. Nie jest wykluczone, że ten płód satyryczne-
 go publicysty uczynił z Leszczyńskiego tak zawziętego wroga
 Tadeusza, iż posunął się aż do czyhania na jego życie.



Zgodnie z życzeniem Tadeusza przestaliśmy się widywać, przy spotkaniach miało w Sejmie zachowywaliśmy się jak nieznajomi. Nieraz śniłem, że oto siedząc na ławach poselskich on trochę wyżej, ja w rzędach niższych, na skrajnej lewicy, po tylu wspólnych latach udajemy, że jesteśmy sobie obcy. Ale dostatecznie znałem Tadka by wiedzieć jak zareagowałby na złamanie narzuconej przez niego umowy. Aż latem 1931 czy 1932 roku sytuacja sprawiła, że musieliśmy się o siebie otrzeć a nawet podtrzymać, by nie wpaść do zięjącej pod nami przepaści. Było to w Tatrach. Na wąskiej ścieżce gdzieś w drodze na jakąś przełęcz czy szczyt zjawilo się naprzeciw naszej grupy kilka osób podążających nam na przeciw. Wśród nich Tadeusz. Gdy przyszło się nam otrzeć o siebie nie mogłem powstrzymać okrzyku: „Tadek, a jednak spotkaliśmy się, czy nie warto pogadać, dowiedzieć się o swoich losach. Spotkajmy się w schronisku gdzie Wam po drodze, a my tam będziemy na noc. Tadeusz przytaknął. Cieszyłem się, że wreszcie pogadamy po ludzku, ale wieczorem nie zastałem Tadeusza w umówionym schronisku. Myślę, że i on chciał naszego chwilowego zbliżenia, ale mu towarzysze wyperśwadowali... W każdym razie więcej nie mieliśmy się już spotkać. Ścieżka prowadziła na czeską stronę, a stamtąd mogła wieść na którąś z tych konferencji z których się już nie wracało.

W 1934 roku gruchnęła w środowisku socjalistycznym wiadomość budząca zgrozę: Tadeusz Żarski został aresztowany w Związku Sowieckim i zamordowany. Ukazała się też broszurka niejakiego „Alberta” (Janusz Żarnowski w swej pracy „PPS w latach 1935/39 podaje jego nazwisko: Żytkowski Witold), zawierającą oskarżenie Tadeusza o prowokacyjną rolę w partii komunistycznej z polecenia polskiego II Oddziału sztabu generalnego. Oskarżenie było poparte obszernymi wyciągami z „zeznań” jakie miał złożyć Żarski przyznając się do zarzucanych mu zbrodni.

NKWD oskarżając Żarskiego uczciło na swój sposób łączące mnie z nim więzy przyjaźni: w broszurze Alberta wystąpiliśmy jako zbrodnicza spółka, przy czym ja miałem odgrywać rolę złego ducha, organizatora „prowokatorskiej” działalności Tadeusza: wyciągałem go z Syberii do Charkowa, związałem z POW, skłoniłem do wejścia w kontakt z II Oddziałem i wreszcie namówiłem do wstąpienia, stania się komunistą i podjęcia prowokacyjnej działalności. Nie było najmniejszej wątpliwości, że to dzieło policjantów, ale uderzało kilka szczegółów, które mógł zeznać tylko Żarski, bo wątpię byśmy komukolwiek o tych sprawach opowiadali. A jednocześnie do tych szczegółów prawdziwych dodawano inne wysane z palca, ale za to podmurowujące oskarżenie. Tak więc istotnie pomogłem Tadeuskowi wydostać się z Syberii przesyłając mu fałszywy paszport na nazwisko Łaźniewskiego, ale „zeznanie” podawało, że paszport ten dostałem od POW, gdy Tadeusz dobrze znał dzieje tego paszportu. Był to jego własny dokument osobisty, który otrzymałem od jego siostry i po przepraniu na inne nazwisko użyłem dla własnego zalegalizowania się w Charkowie. Kiedy mogłem już zapisać się na uniwersytet

i powrócić do własnego nazwiska, paszport ten po raz drugi przeprała moja żona, wyspecjalizowana w tym zawodzie podczas pracy w biurze paszportowym Lotnych Oddziałów wojska polskiego (r. 1914). Wypisany tym razem na nazwisko Łaźniewskiego został wysłany do Omska, gdzie przebywał Tadeusz, by umożliwić mu przedostanie się do Charkowa. Podobnie pół prawdy było w innych „zeznaniach”. Stało się więc dla mnie jasne, że całe „zeznanie” było fabrykatem NKWD, w którym kilka prawdziwych szczegółów wydobytych w toku śledztwa połączono z wymyślonymi okolicznościami, mającymi dowodzić łączności Tadeusza z POW i II Oddziałem.

Zareagowałem na broszurę Alberta ostrym protestem na łamach „Tygodnia Robotnika”. Wystąpił też w obronie czci swego przyjaciela z charkowskich czasów Władysław Uziembło. Nie pozwalaliśmy przysnąć oszczerczej ślinie na mogile człowieka, który jeśli błędził wybierając swoją drogę działalności publicznej, nie splamił się nigdy czynem przynoszącym ujmę honorowi rewolucjonisty. Na naszą obronę komuniści odpowiedzieli skoncentrowanym atakiem przeciwko mnie. Przemilczając sprawę Tadeusza zmontowali „sprawę Zaremby”. Założenie było nader proste: broni agenta defensywy, bo sam jest jej agentem. Dowód? Zeznania Żarskiego. Z oskarżyciela stawałem się pomału oskarżonym. Kosztowało to mnie pod względem moralnym bardzo dużo. Ale mogłem się bronić, przyjaźń i zaufanie towarzyszy nie opuściły mnie i cała sprawa obróciła się przeciw komunistom. Nie dostarczyli bowiem żadnych dowodów ani winy Żarskiego ani mojej roli w jego rzekomo prowokacyjnej działalności. Finałem był komunikat CKW PPS, piętnujący oszczerczą kampanię i mój artykuł w „Robotniku” dający ostateczną odpawę oszczercom.

A przecież mogłem się znaleźć w bardzo przykrym położeniu. Domagałem się dla wyjaśnienia sprawy tylko jednego: przedstawienia jako dowodu oryginału zeznań Tadeusza Żarskiego. A było to w czasie, gdy jeszcze nie zналиśmy metod NKWD, które ujawniły się dopiero nieco później, gdy nastąpiła seria procesów przeciwko starym bolszewikom. Opublikowane zostały ich „zeznania” głoszące, że byli szpiegami, zdrajcami, agentami obcych mocarstw itp. Zeznania te powtarzali publicznie. A my naiwnie sądziliśmy, że po otrzymaniu protokołu sprawy Żarskiego, mając jego listy, będziemy mogli dowieść przez ekspertyzę grafologiczną, że są one sfałszowane! Może więc istnieją gdzieś w archiwach NKWD oryginalne zeznania Żarskiego takie jak opublikowała je broszura Alberta, będące dziś tylko świadectwem ogromu mąk fizycznych i duchowych przez jakie musiał przejść Tadeusz, by załamać się i napisać wszystko co mu kazał „śledowateli” z NKWD. Być też może przedstawiciele KPP, zajmujący się tą sprawą w Paryżu, starali się dostać ten dokument, by mnie ostatecznie pogryźć. Szczęśliwie NKWD uznało to widać za akt nieufności i zabroniło wglądu w jej tajemnice.

◆

Sprawa Tadeusza Żarskiego stała się na długie lata na katowskim haku broszury Alberta. W KPP nie znalazło się przyjaciół, którzy stanęliby w obronie. Nie znalazł się ani jeden dość odważny by wbrew NKWD podnieść protest przeciwko obrzucaniu błotem ich wczoraj jeszcze lubianego i szanowanego przywódcy. Elementarna więź przyjaźni i solidarności w walce ludzi jednej sprawy zbutwiała tam widać do szczytu. Zamordowana też została żona Tadeusza Zofia i nie wiadomo co stało się z ich dziećmi. Przez dziesiątki lat panowała nad tymi mogiłami ponura cisza.

Tymczasem NKWD wymordowało wszystkich rzeczywistych przywódców polskiego komunizmu, nie oszczędzając i Leńskiego-Leszczyńskiego, głównego sprawcy dramatu Żarskiego. Umarł też Stalin i nastąpił okres „likwidacji kultu jednostki”. A co z pomordowanymi towarzyszami tych, którzy dziś zasiadają na czołowych miejscach w krajach gdzie dostali się do władzy? Dykretnie ogłoszono kilkadziesiąt nazwisk „zrehabilitowanych”. Między nimi i nazwisko Tadeusza. Pozwala to młodemu historykowi ruchu robotniczego w Polsce napisać kilka ostrożnych słów o „niesłusznie — jak wiemy — skazanemu w ZSRR” Tadeuszowi Żarskiemu. W innym miejscu dotykając „sprawy Zaremby” i jej skutków fatalnych dla polityki komunistycznej napisać równie ogólnikowo: „Jak wiadomo w owych latach procesy wytaczane w ZSRR działaczom KPP i zarzuty im stawiane były oszczerce. Należy sądzić, że i inne osoby wymieniane w toku tych procesów oskarżano bez uzasadnienia”*. To wszystko co można dziś napisać w Polsce o sprawie Żarskiego?!

Władysław Gomułka oburzał się, że o dramatach „minionego okresu kultu jednostki” piszą przeciwnicy komunizmu, gdy jedynie uprawnionymi do tego są pisarze komunistyczni, jako lepiej i bezpośrednio odczuwający tragedię tamtych czasów. Ale minęło 30 lat od zamordowania pierwszego polskiego przywódcy komunistycznego przez sowieckie NKWD i nie widać tych pisarzy komunistycznych, ośmielających się podnieść zasłonę ukrywającą haniebną historię wzajemnego wymordowywania się. A zaczęły się one od sprawy Tadeusza Żarskiego. Od niej też należałoby im zacząć.

Zygmunt ZAREMBA

* Janusz Żarnowski: *P.P.S. w latach 1935-39*, Książka i Wiedza, 1965, str. 23 i 49.

Sprawy i troski

"Sejm odrodzenia życia polonijnego w Ameryce"

Tytuł ten pochodzi z prasy polonijnej i dotyczy 35 Sejmu Związku Narodowego Polskiego w Stanach Zjednoczonych A.P., który obradował we wrześniu 1967 r. w Detroit, ściągając na siebie uwagę nie tylko Polonii ale także i opinii amerykańskiej. Na tym Sejmie wyłoniono nowe władze ZNP z prezesem adw. Alojzym Mazewskim na czele, który objął ster rządów „na Polonii” po ustępującym adw. K. Rozmarku, piastującym ten urząd od 28 lat.

Związek Narodowy Polski jest największą na świecie organizacją polonijną. Liczy on obecnie około 300 tysięcy członków, rozsianych po wszystkich stanach Ameryki, posiada majątek oceniany na 130 milionów dolarów, własną prasę, której nakłady dochodzą do 200 tysięcy egzemplarzy. Związek gospodaruje rocznym budżetem sięgającym 3 milionów dolarów i wypłaca rocznie swoim członkom ok. 6 milionów dol. z tytułu polis ubezpieczeniowych, których posiadanie obowiązuje każdego członka.

Związek Narodowy Polski powstał w 1880 r. z inicjatywy emigracji popowstaniowej w celu „zachowania dla narodowości masy żywiołu polskiego w Ameryce i aby przysposobić i przywrócić ojczyźnie niejednego z tych, którzy dobrowolnie lub przymusowo ją opuścili” (z odezwy Agatona Gillera). Projekt pierwszej konstytucji ZNP z 1880 r. kończy się tymi słowami: — „Jeśli żyć to dla Polski, a jeśli cierpieć i umierać to za Polskę”.

Od tamtych czasów dzieli nas 87 lat. Świat się zmienił. I Związek się zmienił. Polonia zmieniła się również. Wyszła z getta narodowościowego i zapuściła głęboko korzenie w grunt amerykański. Z dawnych lat pozostała nazwa Związku, stary emblemat związkowy w postaci tarczy z Orłem, Pogonią i Archaniołem oraz ostał się zapomniany przez życie paragraf 7 Konstytucji Z.N.P. opiewający, że członkiem Związku może być Polak, Litwin, Rusin i Słowak, jak nakazywała jagiellońska tradycja.

W dramacie ludzkim wielkość ociera się o małość i nieraz

razem idą ku swojemu przeznaczeniu. W Związku Narodowym Polskim wielkość i małość zamieszkały pod wspólnym dachem. W tej samej patriotycznej scenerii narodziła się Błękitna Armia płacąca daninę krwi za wolność Polski i zjawili się przywódcy, którym księgi hipotek i kont bankowych przysłoniły resztę świata.

Światła i cienie Z.N.P.

Gdyby ktoś chciał przedstawić wykresem cały rozwój Związku, starczyłoby na to dwie linie. Pierwsza określać ma wzrost majątku Z.N.P. a druga jego świadczenia na cele społeczno-narodowe (miernik pracy społecznej). Otóż do lat dwudziestych naszego wieku obie te linie pną się równolegle w górę. Przez następne dwudziestolecie linia Nr 1 biegnie wzwyż a linia Nr 2 leży poziomo (z małym wybrzuszeniem w okresie II Wojny). Wreszcie, w ostatnim dwudziestoleciu linia Nr 1 dalej zwyzkuje a linia Nr 2 gwałtownie spada.

Mógłby ktoś zauważyć, że w moim wykresie brakuje linii Nr 3 obrazującej rozwój członkostwa. Linia Nr 2 spełnia tę rolę.

Przekładając ten obraz na wymowę cyfr możemy zauważyć, że kiedy Z.N.P. miał w majątku tylko 10 milionów dolarów (czasy Wilsona i Paderewskiego) to świadczył dużo, dużo więcej na cele społeczno-narodowe aniżeli teraz kiedy dorobił się 130 milionów dolarów (czasy Johnsona i Rozmarka). „Związek przestał wykonywać swoje powinności społeczne — mówił na 35 Sejmie Z.N.P. poseł St. Piotrowicz, b. skarbnik Rady Polonii Amerykańskiej — i stał się zwyczajnym przedsiębiorstwem ubezpieczeniowym, używającym szyldu organizacji społecznej, aby łatwiej zdobywać klientów”. Smutne to spostrzeżenie.

Sejm zdecydował odnowę

35 Sejm Z.N.P. nazwano Sejmem Odrodzenia. Przez tydzień pilnie przysłuchiwałem się jego obradom i nie mogę sobie przypomnieć co tam się odrodziło. Nie słyszałem żadnych dyskusji ideologicznych, lub determinujących nowe kierunki działania. Końcowa „rezolucja ideowa” odczytana została do pustych krzeseł, kiedy posłowie byli zajęci pakowaniem walizek do drogi powrotnej. Niewątpliwie sporządzono ją w polskiej kuchni. Na zasadzie bigosu do którego dodaje się wszystko co jest pod ręką. I Kończusko patrzy z nieba. I Piłsudski maszeruje na Kijów. I Dmowski broni Wersalu a Kordecki Częstochowy.

Redaktor „Dziennika Związkowego” w artykule wstępnym (26. 9. 1967 r.) podsumowując dorobek 35 Sejmu nie miał nic do powiedzenia o jego ideologicznym wkładzie do pracy związkowej. Ale ponieważ nie można pominąć tego tematu w obradach Sejmu, który jest najwyższą władzą Z.N.P., więc powtórzył sztance, że

„Zasady i cele zakreślone przed 87 laty przez założycieli Z.N.P. nie uległy w niczym najmniejszej nawet zmianie i Związek Narodowy Polski pozostaje w dalszym ciągu ośrodkiem życia narodowego i patriotycznego”.

Wydaje mi się, że trudno o bardziej szkodliwą wypowiedź, niż to kłamstwo wpajane Polonii od lat, które zwalniać ma przywódców od intelektualnego wysiłku określania zadań i roli Polonii we współczesnym świecie. Jest to system usypiania społeczności polonijnej, perswadujący, że myślenie jest niepotrzebne, bo wszystko w zakresie ideologii i metod pracy związkowej zostało wymyślone 87 lat temu i tego trzeba się ślepo trzymać.

Epigoni bronią starych okopów a życie nakazuje szukać nowych dróg do serc Amerykanów polskiego pochodzenia. Słusznie powiedział nowy prezes Z.N.P. adw. A. Mazewski, że praca polonijna „opiera się na strukturze i metodach działania z XIX wieku i jeśli tego nie zmienimy, to Polonia jako zorganizowana grupa zniknie z powierzchni amerykańskiego życia”.

Mazewski stanął do walki o prezesurę Z.N.P. mając poparcie młodszej generacji i rzucił hasło „Czas na zmianę”. Rozmarek bronił swojej prezesury pod hasłem „Obrońca wolności Polski” którym sam się mianował. Okazało się, że większość Sejmu potraktowała hasło Rozmarka jako mistyfikację i zaufała Mazewskiemu, że przeprowadzi potrzebne zmiany w życiu Polonii, zgodnie z duchem czasów. Powtarzam, co napisałem o Mazewskim w „Kulturze” z czerwca 1967 r., że jego program odnowy nie jest jeszcze sprecyzowany, ale potrzeba odnowy była tak nagląca, że Sejm Z.N.P. powierzył mu losy Związku.

Inflacja słów — anemia czynów

Przed głosowaniem mówił mi poseł z górniczej Pensylwanii: — „Jeśli na tym Sejmie Związkowym nic się nie zmieni, to Polskę zamknę w swoim sercu a z pracy związkowej zrezygnuję”. Nie musiał to być głos odosobniony skoro w ostatnim dziesięcioleciu liczba członków Z.N.P. zmniejszyła się o blisko 50 tysięcy.

U źródeł anemii życia polonijnego leży inflacja wielkich słów, które nie mają poparcia w czynach. Dawniej, słowa przywódców były przekuwane na czyn. Pół wieku temu Polonia dała 30.000 żołnierza pod kierownictwo polityczne Komitetu Narodowego w Paryżu. Paderewski na Sejmie Z.N.P. mówił: — „nie proszę o jałmużnę, domagam się 10 milionów dolarów od Polonii”. I dostał je.

Dzisiaj, nieporozumienie na tym polega, że większość przywódców polonijnych pragnie ślepo kopiować historię; mówią oni tak, jakby żyli 50 lat temu, ale za tymi słowami nie ma już czynów. Tworzy się wokół nich próżnia społeczna. Nie mogą pojąć zmian zachodzących w świecie i w środowisku polonijnym. Nie dopuszczają myśli, że polonijny patriotyzm w inny obleka się dzisiaj kształt, że jako Amerykanie polskiego pochodzenia zyskują oni nowe możliwości i nowe obowiązki.

Ustępujący prezes Z.N.P. K. Rozmarek walcząc o zaufanie 35 Sejmu i o głosy poselskie dla siebie, na nową czteroletnią kadencję, uderzył w struny werbalnego patriotyzmu. Przedstawił siebie jako niezłomnego bojownika o wolność Polski, który nie ulęknie się niczego. Jakiś starszy wiekiem poseł tak wzruszył się mową Rozmarka, że oświadczył, iż sam gotów jest ofiarować 10 dolarów na walkę z komunizmem. Ale większość posłów była zdania, że piękne mowy bankietowe i kwieciste rezolucje, powtarzane przez lata, stępiły tylko wrażliwość ludzką.

Kandydujący na prezesa Z.N.P. adw. A. Mazewski wskazał praktyczniejszą drogę postępowania. Powiedział, że wpierv trzeba uzdrowić życie społeczne Polonii, przywrócić Z.N.P. jego rolę i znaczenie w życiu amerykańskim, uporządkować gospodarkę Związku, zatroszczyć się o młodzież polonijną, którą przestarzałe metody pracy zniechęcały do angażowania się w życie organizacji polonijnych.

Już po wyborze na prezesa Z.N.P. przeprowadziłem rozmowę z adw. A. Mazewskim, który oświadczył mi, że jego zdaniem „Związek Narodowy Polski będzie mógł tym skuteczniej wspierać i bronić interesów narodu polskiego im większa będzie jego sprawność i działalność organizacyjna we wszystkich sprawach żywotnych dla społeczności polonijnej. Bowiem im silniejsza będzie pozycja Z.N.P. na gruncie polonijnym i amerykańskim, tym bardziej inni będą się z nami liczyli, co wyjdzie na dobre i Polonii i sprawie Polski”.

Nowa emigracja

35 Sejm Z.N.P. był pierwszym z sejmów powojennych, w którym liczniej wystąpili posłowie reprezentujący emigrację wojenną i powojenną. Około 50 posłów na 400 należało do nowej Polonii, jak ich tu nazywają. Stanowili oni ten jęczyczek u wagi, który zdecydował, że hasło adw. A. Mazewskiego — „Czas na zmianę” zostało przez Sejm poparte. Obecność tak pokażnej liczby reprezentantów nowej emigracji zaprzeczała twierdzeniom, iż ta nowa emigracja uchyla się od pracy społecznej, izoluje od starej Polonii. Niewątpliwie jest wielu wśród nich, którzy nie biorą udziału w życiu Polonii, którzy się od niej odsuwają, ale wcale nie wiadomo czy nie większy odsetek spośród starej Polonii jest dziś poza społecznością polonijną i jej życiem zorganizowanym. I prawdopodobnie działają tu te same motywy — zniechęcenia i niewiary w owocność działania które zakrzepło w starych formach i nawykach.

35 Sejm Z.N.P. nie był może — jak go nazywają — Sejmem Odrodzenia. Nie wytyczył dla pracy polonijnej nowych kierunków działania, ale dał ludziom nadzieję, że odmłodzone kierownictwo da sobie radę.

"Jaki on piękny !"

Przed wielu laty powiedział mi Jan Cybis: „Wiesz, czasami człowiek siedzi w swojej pracowni sam i zdaje mu się, że wymyślił coś genialnego. Schodzi potem do kawiarni, a tam już wszyscy mówią o tym samym. Myśli latają w powietrzu”.

Przypomniało mi się to, gdy rzuciłem okiem na kilka wierszy jednego z rozdziałów zapowiedzianej książki Dubuffeta w *Nouvel Observateur*. Dubuffet w paru zdaniach, z jemu właściwym humorem i poezją, pisze o tym co dla niego jest pięknością i wyznaje jak mało go interesują tak zwane piękności: panienki o równych ząbkach i fryzowanych włosach; zaś „całe dorzecza rzek” rzucone w poprzek twarzy, gwiazdy czy krzaki zmarszczek, śmieszne nosy i grube usta, „tusze nawet nadmierne (zwłaszcza nadmierne)” zachwycają go o ileż bardziej niż wszelakie „greczyzny” (*grecqueries*); młody dębczak nie wydaje mu się koniecznie piękniejszy od starego dębu, a „głuptasek-jacht od regat” interesuje go mniej niż brudna łódź pełna złowionych w oceanie sztokfiszków.

Zapowiedziana książka Dubuffeta „*Euvres Complètes*”, która ma się ukazać lada chwila u Gallimarda, temat ten znów w stu aspektach poruszy.

Idzie to tak po linii moich uczuć i myśli, że chcę tu swoich parę groszy dodać zamiast zamierzonego dłuższego artykułu, z którym się noszę od wielu miesięcy, a właściwie od wielu lat, bo widzę to zagadnienie od chwili gdy zacząłem malować nie po szkolarsku ale z wizji, widzę dziś od coraz to nowej strony, od zazębień, które się stwarza między obrazem a widzem.

Dubuffet bynajmniej nie odkrywa Ameryki pisząc o względności piękna: już bardzo dawno piękności Venus kongolańskich czy polinezyjskich są uznawane za godne porównania z Venus Milońską, a Malraux te idee spopularyzował w „Głosach Milczenia” już blisko 20 lat temu. Chodzi mi jednak o co innego.

Nikt już nie będzie bronił Winckelmanna, z jego teoriami mu-

rowanych, na Grecji opartych, norm piękności, niemniej w życiu powszednim, na przykładach konkretnych, zdawać by się mogło, że „Winckelmann” jest jeszcze głęboko w nas zakorzeniony, że murowane normy piękności tkwią w nas nadal i dosłownie oślepiają wobec piękności z innych założeń wyrosłej. Mówi o tym odruch sprzeciwu wobec form wyłamujących się z przyjętych norm piękna. Naturalnie, może być dobre malarstwo wyrażające świat ekspresyjnie, nawet karykaturalnie, ale to wszystko nie może być nazwane pięknem. Malarz już od dawna nie musi malować tylko kwiaty w wazonie i piękne kobiety, ma prawo malować kobietę krzywą czy garbatą, ale gdy taki obraz pokazuję, na przykład ja, najlepszym przyjaciółm, w pierwszej chwili wybuchają oni serdecznym śmiechem: „No i wybrałeś temat!” lub mnie chwala, że „prowokuje” lub, że mam wspaniały zmysł karykatury. Nie to mnie dziwi, dziwi mnie za każdym razem *moje* zdziwienie: jestem w pierwszej chwili zaskoczony, jakby *obudzony*, i muszę sobie przypomnieć, że ta kobieta z krzywą twarzą, okularami jak młyńskie koła, widziana zwykłym okiem jest naprawdę karykaturalna, bo ja długo malując ten obraz, absolutnie tego nie czułem, a jeżeli nawet w pewnej chwili byłem tego świadomy, zupełnie o tym zapomniałem; dla mnie właśnie to krzywe biodro, te okulary i rączki jak płetwy są atrybutem jej piękności. Tę kobietę która trafiła na jedno z moich płócien wspominam — przykład jeden z tysiąca, żeby nie utonąć w ogólnikach abstrakcyjnych — jej postać jest daleka od wszystkich uroczych dziewcząt, czy uroczych młodzieńców, których widzimy nieustannie na kolorowych, „jak żywych”, ogłoszeniach mydeł, perfum, żyletek, wspaniałych rozbefów czy majonezów, budzi we mnie jakiś osobisty większy zachwyt — ten który mnie ogarnia przeważnie wobec twarzy wyłamujących się z ogólnie uznanego „ideału”. I zachwyt ten nie ma nic wspólnego z widzeniem żartobliwym, złośliwym czy karykaturalnym.

„Trzeba upiększać naturę” — mówił jeszcze Renoir do Matissa, a historiograf i wyznawca Degasa, Daniel Halévy, z trudem mi wybacział, że degasowskie kobiety wychodzące z wanny, ocierające ręcznikiem swe bujne kształty, w pozach wcale nie klasycznych, czy myjące nogi w mieszczańskich łazienkach, mogą uważać za szczyt jego twórczego widzenia, a nie „Mademoiselle Fiocre” u źródła — piękną królową z baletu, malowaną w młodzieńczym okresie Degasa.

Aragon jadł kiedyś obiad z Picassem i z jego przedostatnią żoną. Powiedział coś o jej piękności i o tym, że na ostatnim rysunku na szczęście jej nie zesześcił. Picasso się obruszył: „Moja żona wcale nie jest piękniejsza od żaby!” Braque, jak się dowiedział o tej *boutade*, zauważył: „Tak, ale to przecie dziwne, że Picasso się nigdy w ropusze nie zakochał!”. Uwaga Braque’a jest zastanawiająca. Dlaczego nikt z nas nie kocha się w ropuchach. Widocznie nasze erotyczne marzenia, nasze „wizje” erotyczne, są jeszcze i jeszcze zażębione o *le beau idéal*, nie bez związku z Winckelmannem i Grecją.

Poczekajmy sto lat z obrazami czy reprodukcjami obrazów Sutina, Dubuffeta, Bacona na ścianach, wtedy może i w dziedzinie erotycznej „żaby i ropychy” będą miały równe szanse życiowe co uroczą „Mademoiselle Fiocre”.



Jedna z moich sióstr, gdy miała osiem lat, zakochała się w starszym panu, który odwiedzał moich rodziców. Gdy tylko przyjeżdżał malowała kolorowymi ołówkami paznokcie u rąk, każdy w innym kolorze, aby zwrócić na siebie uwagę i wystawiała palce w kierunku gościa. Historia nie podaje czy te paznokcie bardzo go zachwyciły. Matka spytała ją dlaczego ten pan budzi w niej takie zainteresowanie.

— Och mamó — odpowiedziała — on jest taki *piękny*, on ma taki *czerwony* nos, w takie *czarne* kropki!

To co nazywam zbyt pompatycznie wizją, bo nie umiem znaleźć innego słowa, to jest ten sam zachwyt samotny, nieoczekiwany, poczucie, że my jedni widzimy cud piękności niepowtarzalny, który w oczach innych jest albo zupełnie niezauważony albo — co gorzej — śmieszny.

Dubuffet zrozumiałby zachwyt ośmioletniego dziecka!

Józef CZAPSKI

Problemy romantyzmu wciąż aktualne

(Rozważania na temat pewnej książki)

Mit historii i wszelkich rocznic wciąż jeszcze tkwi w mentalności współczesnego człowieka, może w tym strasznym pędzie dzisiejszej rzeczywistości, bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy ucześcić się czegoś pewnego, choćby cyfry, tej symbolicznej Rocznicy. W tej dziedzinie Włosi zdecydowanie dzierżą prymat — co kilka lat jest jakaś rocznica Giotta, czy Dantego, nie mówiąc już o mniejszych artystach. Francja zaraziła się też tą chorobą: już w ostatnim roku mieliśmy kilka rocznic — Picasso, Chagall. Był też rok Delacroix — 1963. Zawsze wydawało mi się, że setka to bardzo nieudolna cyfra, brak jej, jakby to powiedzieć, osobowości, brak charakteru; jest w niej coś wyjątkowo „roczni-

cowego" i sztucznego. Bo proszę tylko spojrzeć — niedość że na początku jest taka skromna jedynka (psychologicznie to strasznie niewypierzone), ale potem jeszcze dwa zera, fi... Blade to i nie przekonywujące. Ale wiadomo, że rocznice nie służą jubilatom, tylko tym co je wymyślają. Z setną rocznicą śmierci Delacroix sprawa miała się dokładnie tak samo. Wielka wystawa w Louvrze była jedynie pretekstem do sporej ilości publikacji i niemałych dyskusji, które niestety niewiele nowego wniosły w skomplikowaną problematykę romantyzmu. Uświadomiono sobie jednak przy tej okazji, że romantyzm nie jest tak łatwym i tak naiwnym rozdziałem sztuki europejskiej, jak przez długie lata chciano go sobie wyobrazić. Okazało się że Delacroix i cały dziewiętnastowieczny romantyzm, historycyzm i nieoklasycyzm są wciąż za trudne dla współczesnych mózgów, gdyż po części tkwimy w tej samej sferze intelektualno-sentymentalnej. Ten prawdziwy spór epoki, z której wolimy kpić, aniżeli wnikać w jej sedno, sprawił, że zaczyna się utrwalać przekonanie, iż tak zwana sztuka nowoczesna (*art moderne*) zaczyna się właśnie w latach 1824, 1827, gdy na paryskich Salonach wystawiali swe rewolucyjne, jak na owe czasy, dzieła Delacroix („Barka Dantego”), Gericault. A potem? Jak wytłumaczyć późniejszy rozwój sztuki? Jeszcze można się uporać z symbolizmem i przejść stamtąd do abstrakcji, ale już coś się chwieje. Powstała teoria o kolorze „lokalnym”, która jak *fil d'Ariane* pozwala historykom sztuki połączyć twórczość Delacroix z Signac'em, Redonem, nawet z Kandinskim. Istnieją podejścia bardziej ambitne, i do nich należy zaliczyć ostatnią książkę Juliusza Starzyńskiego „Delacroix, Chopin, Baudelaire — synteza sztuki romantycznej” (PWN — 1965). Już sam tytuł kieruje nas w stronę niebezpiecznego gruntu teorii syntezy sztuk, czy choćby tej *correspondance des arts* (teoria odpowiedników estetycznych w różnych technikach artystycznych), która jest pierwszym stopniem prawdziwej piramidy teorii sztuki, każdy stopień której inkrustowany jest metafizyką i skomplikowanymi teoriami koloru i jego muzycznych odpowiedników. Ale jak wnikać w istotę sformułowań epoki, która jest już daleko za nami, każde sformułowanie musi być *interpretowane*...

Książka J. Starzyńskiego zamierzona była na ów jubileuszowy rok 1963, niestety ukazała się dwa lata później, co pozwala nam patrzeć się bardziej obiektywnie na jej treść.

Należy od razu powiedzieć, że autor jest świetnym znawcą twórczości malarskiej Delacroix i jego teorii o sztuce, które są jednym z ciekawszych momentów myśli artystycznej pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, wybiegają jednak daleko wprzód ku symbolizmowi i fowizmowi. Wielki francuski roman-tyk pędzący potrzebuje takich książek i to specjalnie w krajach, w których socrealizm wzniosł jego twórczość malarską na niezaszczytny Olimp realizmu (czytaj socjalistycznego). W twórczości Delacroix sowieccy historycy sztuki (i niestety niektórzy polscy naśladowcy oficjalnej „Melodii”) widzieli jedynie obrazy jak „Wolność wiodąca lud na barykady” i „Massacres de Chio”, które

w rzeczywistości są prawie że wyjątkami u tego malarza. Stąd oczywiście niedaleka jest droga do Wereszczagina i „peredwiżników”. W pewnym momencie przykład (ten fałszowany) Delacroix stał się jakby otwartą drogą ku fałszowaniu, całej historii sztuki, niektórzy historycy sztuki splamili się niebłahymi referatami o Tycjanie na międzynarodowych kongresach¹...

Delacroix zasługuje na tę anty-socrealistyczną rehabilitację i w tym duża zasługa autora, że zabrał się do wyjaśnienia jednej z najtrudniejszych do ujęcia stron jego twórczości — teorii o odpowiednikach estetycznych w muzyce i malarstwie, czyli tak zwanej *correspondance des arts*. Książkę tę należałoby w praktyce zatytułować „Delacroix w świetle teorii *correspondance des arts*”, gdyż w ostatnim rozrachunku jest ona wspaniałym wprowadzeniem w skomplikowaną problematykę twórczości tego najbardziej klasycznego z romantyków malarstwa. Jeśli idzie o generalizację teorii *correspondance des arts*, należą się czytelnikom pewne uzupełnienia.

Niestety stosunek muzyki do malarstwa, to co Włosi tak trafnie określają słowem *paragone*, nie doczekał się swojego „Laocon’a”. W słynnej książeczce pod tym tytułem Lessing rozgraniczył malarstwo (które przez długie wieki zwano „niemą poezją”) od poezji. Zamknął on cały okres sztuki klasycznej, sztuki, której głównym tematem było ludzkie ciało, jego przekształcenia i proporcje, które dyktowały estetykę kilku wieków sztuki nowożytnej. Lessing położył kres niekończącym się dyskusjom literatów i plastyków (począwszy od Leonarda i Michała Anioła, a na późnych neoklasykach skończywszy). Natomiast muzyka i malarstwo czekają wciąż na swojego Lessinga... i na pewno się nie doczekają, gdyż epoka tego rozgraniczenia już minęła².

Póki autor mówi o Delacroix i jego teorii o *correspondance des arts* wszystko jest w porządku. Baudelaire też się utrzymuje w tej konstrukcji, mimo że należałoby uwzględnić zasadniczą różnicę pokoleń (tak zwany „pierwszy” i „drugi” romantyzm, które się bardzo od siebie różnią); różnica jest tu zupełnie zasadnicza gdyż Baudelaire mówiąc o *correspondance des arts* myśli o Wagnerze, który jest bardzo daleki od klasycznego romantyzmu Chopin’a. Znane są opinie Chopin’a o Berliozie..., a Delacroix w dziedzinie muzyki był niejako wychowankiem Chopin’a. Natomiast Chopin po prostu nie da się „wychować” w dziedzinie malarstwa. Georges Sand świetnie nas informuje o tym, jak Chopin ubolewał czasami nad swoją obojętnością w stosunku do malarstwa a w szczególności do malarstwa Delacroix. Chopin posia-

1. Tenże sam prof. Starzyński. Referat wygłoszony w Wenecji — 1965. (Akta „Congrès International d’Histoire de l’Art”).

2. Należałoby zastanowić się głębiej nad samym rozwojem teorii o sztuce (do której należy *correspondance des arts*) i tych zmieniających się *paragone*, które doprowadziły do teorii Hegla. Potem nastąpiła zupełna cisza, z której myśliciele dziewiętnastowieczni starali się wybrnąć „bocznymi drogami” — tak jak H. Taine, Ruskin, czy współczesna psychologia sztuki z René Huygh’em na czele.

dał strukturę umysłową zupełnie odmienną od tego typowego przedstawiciela „malarzy intelektualistów” francuskich³ jakim był Delacroix. Ta wyłączna koncentracja nad własną twórczością jest typowa dla prawdziwych muzyków (dla wielkich muzyków chciałoby się powiedzieć). Nie na darmo Hegel stawiał muzykę na szczycie swojej konstrukcji „Filozofii sztuki”, może choćby ze względu na wymogi absolutnej abstrakcji, nie tylko technicznej, ale też intelektualnej. Może ta cecha była u Chopin’a bardziej spotęgowana niż u innych kompozytorów, faktem jest, że cała teoria o *correspondance des arts* u Chopin’a trzyma się w książce J. Starzyńskiego na jednym jedynym zdaniu, które przekazała nam też pani Sand. Wydaje się ono bardziej *amabilité de complaisance* i swoistą dla Chopin’a uprzejmością wobec przyjaciela. Choćby nawet była momentem prawdziwej zadumy (co jest równie prawdopodobne) i szczerą, niesalonową, odpowiedzią na kilkudziesięcioletnią dyskusję z Delacroix, nie może być wystarczającym dowodem o zgodności teorii Chopin’a z Delacroix (czy w ogóle Chopin miał jakieś, publicznie głoszone, teorie?). Bardziej przekonujące i konstruktywne, biorąc pod uwagę tytuł książki, wydają się porównania kompozycji Chopin’a z obrazami Delacroix. Są one wyjątkowo trafne i nowe w stosunku do tego *paragone*, niestety już nie w dziedzinie teorii, ale w dziedzinie praktyki artystycznej. Wątpliwość budzi również psychologiczna motywacja niedokończonego obrazu Chopin’a przy fortepianie w towarzystwie Georges Sand. Autor przypuszcza, że malarz przerwał pracę gdyż przeraził się stopnia dramatyzmu jaki osiągnął... Mało który twórca (a specjalnie taki „pasjonat” jak Delacroix) przerywa pracę widząc, że osiągnął niezamierzone wyżyny sztuki, raczej jest odwrotnie.

Teoria o odpowiednikach estetycznych i „orfizmie” Delacroix jest jednak wyjątkowo ciekawa i wyjaśnia nam niejedną tajemnicę tego wielkiego malarza — może w ten sposób należałoby czytać książkę Starzyńskiego. Niejeden historyk sztuki potknął się na muzyce i szerszych teoriach, a prace Erwina Panofsky’ego zostają jak na razie wyjątkiem. Wielka szkoda jednak, że autor nie znał ostatniej pracy amerykańskiego profesora⁴, która już dzisiaj jest klasykiem historii sztuki. Stawia ona podobne problemy, tyle że w innej epoce. Prace profesora Lokspeisera mogłyby też naświetlić niejeden problem stosunków teorii Delacroix do muzyki.

Innym brakiem książki jest jej zawężony horyzont historyczny, gdyż nie należy zapominać, że właśnie teoria *synthèse des arts* (która jest następnym etapem *correspondance*) doprowadziła Kandynskiego do tak zaskakujących rezultatów, które są może

3. Choćby, dla przykładu, Poussin, Signac, Maurice Denis.

4. Słynna dziś „Renaissance and Renaissances” — Stockholm, 1963, która jest nowym typem pracy o sztuce. Panofsky porównuje rozwój muzyki, malarstwa, rzeźby i architektury ustalając gradację poszczególnych faz sztuki, nie wdając się jednak w drogi heglowskiej hierarchii, co pozwala mu dojść do ciekawych, wręcz rewelacyjnych, stwierdzeń.

najbardziej interesujące dla współczesnej myśli o sztuce⁵. Niemniej nie należy za dużo wymagać od jednej książki, która mimo swojego tytułu, poświęcona jest problematyce jedyne go Delacroix. Pod tym względem spełnia ona w zupełności swoje zadanie. Lekkość stylu autora, duża ilość cytatów oraz dodatek w postaci tłumaczeń listów Delacroix, G. Sand i Baudelaire'a są z pewnością cennym materiałem źródłowym dla polskich czytelników. Romantyzm i fascynujący dziewiętnasty wiek będą na pewno coraz częściej kusić pisarzy i historyków. Co za łatwe, to za trudne...

Andrzej NAKOV

5. Słynna fundacja Maeght'a zamierza w przyszłym roku zrealizować część projektów „syntetycznych” Kandinskiego. Dzisiaj temat ten jest wyjątkowo aktualny — np. ostatnie projekty znanego kompozytora Janisa Xenakisa, który reprezentował Francję na EXPO-67 w Montrealu takimi właśnie *sculpture musicales*.

Zaskakujące nagrody

Rada Fundacji imienia Kościelskich, zebrana w Genewie w dniu 6 października 1967, przyznała za rok 1967 trzy nagrody literackie po 3.000 (trzy tysiące) franków szwajcarskich:

Jarosławowi ABRAMOWOWI,

Tadeuszowi NOWAKOWI,

Jarosławowi Markowi RYMKIEWICZOWI.



Tegoroczne nagrody Fundacji im. Kościelskich są dla nas pewnym zaskoczeniem. Byliśmy dotąd przekonani, że Fundacja Kościelskich jest fundacją emigracyjną i że w przyznawaniu nagród uwzględnia *całą* polską literaturę, a więc nie tylko krajową ale również emigracyjną. Zawsze reprezentowaliśmy pogląd, że jest tylko *jedna* literatura polska. Każda jednak jednostronność wydaje nam się szkodliwa. Nie chcielibyśmy być źle zrozumiani: nie mamy żadnych zastrzeżeń wobec tegorocznych laureatów — wręcz przeciwnie. Uważamy jednak za decyzję nieprzemyślaną uwzględnienie *jedynie* pisarzy krajowych, i to w okresie kiedy bojkotowanie czy próby dywersji wobec pisarzy emigracyjnych dochodzą w Polsce do szczytu i kiedy krajowe środowisko literackie tak bardzo odbija na tle walki o wolność sztuki, prowadzonej ofiarnie przez pisarzy Związku Sowieckiego, Czech i Węgier.

REDAKCJA

Na linii Warszawa-Paryż

Jedną z wytycznych francuskiej polityki zagranicznej jest dążenie do poprawy stosunków z krajami Europy Wschodniej. Prezydent de Gaulle jest, jak dotychczas, jedynym zachodnim mężem stanu, który wypowiedział się wyraźnie za uznaniem granicy na Odrze i Nysie. Prezydent Francji jest też jedynym politykiem, który wysunął koncepcję zjednoczenia całej Europy.

W ostatnich latach Francja, po raz pierwszy od czasu zakończenia wojny, zaczęła się poważniej interesować zaciśnieniem współpracy gospodarczej z Europą Wschodnią. Najbardziej znanym wyrazem tego zainteresowania było zawarcie porozumienia ze Związkiem Sowieckim w sprawie przebudowy fabryki samochodów „Moskwicz” przez francuskie zakłady samochodowe Renault. Wkrótce potem Francja zawarła umowę z Rumunią na budowę fabryki samochodów o rocznej produkcji 50 tysięcy sztuk, oraz z Bułgarią na budowę podobnej fabryki o produkcji do 10 tysięcy sztuk.

Zdawałoby się więc, że istnieją wszelkie warunki polityczne i gospodarcze, by Francja stała się czołowym partnerem handlowym Polski na Zachodzie, a jednak tak nie jest. Mimo gwałtownego wzrostu handlu francusko-polskiego w ostatnich dwóch latach, Francja pozostaje w handlu z Polską daleko w tyle za innymi zachodnimi partnerami Polski. W roku ubiegłym polsko-francuska wymiana handlowa osiągnęła poraż pierwszy wartość 100 milionów dolarów, ale nadal stanowi to jedną trzecią obrotów polsko-brytyjskich, a połowę obrotów handlowych Polski z Niemcami Zachodnimi.

Ten stan rzeczy jest tym bardziej zaskakujący, że fakt przynależności Francji do Wspólnego Rynku powinien wpływać korzystnie na rozwój handlu z Polską. Przed przystąpieniem do Wspólnego Rynku Francja utrzymywała bowiem bardzo wysokie taryfy celne w obrotach z zagranicą. Wspólny Rynek nie tylko

znosi stopniowo wewnętrzne taryfy celne, lecz również wprowadza jednolitą taryfę zewnętrzną. Dzięki temu cła francuskie zostały poważnie obniżone, w ciągu ostatnich kilku lat, a cła zachodnio-niemieckie podwyższone. Zawarte ostatnio w Genewie porozumienie międzynarodowe w ramach tzw. Rundy Kennedy'ego doprowadzi do dalszej obniżki ceł EWG, na czym powinna również skorzystać Polska.

Powstaje więc pytanie jakie były dotychczasowe przeszkody w rozwoju handlu polsko-francuskiego i jakie są możliwości na przyszłość.

W pierwszych latach powojennych handel polsko-francuski ograniczał się prawie wyłącznie do wywozu polskiego węgla w zamian za co Francuzi dostarczali Polsce maszyn i urządzeń przemysłowych. Mniej więcej w roku 1948 „koniunktura węglowa” minęła i stosunki gospodarcze między obu krajami nie odgrywały właściwie żadnej roli. Jeszcze dziś handel ten stanowi dla Francji bardzo niewielki procent ogólnych obrotów towarowych: w dziedzinie eksportu 2,4% a importu 1,6%. Niemniej w roku ubiegłym zarysowały się po raz pierwszy poważne perspektywy rozwoju stosunków handlowych w przyszłości.

Złożyły się na to cztery zasadnicze przyczyny:

— po pierwsze w Warszawie przekonano się ostatecznie, że państwa Bloku Komunistycznego nie są w stanie dostarczyć gospodarce polskiej odpowiednich maszyn i urządzeń koniecznych do dalszej rozbudowy i modernizacji przemysłu i rolnictwa,

— po drugie, francuskie koła przemysłowe, odznaczające się na ogół wielkim konserwatyzmem i niechętnie zmianom, zaczęły się pod wpływem konkurencji, interesować rynkami wschodnimi,

— po trzecie, rząd francuski przeprowadził daleko idącą liberalizację przepisów dotyczących kwot importowych, które z natury rzeczy ograniczały handel do z góry określonego poziomu,

— po czwarte, Francja zmieniła politykę kredytową, co umożliwiło przedłużenie terminu spłat pożyczek na sprzęt inwestycyjny z 5 lat do 12.

Jednym z pierwszych wyników tej nowej polityki było zakupienie przez Polskę kompletnego wyposażenia fabryki nawozów sztucznych budowanej obecnie we Włocławku. Jest to największa transakcja zagraniczna francuskiego przemysłu urządzeń chemicznych, a jej wartość obliczana jest na sumę 60 milionów dolarów. Ponieważ Polska więcej kupuje we Francji niż sprzedaje, zwiększanie zakupów wymaga oczywiście uruchomienia kredytów.

Lata 60-te przyniosły jednak poważny wzrost eksportu polskiego do Francji. Podczas gdy w roku 1959 w eksporcie Polski do Francji figurowało zaledwie 40 pozycji towarowych, to w roku ubiegłym lista ta zwiększyła się do 250 pozycji. Ostatnio zanotowano powrót koniunktury węglowej i Polska stała się poważnym dostawcą węgla koksującego. Jednocześnie poważnie wzrósł eksport polskich towarów przemysłowych oraz maszyn i urządzeń pomiarowych.

Warto przy tym zwrócić uwagę na utworzenie w ubiegłym

roku pierwszej polsko-francuskiej firmy handlowej z siedzibą w Paryżu o nazwie Metalexfrance. Firma ta, o kapitale mieszanym polsko-francuskim, specjalizuje się w eksporcie polskich obrabiarek na rynki francuskie oraz rynki krajów trzecich. Pośredniczy ona również w zawieraniu porozumień o kooperacji przemysłowej między obu krajami.

Ostatnio zakłady mechaniczne Zamech w Elblągu zawarły z koncernem francuskim Ateliers et Chantiers de Bretagne umowę w sprawie produkcji w Polsce, według dokumentacji francuskiej, prasy-zaginarki i nożyc gilotynowych. Są to urządzenia poszukiwane na rynkach wielu krajów i strona francuska gotowa jest zamawiać co najmniej 10 takich kompletów rocznie.

Umowa ta ma wielkie znaczenie, ponieważ stanowi precedens do zawierania innych porozumień kooperacyjnych. W Paryżu odbyło się niedawno sympozjum polskich i francuskich konstruktorów obrabiarek na którym stwierdzono m.in., że we Francji istnieje duże zainteresowanie polskimi rozwiązaniami technicznymi.

Wiele czynników przemawia za tym, że kooperacja przemysłowa i specjalizacja produkcji stanie się główną dźwignią rozwoju stosunków gospodarczych między Europą Wschodnią i Zachodnią. Zaletą kooperacji jest wymiana myśli technicznej i naukowej oraz współpraca w zakresie handlu i dystrybucji. Może to wywrzeć w przyszłości zasadniczy wpływ nie tylko na strukturę polskiego przemysłu i handlu, ale również na przyjęcie zachodnich metod pracy przez polski aparat handlowy.

Dla podkreślenia dwustronnej wartości takich porozumień warto zwrócić uwagę na umowę zawartą przez francuską firmę Labourier z polskim Motoimportem o koprodukcji ciągników w oparciu o dostawy zakładów Ursus, pod Warszawą.

Szczegółne zainteresowanie na rynku francuskim wzbudzają polskie trawlerzy rybackie. Ich jakość i wyposażenie wytrzymują konkurencję światową, a skrócenie terminów dostaw, które obecnie wynoszą do 14 miesięcy, mogłoby znacznie zwiększyć ich eksport. Wydaje się jednak, że największe możliwości rozwoju współpracy przemysłowej i handlowej leżą w dziedzinie obrabiarek oraz aparatury laboratoryjnej, pomiarowej i regulacyjnej. Przemysły obu krajów współpracują już w dziedzinie automatyki przemysłowej.

Słowem perspektywy rozwoju współpracy gospodarczej między Polską a Francją są na ogół pomyślne. Realizacja tej współpracy leży na pewno w interesie społeczeństwa polskiego, bo zmniejsza zależność ekonomiczną od Sowietów i zbliża Polskę do Zachodu.

Jan KROK-PASZKOWSKI

Hemingway polskiego Września

Przed kilku laty, gdy rocznicowa tematyka września 1939 nasuwała okazję do podsumowań i retrospektyw, jeden z krajowych krytyków uskarżał się na zjawisko pozornie niezrozumiałe. Zastanawiając się nad niedostatkami naszej literatury stwierdził, iż naród, który najdłużej trwał w warunkach wojny, nie zdobył się dotychczas na dobrą książkę o tamtych dniach, skwitowawszy je kilkoma zaledwie powieściami o względnej wartości. Trudno poglądom tym nie przyznać racji, należy jednak uzupełnić je koniecznym komentarzem na temat warunków, które pisarzom drukującym w kraju nie pozwalają na całościowe spojrzenie i artystyczną sumę wrześniowych wydarzeń. Przykład dobrze zaczętej powieści Żukrowskiego *Dni kłeski*, całkowicie wypaczony sztucznym zakończeniem, w którym dzielnicy czerwonoarmiejcy „wyzwalają” bohatera i uwożą na „gościnną ziemię radziecką”, odstraszyć mógł nawet najodważniejszych.

Nie lepiej, niestety, przedstawiała się sytuacja na emigracji. Po powodzi mniej lub więcej udanych wspomnień i autobiograficznych opowieści nastąpiła cisza. Powiedzmy szczerze: nie zdobyliśmy się dotąd na pełną, bogatą i wszechstronną powieść o roku 1939, stanowiącym początek nowej epoki, nowego układu sił politycznych i losów milionów ludzi, na powieść, która sprostać by umiała wielkości problemów rokiem wybuchu wojny rozpoczętych i do dziś trwających. Działać tu musiały różnego typu zahamowania, wśród których obawa przed „polską specyfiką” tematu i obcością jej dla czytelnika współczesnego lub też nie-polskiego grała zapewne poważną rolę. Nikomu jednak nie przyszło na myśl, że Jurij Żiwago czy Iwan Denisowicz Szuchow awansowali do rangi międzynarodowych bohaterów dzięki umiejętnemu połączeniu pierwiastków narodowych z ogólnoludzkim dramatem naszej ery. Toteż ryzykować można twierdzenie, że mimo książek Herlinga-Grudzińskiego i kilku kronikarzy literatu-

ra polska zaprzepaściła kapitalną szansę, którą dopiero Sołżenicyn umiał wykorzystać.

Ale utyskiwania na braki naszej literatury w tej dziedzinie, negatywną nutą ironicznie potwierdzające jedność literatury polskiej w kraju i na emigracji, wolno od dziś formułować w czasie przeszłym, wydarzyła się bowiem rzecz niespodziewana i zgoła niecodzienna w dziejach naszej wstydliwie zaściana kowej kultury: polski pisarz zadebiutował wielką powieścią o Polsce, napisał ją i wydał po angielsku, a w dodatku jednym zamachem zdobył ogromny rynek amerykański. Pisarzem tym jest W. S. Kuniczak, powieścią *The Thousand Hour Day**.

Wydana w maju br. książka Kuniczaka zakwalifikowana została jako pozycja amerykańskiego giganta *Book-of-the-Month Club*, co jest wyróżnieniem dostatecznie ważnym, by zwrócić na nią uwagę krytyki i szerokiej publiczności. W niezliczonych ogłoszeniach klubu, pojawiających się we wszystkich wielomilionowych czasopismach Stanów, tuż obok czarnej swastyki reklamującej historię Trzeciej Rzeszy Shirera pojawił się niemal symbolicznie biały orzeł na prawach równorzędnego partnera na czytelnicznym rynku, dla którego miarą ważności książki jest charakterystyczny termin *best-seller*. Złamana została tym samym ważna bariera psychologiczna, tak ciągle jeszcze istotna w kraju gdzie do dziś wydaje się parszywe książeczki pod tytułem *It Is Fun to be a Polack*, co dałoby się w przybliżeniu przełożyć na „A to heca być Polakiem”.

Tym jednak, którzy z graficznych symbolów wyciągać by próbowali dalsze wnioski należy się od razu zasadnicze ostrzeżenie, które wziąć trzeba pod uwagę przy każdej dalszej dyskusji nad książką Kuniczaka: pamiętajmy, że jest to powieść, fikcja literacka, dzieło artystyczne nie roszcujące pretensji do roli dokumentu historycznego. Wierzyć wolno, że gdy głos nad książką zabiorą historycy ostatniej wojny ostrzeżenie to zechcą zachować w pamięci. Pamiętajmy, że wartość artystyczna powieści Sienkiewicza czy Tołstoja nie ucierpiała wskutek wytkniętych im niedokładności historycznych, i że historia ukazana w ich utworach stała się bliższą ogółowi ludzkości właśnie w tej formie, w jakiej zechcieli ją ukazać, nie troszcząc się zbyt o absolutną wierność prawdzie historycznej — jeśli taka w ogóle istnieje. I to liczy się najbardziej w rzetelnej literaturze, której zadaniem jest tworzyć a nie odtwarzać. Hemingway, który głębokim filozofem nie był, ale na rzemiośle pisarskim znał się dobrze napisał kiedyś: „Zadaniem pisarza jest mówienie prawdy. Standart jego wierności prawdzie powinien być tak wysoki, że to co stworzy

* W. S. Kuniczak, *The Thousand Hour Day*, New York, The Dial Press, 1966, stron 628, cena dol. 7,95.

Urodzony w 1930 r. we Lwowie, Kuniczak lata wojny spędził w Anglii, skąd w 1950 r. przeniósł się na dalsze studia uniwersyteckie do Stanów Zjednoczonych. Po ukończeniu Alliance College i uniwersytetu Columbia odbył kampanię koreańską w armii amerykańskiej, po czym rozpoczął pracę dziennikarską. Obecnie mieszka w Meksyku.

korzystając ze swych doświadczeń powinno dać dokument prawdziwszy niż to, co mogło stać się faktycznie”.

Spór o zadania i prawa powieści historycznej, ciągnący się od lat stu bez mała, spór, w którym biednemu Sienkiewiczowi dostało się najwięcej, zdaje się powoli wygasać w krajowym nurcie krytyki gdzie rozróżnienie między fikcją a historią staje się coraz wyraźniejsze. Wolno mieć nadzieję, że i na emigracji, z konieczności bardziej emocjonalnie związanej z wypadkami historii najnowszej, osiągnięty zostanie podobny stopień zrozumienia dla praw literatury odważnie sięgającej w dziedzinę spraw ciągle jeszcze żywych w pamięci uczestników wydarzeń, które pisarzowi posłużyły za kanwę powieści. Toteż bez zagłębiania się w istotę tego sporu najsłuszniejsze wydaje się przyjęcie dość skrajnego stanowiska krytyki formalistycznej uznającej w dziele literackim jedną tylko zasadniczą wartość: tę mianowicie, by książka była po prostu dobrze napisana.

Dzień o tysiącu godzin (tak chyba bowiem brzmieć powinien tytuł powieści Kuniczaka gdy kiedyś — miejmy nadzieję, że jak najszybciej — ukaże się ona po polsku) postulat ten niewątpliwie spełnia. Wielowątkowa akcja, która poprzez losy poszczególnych bohaterów ukazuje tragiczną i możliwie wszechstronną panoramę historyczną, społeczną i psychiczną pierwszego tysiąca godzin II Wojny Światowej, trzyma czytelnika w napięciu i czujnej uwadze. Schemat konstrukcyjny powieści pozwala autorowi na swobodne operowanie zarówno przecinającymi się w wielu miejscach wątkami, jak i na przesuwanie ciężaru akcji na poszczególne postaci bohaterów, bez odbiegania od chronologii wydarzeń dzięki zręcznemu zabiegowi kompozycyjnemu: kolejne rozdziały pięciu ksiąg powieści miast tytułów oznaczone są datami, od 24 sierpnia do 9 października 1939. W ramach każdego dnia-rozdziału mieści się kilka podrozdziałów, z których każdy kontynuuje wątek pojedynczego bohatera, oznaczonego symbolicznym skrótem „Generał”, „Myśliwy”, „Żyd”, „Antos” itd. Dzięki temu zabiegowi czytelnik z jednej strony śledzi losy bohaterów w chronologicznym rozwoju wypadków, z drugiej zaś otrzymuje szeroką perspektywę wydarzeń w skali ogólnonarodowej widzianych z różnych punktów i odbitych w różnych reakcjach psychicznych i przygodach bohaterów. Metodą tą, niewątpliwie przejętą z *Wojny i pokoju*, autor operuje ze swobodą wytrawnego powieściopisarza, panuje nad poszczególnymi wątkami, wiąże je logicznie i konsekwentnie, tak że nawet trzecioplanowe postaci otrzymują tu ważne funkcje kompozycyjne.

Jest rzeczą zrozumiałą, że przyjęty schemat położył główny nacisk na role poszczególnych postaci. Wymieńmy najważniejsze z nich, tym samym zarysowując główny konflikt powieści, dobór bowiem bohaterów i ich wzajemne związki stwarzają fabułę ożywiającą tło historyczne wrześniowych dni. Generał Janusz Prus, jednoreki przeciwnik Piłsudskiego, dominuje nad resztą postaci zarówno rolą, jaką wyznaczył mu autor, jak i tragiczną determinacją wierności żołnierskiemu obowiązкови do końca

kampanii. Jego brat, Michał, dzięki wysokiemu stanowisku w Sztabie Generalnym wprowadza czytelnika w szczegóły operacyjne i polityczne wojny, równocześnie stanowiąc kontrast z Januszem swą postawą moralną, świadomością nieuniknionej klęski i rezygnacją, której kulminację stanowi samobójstwo na wieść o wkroczeniu wojsk sowieckich. Postawa obu wysokich oficerów znajduje paralelnie odbicie w losach ich synów, kawalerzysty Pawła i taternika Adama, którzy skrajnie różnymi drogami podążają do nieuchronnej śmierci, stanowiącej ostatni rozpaczliwy akt indywidualnego bohaterstwa.

Tym czterem głównym postaciom z rodziny Prusów przeciwstawione są losy prostych żołnierzy, Antosia Mocnego i Morysa Berga, reprezentujących środowiska chłopskie i żydowskie. Na szczególną uwagę zasługuje tu Berg, którego ewolucja w okresie tysiąca godzin ukazana jest z wielką wnikliwością psychologiczną. Obaj też schodzą z kart powieści niepokonani, jako symbole tych sił, którym przyszło kontynuować walkę w ciągu następnych sześciu lat w warszawskich powstaniach i na Zachodzie. Gdzieś po środku przewija się wątek miłosny Lali, przyjaciółki generała, i Loomisa, amerykańskiego dziennikarza, przeżywających w oblężonej Warszawie swój straceńczy, krótki romans. Wokół zaś pojawiają się i znikają liczne wątki uboczne, mocno zresztą związane i splecione z losami postaci głównych, tworząc w sumie konstrukcję bogatą, różnorodną a przecież niewzruszenie jednolitą. Każda zaś z postaci tych i każdy z wątków wzbogaca książkę o mnóstwo szczegółów, których w innym układzie kompozycyjnym nie dałoby się wprowadzić do powieści. Słusznie też stwierdził amerykański krytyk Gilbert Highet: „Wielu już opowiadało o losach pojedynczego żołnierza czy plutonu lub nawet pułku w czasie wojny. Ale nieporównanie trudniej jest opowiedzieć o przygodach całego narodu. Udało się to bardzo nielicznym. Kuniczak jest jednym z tych niewielu i naszym zdaniem godny jest stanąć tuż obok najlepszych spośród nich”.

Przygody całego narodu, i to przygody ciągle jeszcze żywe w pamięci ich uczestników, nie są materiałem łatwym do wykorzystania w literaturze. Mimo trzydziestu niemal lat, dzielących nas od Września, perspektywa historyczna często wydaje się zbyt szczupła, by zdobyć się na obiektywizm i odrzucić narosłe uprzedzenia. Gdy jednak historyk ocenić będzie musiał wartości pozaliterackie powieści Kuniczaka, krytyk stwierdzić musi, że powstała powieść o dużej wartości artystycznej i mocno osadzona w realiach skrupulatnie gromadzonych w trakcie pracy pisarza. Nawet dość fantastyczny wątek niemiecki, intryga zmierzająca do wciągnięcia generała Prusa w ewentualną współpracę ze zbrojnymi, ma wszelkie walory prawdy psychologicznej, a ponadto posłużył autorowi do zbudowania ciekawej fabuły, wiążącej w jeden szereg postacie tak różnorodne jak idealistyczny SS-owiec Erich, niewinna ofiara historii Adam i cynicznie wypowiadający swoje poglądy na podobieństwa między Niemcami a Amerykanami gestapowiec Reinhardt.

Niemcy zresztą, siłą rzeczy grający w powieści rolę drugoplanową, są konsekwentnym dopełnieniem wszechstronnego obrazu wojny. Sceny batalistyczne oglądane oczyma żołnierzy SS mocniej jeszcze akcentują postawę Polaków, których „chwała leżała w tym, że nie mieli nadziei na zwycięstwo” od początku kampanii, a mimo to zdobyli się na opór doprowadzający najeźdźców do paniki i załamania psychicznego. Sowietci, występujący w powieści jako bezosobowa lawina zalewająca Polskę niby Scytowie z poematu Błoka, nie otrzymali na razie należytego portretu, znikając za plecami ukraińskiego chłopstwa wyrzynającego cofające się ku granicy polskie oddziały.

Jakkolwiek *Dzień o tysiącu godzin* napisany został po angielsku i przeznaczony dla amerykańskiego przede wszystkim czytelnika, to przecież jest to powieść na wskroś polska i polskością przesycona nawet w swej warstwie językowej. Kuniczak umiejętnie i bez przesady wpleść umiał w nienaganny tekst angielskich dialogów różnych „panów poruczników” i różne „O Jezu”; przyznać trzeba, że nawet soczyste polskie „gówno” w angielszczyźnie tej nie razi. Metoda to zresztą znana od dawna, a mistrzem Kuniczaka niewątpliwie jest Hemingway i jego hiszpańska powieść *Komu bije dzwon*.

Niestety patronat Hemingwaya nie ograniczył się do stylu. W wywiadzie prasowym Kuniczak powołuje się na Tołstoja, Dostojewskiego, Sienkiewicza i Conrada jako pisarzy, którzy wywarli nań wpływ zasadniczy, z autorów współczesnych wymieniając zapomnianego dziś współautora dwu książek Conrada, Forda Madox Forda. W rzeczywistości jednak *Dzień o tysiącu godzin* mimo swój tołstojowski rozmach przesycony jest wpływami Hemingwaya, łatwymi do wykrycia w stylu, obrazowaniu, psychice bohaterów, dialogach i symbolach. Poczynając od jednorękiego generała (Harry Morgan z *Mieć i nie mieć*) aż po scenę oblężenia samotnego wzgórza, zakończoną obcięciem głów zabitym żołnierzom (*Komu bije dzwon*), przemożny wpływ amerykańskiego pisarza uderza w powieści tej przede wszystkim, co zresztą nie umniejsza wcale jej wysokiej wartości.

Drobne potknięcia i nielogiczności wydają się rzeczą nie do uniknięcia w powieści tak ogromnej. Rotmistrz polskiej kawalerii, Paweł Prus, pomyślany jako *porte-parole* autora, wydaje się postacią najsłabszą i „hemingway’izm” Kuniczaka zaważył na jego rysunku najbardziej. Temu też chyba należy przypisać uczynienie zeń bojownika hiszpańskiej rewolucji, niemniej jego *arriba comandante* brzmi co najmniej dziwnie na warszawskiej ulicy, a męczeński zgon pod widłami Ukraińców wydaje się niepotrzebną ofiarą. Równie kliszową postacią jest tropiciel Bogacz, dosłownie powtarzający naiwne sformułowania starego Anselmo (*Komu bije dzwon*) na przemian z symbolicznymi poszukiwaniami wielkiego niedźwiedzia (*Stary człowiek i morze*). Amerykanin Loomis jest dziwną mieszanką cynicznych bohaterów Hemingwaya i zaradnych cwaniaków Remarque’a, a jego rola w powieści sprowadza się do powtórzenia kilku znanych sądów o Amerykan-

kach i frustracji egzystencji po drugiej stronie Oceanu. Najmniej przekonujący wydają się być Niemcy, często papierowi, często zaś po staroświecku rycerscy. Z tym wszystkim przecież są to rzeczy drobne, ginące w bogatym, szerokim nurcie wielkiej powieści o zakroju prawdziwie epickim, powieści na jaką czekaliśmy od dawna. Są w niej bowiem wartości godne najwyższej pochwały, niektóre zaś sceny takie jak np. śmierć Grymsa w szarży kawalerii pod Chełmem powinny znaleźć się w każdej antologii polskiej literatury.

Dzień o tysiącu godzin jest wybitnym osiągnięciem młodego pisarza. Z tym też większą radością i nadzieją przyjąć należy wiadomość, że powieść ta stanowi tom pierwszy tetralogii, której tom następny opowiada o ludziach II Korpusu, obie zaś książki otworzą ambitnie zaplanowany cykl jedenastu powieści mówiących „o zmieniającej się formie i roli człowieka w dwudziestym wieku”. Polski Wrzesień znalazł wreszcie swego pisarza, wolno więc wierzyć, że nie zawiedzie on naszych oczekiwań.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Poezja i polityka

Jest to praca źródłowa i dobrze napisana, chyba pierwsza w języku angielskim o tak szerokim zakroju i ciekawej, polsko-węgierskiej paraleli. Autor jej swobodnie porusza się wśród nagromadzonych faktów, widać że nie tylko opanował język polski, ale zna naszą poezję i — co chyba jest tu wyjątkowym atutem — czuje polski wiersz. Ten właśnie fakt pozwala czytelnikowi polskiemu wierzyć w to wszystko, co Gömöri mówi o poezji węgierskiej. Zaufanie to narzuca się samo i jest chyba najlepszym świadectwem dla autora *Polish and Hungarian Poetry 1945-1956**.

„*This book follows — mówi wstęp na obwołucie — the development of the major Polish and Hungarian poets from the end of the Second World War until 1956, when discontent in both countries led to significant political and cultural changes*”. Dwie rzeczy należałoby więc zapamiętać, że książka traktuje o wszystkich ważniejszych poetach i wpływie ich twórczości na polityczne i kulturalne zmiany w obu krajach. Dalsze słowa wstępu podkreślają historyczne związki między Polską a Węgrami, podobieństwo warunków politycznych w omawianym okresie które gdyby nawet potem odbiły się w poezji, to fakt ten nie miałby w istocie żadnego znaczenia, gdyż podobne bodźce zewnętrzne, nie wy-

* *Polish and Hungarian Poetry 1945 to 1956* by George Gömöri, Oxford 1966, Oxford University Press, stron 266.

wołują tych samych psychologicznych reakcji, zwłaszcza w tak trudno sprawdzalnym produkcie, jakim jest wiersz. Dobrze jednak, że Gömöri stara się odsłonić przed czytelnikiem angielskim ich wspólny, polityczny mianownik. Robi to dobrze i sięga, jak każdy wytrawny historyk literatury, do twórczości Mickiewicza, Słowackiego, Norwida. Interpretuje nasz Romantyzm, zwłaszcza jego stronę „narodową” z wycuciem i przekonywująco. Obawiamy się nawet, że Gömöri podpisuje się pod założeniami „narodowymi” Petöfiego i Mickiewicza, że jest po stronie literatury „wieszczącej” i pragnie ten sąd narzucić czytelnikowi anglosaskiemu, zapominając — jak w wypadku Mickiewicza — że dwa jego arcydzieła *Stepy Akermańskie* i *Pan Tadeusz*, nie mają prawie nic wspólnego z „wieszczaniem”, natomiast tam, gdzie staje się on orędownikiem polityczno-narodowym, jak w *Dziadach*, daje utwory o słabym wyrazie artystycznym. Przykładem zaś banału, po prozie Reja, po kazaniach Skargi i listach Słowackiego, jest język Mickiewicza w *Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego*.

Gömöri jest agresywnym i plastycznym autorem. Jego słowo wciąga. Napisał swą książkę lepiej i bezstronniej od wielu naszych rodzinnych opracowań tego okresu. Charakterystyka poszczególnych poetów jest zgodna z ogólną, literacką klasyfikacją. Tło wielu wypowiedzi, jak w wypadku Broniewskiego, umożliwiające zrozumienie utworu, jego historyczną i literacką genezę, autor wiernie i bezstronnie przeanalizował. Ma na przykład rację, gdy mówi, że Przyboś ma dużo dobrych chęci, ale mało talentu, że jego wiersze są „robione” pod intelektualną formułę. Trudno jednak zgodzić się z opinią o Jastrunie, którego gani za „bezczasowość” w jego wierszach i niedomówienia. Z tego samego powodu moglibyśmy wykreślić wiele utworów Norwida z naszej literatury, a Mallarmé’go z francuskiej.

W ogólnych sformułowaniach, aczkolwiek popartych cytataми, Gömöri jest zbyt prostolinijszy. Nie weźmiemy chyba dosłownie słów Jastrzębskiego, że poezja pomogła narodowi przetrwać i zachować wewnętrzną wolność w okresie okupacji, słów które rzuca się na wyrost i zapomina potem, jak również twierdzenia o potrzebie narodowego barda, czy treści przypadkowego artykułu w *Twórczości*?

Przewrót społeczny po Drugiej Wojnie Światowej, przeprowadzony na największą chyba skalę jaką możemy sobie wyobrazić: obalenie klas, reorganizacja ustroju, nowa polityka i administracja, podnoszenie wyczerpanego państwa z gruzów, obietnica komunistycznego raj, trzymały jakiś czas społeczeństwo w odrętwiałym oczekiwaniu, potem dysproporcje okazały się zbyt jaskrawe, by naród dalej trwał w oślepieniu. Ocaleni z obozów i więzień, zaczęli czuć na sobie razy niedawnych dobroczyńców: prześladowania, areszty, samosądy Partii, terror policji, walka z Kościołem, kołchozy — całe społeczeństwo przejrzało nagle i nie potrzeba do tego było utworów o wątpliwej poetyckiej wartości. Odebranie chłopu ziemi, wierzącemu wiary, a robotnikowi chleba,

fakty te były bardziej na alarm od słów. One właśnie spowodowały przemiany po 56 roku, a nie wiersze Ważyka lub Hertza. Pogląd ten, aczkolwiek popularny, lansowany przez pisarzy, niektóre instytucje kulturalne, krajowe i zagraniczne, a nawet ośrodki emigracyjne, jest może historycznie usprawiedliwiony i emocjonalnie potrzebny, w praktyce nie ma właściwie żadnego znaczenia. Owszem w okresie Romantyzmu, poeta mógł mieć „rząd dusz”, ale nie w okresie 1945-56, gdzie nawet tak popularni jak Broniewski i Gałczyński, nie mieli żadnego wpływu na przemiany polityczne i kształtowanie się nowej rzeczywistości w kraju. Gömöri hołduje schematowi ogólnie przyjętemu, choć mało sprawdzalnemu, cała zresztą jego książka wyrosła z tych polityczno-poetyckich zmagani i konfrontacji.

II

Bezstronność, wiedza i polityczna wnikliwość, oto co uderza czytelnika *Polish and Hungarian Poetry 1945-1956*. Na pierwszym miejscu postawiłbym może właśnie upolitycznienie autora, gdyż ono chyba wpłynęło na powstanie książki. A może się mylę, może właśnie namiętność do słowa, do mowy wiązanej, skłoniły go do nauczania się języka polskiego, i studiów nad naszą poezją.

Całość autor ujął w przejrzyste klamry rozdziałów. Jest ich siedem. Jedne dotyczą tylko sytuacji polskiej, inne węgierskiej, są również wspólne, gęsto przetkane nicią polityczną, która w tym wypadku jest najbardziej żywą tkanką dla omawianego zagadnienia. Bo chodzi w tej pracy właściwie o poezję upolitycznioną, o autorów z wyraźnym credem politycznym, lub co najmniej zaangażowanych, zdradzających dobre chęci włączenia się w rygory narzucone poezji przez Partię. Ta część jest wyjątkowo ciekawa i wnikliwie udokumentowana. Rozdziały, czwarty i piąty, mówią o założeniach Żdanowa, rozpowszechnianiu ich w Polsce i na Węgrzech, o schematyzmie i realizmie socjalistycznym. Jest to już historia pierwszych klęsk komunizmu w literaturze, wyraźnie wskazująca na ignorancję w zagadnieniach kulturalnych na szczytach Partii.

Rozdział pierwszy, wprowadzający, omawia poezję w Polsce i na Węgrzech z historycznego punktu widzenia, daje jej tło i charakteryzuje zasadnicze modele, które w obu krajach były właściwie podobne: poezja romantyczna. Potem autor przenosi się na swój odcinek między lata 1945-1949, gdzie krótko omawia stan naszej poezji w Dwudziestolecu międzywojennym, jak również ówczesne grupy poetyckie. Należy tu sprostować opinię Gömöri'ego o Czechowiczu, że był on odizolowany w swoich osiągnięciach i że nie stworzył własnej szkoły, jak również skorygować twierdzenie, że był on luźno związany z katastrofistami. Odizolowany wcale nie był. Pielgrzymowali do niego tak katastrofiści wileńscy, jak i awangarda krakowska, nadawał on ton Kwadrydze i Żagrom, był już wtedy cichym ale zdecydowanym

ich dyrygentem, i nie on, a właśnie katastrofiści byli z nim luźno związani, nie mówiąc już o tym że swym talentem górował nad wieloma. Sumując osiągnięcia tego okresu, autor mówi że wydał on pewną liczbę obiecujących debiutów i tu wymienia przedwojennego jeszcze debiutanta Bieńkowskiego.

Gömöri, charakteryzując twórczość Illyesa w okresie po roku 1947, wydaje się sympatyzować z nim, jest po stronie kompromisu i taktycznej „kolaboracji”, postawy, którą w tym okresie wybrał Illyes, by nie być zupełnie oddzielnym od czytelnika. Jest to punkt widzenia istotny dla poety, choć może mało popularny w oczach wielu przeciwników politycznych. Ale politycy nie mają wyczucia i głębszego zrozumienia bieżącej chwili. Myślę że postawa Illyesa, którą aprobuje Gömöri nie byłaby popularna w środowisku polskim, gdzie tego rodzaju sympatie były natychmiast piętnowane i to nie tylko przez Emigrację. Ale Illyes, poeta światowej klasy, nigdy nie napisał wiersza na cześć Stalina, choć zrobił ustępstwo na rzecz jego realizmu. U nas natomiast poeci prześcigali się w pochwałach, a nawet upamiętnili swoje upodlenie antologią zawierającą Stalinowskie panegiryki. I to kilkunastu aż poetów. Znamienna tu jest charakterystyka *fellow-traveller'a* Jarosława Iwaszkiewicza, którą Gömöri kończy kapitalnym i jakżeż charakterystycznym dla tego autora zdaniem: *With a single stroke of his pen Iwaszkiewicz reached the final stage of Stalinist fideism.*

Z jednej więc strony słusznie obarczamy cały naród niemiecki odpowiedzialnością za zbrodnie Hitlera, ale nie widzimy winy, którą powinniśmy obarzyć *wszystkich komunistów za zbrodnie Stalina*. Na podstawie *tej samej logiki, nasz naród ponosi odpowiedzialność za czystki, prześladowania, tortury, a nie tylko czeladnicy z UB*; bez względu na to czy ktoś ukrywał się w wygodnych Stawiskach, czy za milczącymi tomami dostojnej, krakowskiej Alma Mater. Obojętności tej — myślę — historia nikomu nie wybaczy, gdyż nie może wybaczyć, bo nie ma ona prawa jednego człowieka degradować do niewolnika skazanego torturami na zagładę, drugiemu zaś dawać prawa życia i śmierci. Nie ma również jeszcze takiego kodeksu, który rozgrzeszałby widza przyglądającego się zbrodni. Nawet nieba nie osiąga się za wszelką cenę, a co dopiero ziemskie nietrwałe polityczne „raje”. Tę prawdę ma za sobą emigracja, choć straciła grunt pod nogami i nie może spacerować brzegami Wisły. Czyste sumienie jest też atutem i to jest coś co się właściwie w ostatecznym bilansie liczy.

Przyjemnie jest patrzeć jak Gömöri porusza się wśród pisarzy węgierskich. Mało, że zna ich twórczość, on zna ich osobiście i to od strony, którą często chciałoby się ukryć przed okiem obserwatora. Zwłaszcza obserwatora krytyka. Ale Gömöri nie sądzi, patrzy na nich jak człowiek na człowieka, z pełną wyrozumiałością, cieszy się każdym ich sukcesem, jakby to był jego własny, a gdy rysuje ich sylwetki, robi to z całą sympatią, czym pozyskuje nasze zaufanie.

Opis węgierskiej „odwilży” czyta się z zapartym oddechem. Jakże inaczej, okazuje się, zachowywali się polscy pisarze. Tam, u Węgrów, upór i godność, gdy u nas brudne donosicielstwo, zdobywanie władzy kosztem i krzywdą innych. Tych spraw, dotyczących naszego podwórka, Gömöri z wrodzonym taktem stara się nie odsłaniać zbyt przed czytelnikiem anglosaskim, ale dla nas jego aluzje wystarczają, by przypomnieć sobie Stalinowski okres i rolę w nim polskich pisarzy. Węgrzy mieli do tego stopnia postawę jednolitą, że nawet komuniści z przekonania (takie powiedzmy ich Putramenty) porzucali partię i przechodzili do opozycji. Prawdziwą niespodzianką dla czytelnika polskiego będą nazwiska: Ference Juhasz, Laszlo Nagy, Laszlo Benjamin, Gyula Illyes i fakt, że gdy u nas wydawano antologię na cześć Stalina, poeci węgierscy pisali w tym czasie antystalinowskie wiersze i nie wahali się ich ogłaszać, jak wiersz wyżej wspomnianego Illyesa *Zdanie o tyranii*.

Polska „odwilż”, którą autor omawia w rozdziale siódmym, nie była aż tak burzliwa i ogólnonarodowa, a rola w niej literatów — ja kto ostatnio miarodajnie naświetlił Tyrmand — była jedynie marginesowa. Nasi pisarze od razu pogodzili się z dyktandami Moskwy, żyli na jej „nasłuchu” poprawiając pilnie zmiany w ideologicznym kursie. Okres przedodwilżowy na Węgrzech, ze znamioną dyskusją Déry’ego, porównuje Gömöri z wydaniem u nas *Popiołu i diamentu*; śmieszny to przyczynek do historii zmagania się przed „odwilżą” z Partią. Powieść Andrzejewskiego została przyjęta pochlebnie, a najbardziej wartościowe kąski wyłuskała z niej dla siebie Partia.

III

„Therefore the present book is not only a study of poetry: it is a study in psychology and intellectual morality as well”. Tym zdaniem można by zakończyć omówienie studium Gömöri’ego i rozgrzeszyć je, bo książka, a właściwie jej polski aspekt, nie jest pełnym, poetyckim obrazem tego okresu. Jest to dokument politycznych rozrachunków, konfesjonał, przy którym poeta oczyszczał się lub popadał w herezję, krzywe zwierciadło odbijające historię grupki ludzi, z których jedni tonęli, a inni kosztem ich życia zapewniali sobie chwilową egzystencję; dobrze więc, że dokument taki ukazał się i możemy go mieć pod ręką, dobrze dla wielu doraźnych celów, ale samą poezję mało chyba obchodzi w jakich warunkach powstaje wiersz. Bogini poezji jest chyba tak samo ślepa jak bogini sprawiedliwości, obchodzi ją sam utwór, jakie wnosi wartości, czym wzbogaca żyzny organizm poezji polskiej? Pod tym względem praca Gömöri’ego nie jest kompletna, gdyż jest w niej Baczyński, a nie ma Brzękowskiego, jest Czyż, a nie ma Czuchnowskiego, jest Wirpsza, a nie ma Wittlina, jest Ślucki, ale brak Sułkowskiego!

Polska filozofia analityczna

Chciałabym zwrócić uwagę czytelników „Kultury” na bardzo interesującą książkę Prof. Henryka Skolimowskiego pt. „Polish Analytical Philosophy”, wydaną w roku 1967 przez Routledge and Kegan Paul Ltd. w Londynie. Skolimowski jest uczniem Kotarbińskiego. Do roku 1963 był pracownikiem Katedry Logiki Uniwersytetu Warszawskiego. Przez 3 lata studiował w Oxfordzie, gdzie otrzymał tytuł doktora filozofii. Praca na Uniwersytecie Warszawskim i studia w Oxfordzie dały mu podstawę do opracowania zagadnień poruszonych w książce w sposób szczególnie kompetentny. Obecnie Skolimowski jest profesorem filozofii na University of Southern California w Los Angeles.

Książka Skolimowskiego „Polska Filozofia Analityczna” miała sprostować trzem zadaniom:

- 1) opisać źródła i charakter filozofii analitycznej w ogóle;
- 2) przedstawić rozwój i osiągnięcia polskiej filozofii analitycznej;
- 3) porównać polską filozofię analityczną z brytyjską.

Ad 1) Pierwszy rozdział książki poświęcony jest charakterystyce filozofii analitycznej oraz opisowi źródeł jej powstania. Autor wyróżnia 4 cechy charakteryzujące filozofię analityczną: a) wykrystalizowana świadomość co do roli języka w badaniach filozoficznych; b) koncentracja na szczegółowych, specyficznych problemach filozoficznych (przykładem może tu być analiza różnicy między oznaczaniem a znaczeniem w przeciwieństwie do refleksji nad sensem życia); c) poznawcze nastawienie filozofii analitycznej; d) intersubiektywne podejście do procesu analizy filozoficznej. Charakterystyka powyższa jest osobistym wkładem Skolimowskiego. Przyjrzyjmy się kolejno wszystkim czterem cechom tej filozofii.

Ad a) Wykrystalizowana świadomość co do roli języka w badaniach filozoficznych jest — zdaniem autora — główną cechą filozofii analitycznej. Język jest nie tylko środkiem, ale także celem dociekań filozoficznych. Autor dzieli wszystkich filozofów analityków na cztery grupy zależnie od ich stosunku do języka codziennego. Są to: formalisci, reformiści, modyfikatorzy i lingwiści.

Ad b) Filozofia analityczna wykazuje tendencję do podejmowania tematów szczegółowych i do ich precyzyjnej analizy. Nie dostarcza wielkich syntez filozoficznych. Skromność tej filozofii wynika z jej wielkich wymagań jeśli chodzi o dokładność, jasność i ścisłość dowodzenia filozoficznego. Szczególny nacisk kładzie ona na przestrzeganie kryteriów sensowności twierdzeń.

Ad c) Trzecią cechą charakterystyczną filozofii analitycznej

jest jej poznawczy charakter. Filozofia ta jest skierowana na poznawanie świata zewnętrznego. Jej głównym celem jest zdobywanie wiedzy, a nie udowadnianie np. wielkości Boga czy porządku natury.

Ad d) Ostatnią cechą charakterystyczną jest wymaganie, aby wszelkie analizy filozoficzne były prowadzone w języku intersubiektywnym, a więc w języku, którego znaczenia są te same dla ludzi, którzy mówią tym samym językiem.

Jeśli chodzi o wyjaśnienie genezy filozofii analitycznej autor wysuwa dwa bardzo interesujące twierdzenia. Po pierwsze twierdzi, że ostatnie 20 lat rozwoju różnych nauk miało pośredni wpawdziej, ale niezmiernie doniosły wpływ na powstanie filozofii analitycznej. Rozwój języków specjalistycznych i tworzenie się nowych aparatów pojęciowych w botanice, chemii, fizyce, geometrii i logice zwróciło uwagę filozofów na rolę języka w poznaniu i na znaczenie analizy pojęć. Zdaniem Prof. Skolimowskiego współczesna filozofia analityczna różni się w sposób istotny od poprzednich prądów filozoficznych, specjalizujących się w analizie pojęć (np. Sofiści, Sokrates, późny scholastyzm) tym, że bierze ona wzór z nowożytnych nauk, a przede wszystkim z nieznannej uprzednio logiki matematycznej.

Po drugie, autor twierdzi, że nie należy przypisywać Wielkiej Brytanii i jej filozofom wyłącznej zasługi stworzenia tego kierunku filozoficznego, jak to się powszechnie robi. To prawda, że autor przyjmuje sam za umowną datę powstania filozofii analitycznej rok 1905. Jest to data opublikowania w Anglii przez Bertranda Russella głośnego artykułu „On Denoting”. Nie można jednak pomijać osiągnięć polskiej filozofii analitycznej powstałej niezależnie od badań prowadzonych przez uczonych brytyjskich. W tym samym czasie mamy początki tzw. szkoły Lwowsko-Warszawskiej, której narodziny wiążą się z objęciem przez Twardowskiego profesury na Uniwersytecie Lwowskim (1895).

Ad 2) Ze spisu rozdziałów łatwo się zorientować, że autor najwięcej uwagi poświęcił zadaniu drugiemu i temu książka zawdzięcza swój tytuł Sześć rozdziałów to relacja poglądów filozoficznych wybitnych polskich filozofów: Kazimierza Twardowskiego, Jana Łukasiewicza, Tadeusza Kotarbińskiego, Kazimierza Ajdukiewicza, Marii Ossowskiej, Leona Chwistka, Benedykta Bornsteina i Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Warto zwrócić uwagę na uboczną w stosunku do głównego tematu książki sprawę, mianowicie problem wzajemnego stosunku filozofii analitycznej i marksizmu w Polsce. Autor poświęca temu tematowi osobny rozdział. Po II Wojnie Światowej w Polsce marksizm miał destrukcyjny wpływ na filozofię analityczną, a z drugiej strony filozofia analityczna miał konstruktywny wpływ na tworzenie się „nowego marksizmu” w Polsce. Można powiedzieć, że środowisko analityków i logików wpłynęło na dogmatyczną myśl marksistowską nadając jej nowe cechy, szlif logiczny, który dopomógł jej stać się filozofią dla filozofów, a nie ideologią dla ideologów.

Ad 3) Autor stara się na 25 stronach przedstawić różnice i podobieństwa filozofii analitycznej polskiej i brytyjskiej. W obu krajach filozofia analityczna była sucha i „nie podniecająca”. Nie dostarczała bowiem żadnych rozwiązań dla ludzkich problemów ani pocieszenia. Równocześnie jednak zdobyła nieznany dotychczas respekt za swoją ścisłość metodologiczną oraz krytyczną postawę.

Charakterystyczny, chociaż w pełni zrozumiały, jest fakt, że filozofia brytyjska miała bez porównania większy wpływ na filozofów w innych krajach. W związku z tym trudno nie wyrazić ubolewania, że najwybitniejsze dzieła polskich filozofów analitycznych nie zostały opublikowane w języku angielskim. Ich przekłady, jeżeli się w ogóle ukazały, to po tak długim czasie, że miały wartość raczej historyczną.

Polska filozofia była mniej zróżnicowana od brytyjskiej, ale za to bardziej systematyczna w rozpatrywaniu raz podjętych problemów. W odróżnieniu od brytyjskiej filozofii, w Polsce semantyka spełniła rolę czynnika nadającego homogeniczność całemu ruchowi.

Autor zwraca uwagę na to, że polska szkoła filozofii analitycznej ma swój własny rodowód i zachowała swoją niezależność nawet w okresie dynamicznego rozwoju Koła Wiedeńskiego. Jej oryginalne osiągnięcia mogą być porównywane z najwybitniejszymi osiągnięciami myśli filozoficznej na Zachodzie. I tak np. Łukasiewicz koncepcja filozofii naukowej stanowi osiągnięcie tego samego poziomu, co koncepcja filozofii naukowej Russella czy Reichenbacha. Nominalizm Kotarbińskiego jest bardziej konsekwentny niż nominalizm Goodmana czy Quine'a. Kotarbińskiego redukcja kategorii do kategorii rzeczy wyprzedza Ryle'a koncepcję błędu kategorii (*category mistake*). Konkretyzm Kotarbińskiego sformułowany w „Elementach Logiki” w 1929 roku wyprzedził o równe 20 lat pansomatyzm Ryle'a sformułowany w „The Concept of Mind” w 1949 roku. Tarskiego definicja prawdy stała się punktem wyjścia dla wszystkich dalszych dociekań semantycznych w odróżnieniu od dociekań syntaktycznych charakterystycznych uprzednio dla Koła Wiedeńskiego. Ajdukiewicz koncepcja epistemologii semantycznej i jej konkretne rezultaty należą do najwybitniejszych osiągnięć we współczesnej teorii poznania. Koncepcja teorii moralności Ossowskiej do dziś jest jedną z najbardziej konsekwentnych i szczegółowo opracowanych programów badań. Jej analizy języka moralności wyprzedzają wyraźnie prace szkoły Oxfordzkiej w tej dziedzinie.

Z pięciu szkół filozoficznych, które mają wpływy na Zachodzie, cztery są twórczo rozwijane przez polskich filozofów. Są to: filozofia analityczna, fenomenologia, marksizm i tomizm. Natomiast nie dostrzega się wśród polskich filozofów przedstawicieli kierunku filozofii egzystencjalistycznej.

Maria KAWCZAK

Nadeślane nowości wydawnicze

- POPIEL (Karol). *Od Brześcia do „Polonii”*. Str. 328 i 4 nlb. (Wyd. „Odnova”, Londyn, 1967, cena 30 sh.).
- O Polsce i Wojnie. *Myśli i Aforyzmy Józefa Piłsudskiego*. Wybrał, przygotował do druku i wydał Konrad Libicki. Str. 52. Okładkę i wyklejkę projektował J. L. Englert. (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1967).
- CIOŁKOSZ (Adam). *Ludzie P.P.S. 1892-1967*. Str. 104. Rysunek Krystyny Herling-Grudzińskiej. (Wyd. Centralny Komitet Polskiej Partii Socjalistycznej, Londyn, 1967, cena 7/6).
- TERLECKI (Tymon). *Tysiąclecie Polski Chrześcijańskiej*. Wkład do Kultury Powszechnej. Przedmowa Mariana Kukiela. Str. 72. (Nakł. „Dziennika Chicagowskiego”, Chicago, 1967).
- Księga Pamiątkowa ku czci Konrada Górskiego*. Str. 454 i 2 nlb. (Wyd. T-wo Naukowe w Toruniu, Tom XIX, Zeszyt 1 „Prac Wydziału Filologiczno-Filozoficznego, Toruń, 1967, cena zł. 70,—).
- MACZEK (Stanisław, Général). *Avec mes blindés*. Pologne - France - Belgique - Hollande - Allemagne. Str. 344. Préface de Gén. M. Kukiel. (Wyd. Presses de la Cité, Paris, 1967).
- La nouvelle vague littéraire en Ukraine*. Textes recueillis et présentés par Myroslawa MASLOW. Str. 256 (Wyd. P.I.U.F., Paris, 1967, cena F. 20,00).
- THORNWALD (Jürgen). *La grande aventure de la criminologie*. Cent ans de police scientifique à travers les crimes célèbres. Przekład z niemieckiego J. M. Ursyna. Str. 411 i 3 nlb. (Wyd. Albin Michel, Paris, 1967).
- H. Leivich poète yiddish. *Hommages et textes choisis recueillis par M. WALDMAN*. Avant-propos de Marc CHAGALL. Str. 192 tekstu; str. 50 fotografii i 4 nlb. (Wyd. Editions „Gopa”, Paris, 1967).
- La guerre arabe contre Israël. Déclarations et Documents*. Str. 56. Wyd. Ministère des Affaires Etrangères, Div. de l'Information, Jerusalem, czerwiec, 1967).
- L'agression israélienne et ses conséquences* par M. Bardeche, Fr. Duprat, P. Fontaine et P. Rassinier. Numéro spécial „Défense de l'Occident”, Juillet-Août 1967).
- WYRWA (Tadeusz). *L'Elaboration du nouveau code civil en Pologne Populaire*. Str. 247-256. (Odbitka z „Revue Hellénique de droit international”, 19-ème année (1966), Ateny, 1967).
- KONCZACKI (Zbigniew A.). *Public Finance and Economic Development of Natal, 1893-1910*. Str. 224. (Wyd. Duke University Press, Durham, N.C., 1967, cena dol. 7,50).
- JORDAN (Z. A.). *The Evolution of Dialectical Materialism*. A Philosophical and Sociological Analysis. Str. 490 i 6 nlb. (Wyd. Macmillan, London-Melbourne-Toronto, St Martin's Press, New York, 1967, cena 60 sh.).
- GRABOWSKI (Z.A.). *The English Psycho-Analysed*. Preface by George Mikes. Str. 308. Wyd. Sidgwick

- & Jackson, London, 1967, cena 20 sh.).
- LAVROV (Peter). *Historical Letters*. Translated with an Introduction and notes by James P. Scanlan. Str. 372. (Wyd. University of California Press, Berkeley and Los Angeles, 1967, cena dol. 9,50).
- Polish Writing Today*. Edited by Celina WIENIEWSKA. Str. 208. (Wyd. Penguin Books, W. Bryt. 1967, cena 6/-).
- The USSR and Arab Belligerency*. Str. 88. (Wyd. Information Division. Ministry for Foreign Affairs, Jerusalem 1967).
- Tri-Quarterly*, Zeszyt 9, wiosna 1967. Wydanie specjalne poświęcone tradycji i odnowie w literaturze Europy Wschodniej. (Wyd. Northwestern University, Evanston, Illinois, cena zeszytu dol. 1,50).
- LERNER (Arthur). *Follow-up*. Poems. Str. 72. (Ed. Swordsman Publishing Co. Los Angeles, Calif., september 1967, cena dol. 3,50).
- WESTFAL (Stanisław) *Why Learn Polish?* wraz z bibliografią prac autora. Str. 54. (Wyd. Anglo-Polish Society, Londyn, 1967).
- WESTFAL (Stanisław). *The Polish Language*. Str. 108. (Odbitka z „Antemurale X”, Rzym-Londyn, 1966).
- FOLEJEWSKI (Zbigniew). *Maria Dąbrowska*. Str. 123 i 5 nlb. (Twayne's World Authors Series. A Survey of the World's Literature). Dział: Poland. (Wyd. Adam Gillon, State Univ. of N.Y. College at New Paltz, TWAS 16).
- RÉVÉSZ (László). *Fünfzig Jahre Weltkommunismus. Die Rolle der KPdSU*. Str. 146. Varityper. (Wyd. Verlag Schweizerisches Ost-Institut, Berne, 1967).
- SAGER (Peter). *Kairo und Moskau in Arabien*. Str. 234. (Wyd. Schweizerisches Ost-Institut, Berne, 1967).
- SALZMANN (Friedrich). *Mit der Freiheit leben*. Str. 237. (Wyd. Verlag Schweizerisches Ost-Institut, Berne, 1967).
- SLEZAK (Czesław). *Wołam cię Jeruzalem*. Poezje. Wydanie dwujęzyczne polsko-hebrajskie. Z polskiego przełożył A. Gilboa. Strony nie-numerowane. Wstęp Dawida Lazera. (Wyd. World Federation of the Bergen-Belsen Associations Inc., Tel-Aviv-New-York).
- On Trial*. W języku greckim. Str. 196. (Wyd. Neos Cosmos, Ateny, 1967).
- On Trial*. W języku pak-bengali. (Wyd. M/S Khoshroj Kitabmahal, Dacca, 1967).
- On Trial*. W języku japońskim. (Wyd. Arechi Shuppan-sha, Tokyo).
- TERTZ (Abram). *Ljoebimov*. przeł. na jęz. holenderski MarkoFondse. Str. 173. (Wyd. Van Ditmar, Amsterdam, 1967).
- TERTZ (Abram). *Lubimow*. W języku bengali. (Wyd. Ekti Sharohar Itikatha).
- SZANKOWSKYJ (Ihor). *Sto poetiw — sto piseń*. Str. 109. (Wyd. „Na Hori”, seria „Dla Amatorów”, München, 1966).
- DRAJ-CHMARA (Mychajło). *Poezji*. Str. 295. (Nakł. żony Autora, New York, 1964).
- RAJS (Emmanuil). *Pod głuchimi niebiesami*. Iz dzienników 1938-1941. Str. 115. (Wyd. Mieźdun. Litieraturn. Sodružestwo, New York, 1967).
- STANKEWICZ (Stanislau). *Biela-ruskaja Padsawieckaja Literatura pierszaj paławiny 60-ych gadou*. Str. 169. (Wyd. Biełaruski Instytt Nawuki i Mastactwa, New-York-München, 1967).
- Zapisy*. Księga 4. pod red. St. Stankewicza. Str. 268. (Wyd. Biełaruski Instytut Nawuki i Mastactwa. München 1966).

DATA	POLITYKA
16-9-67	Pojednanie Polski z Niemcami jest podstawowym elementem utrwalenia pokoju i ładu w Europie. Jest tak samo ważne, jak pojednanie Francji z Niemcami — powiedział minister spraw zagranicznych NRF, Brandt.
17-9-67	Z Warszawy nadchodzą wiadomości o represjach stosowanych przez partię wobec dziennikarzy, którzy odmawiali udziału w kampanii anty-izraelskiej.
18-9-67	Po konferencji naukowej RWPG w Moskwie delegat węgierski wystąpił z ostrą krytyką tendencji nacjonalistycznych i autarkicznych, występujących w pracach tej organizacji.
19-9-67	Rumuński min. spraw zagranicznych, Manescu, wybrany został przewodniczącym 22 Sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych.
20-9-67	Stany Zjednoczone podjęły decyzję budowy systemu pocisków przeciw-rakietowych typu ABM, które mają chronić Amerykę przed niespodziewanym atakiem Chin.
21-9-67	Komisja Wspólnego Rynku ogłosiła raport zalecający przyjęcie nowych członków, m.in. Wielkiej Brytanii.
22-9-67	W Moskwie odbyły się tajne narady polsko-sowieckie z udziałem Breżniewa, Kosygina i Podgórnego oraz Gomułki i Cyrankiewicza. Zdaniem korespondentów zachodnich omawiano sprawę jedności ruchu komunistycznego.
23-9-67	Członek Polithiura Z. Kliszko wygłosił przemówienie polityczne na Zjeździe pisarzy Ziemi Północno-Zachodnich w Szczecinie, atakując Amerykę i NRF a podkreślając znaczenie zbliżenia polsko-francuskiego.

KULTURA I NAUKA

Anty-liberalny sowiecki miesięcznik *Oktjabr* wystąpił z żądaniem wolności myśli i swobody dyskusji w... biologii. Przez wiele lat *Oktjabr* był gorącym zwolennikiem Łysienki.

Zatwierdzono plany konserwacji zabytków w Zamościu. Prace konserwatorskie obejmą 109 kamieniczek i Ratusz.

Tygodnik Związku Pisarzy Czechosłowackich *Literarni Noviny* zamieścił, pierwszy od 1948 r., artykuł poświęcony pamięci prezydenta T. Masaryka.

Aktorka, reżyser i kierownik Państwowego Teatru Żydowskiego w Warszawie, Ida Kamińska, obchodziła 50-lecie pracy artystycznej.

Dramaturg czechosłowacki P. Kohout zaprzeczył jakoby podpisał „Manifest do Świata Zachodniego” opublikowany w prasie zachodniej.

Sopran, Jadwiga Gadulanka, zdobyła drugą nagrodę na konkursie śpiewaczym w Monachium. Pierwszej nagrody nie przyznano.

Telewizja belgijska przeprowadziła półgodzinny wywiad z prof. J. Łukaszkowskim dyr. Sekcji Nauk Politycznych w Kolegium Europejskim w Bruges na temat jego artykułu „La CEE et l'Europe de l'Est”, ogłoszonego w *La Revue Nouvelle*. Artykuł ten wywołał zainteresowanie w europejskich kołach naukowych i dyplomatycznych.

Telewizja brytyjska nadała sztukę pisarza czeskiego, V. Havela, pt. „Memorandum”. Jest to satyra na biurokrację. Prasa zamieszcza wiele pochlebnych recenzji porównując Havela do Kafki.

RÓŻNE

W Warszawie zmarł znany karykaturzysta i dziennikarz J. Szwajcer-Jotes.

W Sao Paulo zmarł w wieku lat 59 Stefan Marek Neuding, działacz społeczny, inicjator „Pomnika Tysiąclecia” w Sao Paulo i twórca „Klubu 44”.

Polska zdobyła 4 miejsce w zawodach lekkoatletycznych o puchar Europy.

Z Kijowa nadeszła wiadomość o śmierci w wieku lat 77 wielkiego poety ukraińskiego Pawła Tyczyny.

„Pozwólcie umrzeć chorym na uremiej, gruźlikom i starym powyżej lat 65” — zaleca wewnętrzne zarządzenie w jednym ze szpitali londyńskich.

Młody uczoney sowiecki dr Tkaczenko, którego dyplomaci sowieccy porwali na ulicach Londynu i usiłovali siłą wsadzić do samolotu, oświadczył potem władzom brytyjskim, że jest chory i pragnie wrócić do Rosji.

W Cambridge, w Anglii, zmarł jeden z najwybitniejszych uczonych świata, fizyk nuklearny Sir John Cockcroft.

Jedyna córka amerykańskiego sekretarza Stanu, Ruska, wyszła za mąż za Murzyna.

Nowym prezesem Związku Narodowego Polskiego wybrany został na miejsce 70-letniego K. Rozmarka, adw. Alojzy Mazewski.

DATA	POLITYKA
24-9-67	Wielka Brytania i Sowiety zawarły umowę w sprawie wymiany informacji w zakresie najnowszej techniki lotniczej i elektronicznej.
25-9-67	Sowiecki minister spraw zagranicznych, Gromyko, odrzucił propozycję amerykańską zwołania konferencji genewskiej w sprawie Wietnamu.
26-9-67	W wyborach samorządowych we Francji komuniści i gaulliści powiększyli swój stan posiadania kosztem ugrupowań centrowych i socjalistów.
27-9-67	A. Szelepin, były szef KGB pozbawiony został stanowiska sekretarza na plenum KC sowieckiej partii.
28-9-67	IX Plenum KC PZPR zatwierdziło program komasacji gruntów zalecając jednocześnie zwiększanie obszaru PGR'ów. Jednakże chłopci indywidualni będą mogli także nabywać ziemię. Papież Paweł VI otwiera Synod.
29-9-67	Władze w Polsce odmówiły wydania paszportów na wyjazd do Watykanu kardynałowi Wyszyńskiemu i biskupowi Kaczmarkowi. Wobec tego pozostali członkowie delegacji polskiej na Synod watykański, z kardynałem Wojtyłą na czele postanowili pozostać w Polsce na znak protestu i solidarności.
30-9-67	Prezydent Johnson wyraził gotowość podjęcia rozmów z Ho Szi-minhen i innymi szefami państw zainteresowanych by doprowadzić do pokojowego rozwiązania konfliktu wietnamskiego.
1-10-67	Papież wyraził żal i ubolewanie z powodu nieobecności biskupów polskich na Synodzie i potępił ograniczanie praw Kościoła.

KULTURA I NAUKA

Władze sowieckiego Związku Pisarzy oskarżyły A. Sołżenicyna, że idzie śladami Swietłany Alellujewy, córki Stalina i że stał się narzędziem anty-sowieckiej propagandy.

Grupa uczonych polskich pod kierownictwem prof. Michałowskiego kieruje pracami nad przesunięciem świątyni faraona Ramzesa II w Egipcie.

W Nowym Jorku odnaleziono nieznane opowiadanie autobiograficzne, James'a Joyce, pt. „Giacomo Joyce”.

Greckie władze wojskowe aresztowały znaną dziennikarkę Helenę Vlachos. Wydawała ona czołowy dziennik grecki *Kathimerini*.

Władze komunistyczne w Czechosłowacji przekazują tygodnik Związku Pisarzy *Literarni Noviny* pod zarząd ministerstwa Kultury i Informacji. Skład całej redakcji zostaje zmieniony.

Londyński *Times* omawia muzykę Pendereckiego z okazji ukazania się w Anglii płyty z nagraniem „Pasji S. Łukasza”.

RÓŻNE

W Londynie zmarł b. d-ca bryg. spadochronowej gen. S. Sosabowski.

W Boliwii rozpoczął się proces młodego pisarza francuskiego Regis Debray. Jest on oskarżony o współpracę z partyzantami kierowanymi przez b. ministra kubańskiego Che Guevara.

W Poznaniu zmarł prof. Czesław Znamierowski.

Indie. Przedterminowe zwalnianie więźniów, którzy zgodzą się poddać sterylizacji.

W Paryżu zmarł zabójca Rasputina, książę Jussupow.

Zmarł Marian Wnuk, znany artysta-rzeźbiarz.

Zmarł w Warszawie w wieku lat 77 prof. dr Aleksander Birkenmajer, wybitny bibliotekarz i bibliotekoznawca.

Zmarł w wieku lat 87 Jerzy Loth, znany geograf i działacz sportowy.

DATA	POLITYKA
2-10-67	Skrajnie nacjonalistyczna partia NPD w Niemczech Zachodnich odniosła poważny sukces w wyborach prowincjonalnych w Bremen, kosztem socjalistów.
3-10-67	Organ partii czechosłowackiej <i>Rude Prawo</i> wystąpił z ostrzeżeniem, że jeśli poszczególni kierownicy przedsiębiorstw nie dopomogą w opanowaniu inflacji, to rząd może zahamować reformy gospodarcze.
4-10-67	Komisja Finansowa amerykańskiej Izby Reprezentantów odrzuca wniosek prezydenta Johnsona o 10% podwyżkę podatków. Wielu ekonomistów twierdzi, że grozi to Stanom Zjednoczonym poważnym kryzysem finansowym.
5-10-67	Senator Hartke, Demokrat z Indiany, oświadczył, że grupa wojskowych wywiera presję na prezydenta Johnsona, by podjął decyzję inwazji lądowej Północnego Wietnamu.
6-10-67	Po wizycie króla Husseina w Moskwie ogłoszono, że Sowiety udzielią Jordanii pomocy gospodarczej i technicznej. Wielu korespondentów przypuszcza, że chodzi tu także o pomoc wojskową.
7-10-67	Minister spraw zagranicznych NRF, Brandt wezwał Sowiety do zawarcia z Niemcami traktatu o wzajemnym wyrzeczeniu się siły w rozwiązywaniu sporów. Niemcy dla nikogo nie powinny być postrachem — powiedział Brandt, a szczególnie Polska może żyć bez obaw o swe obecne granice.
8-10-67	W Hiszpanii odbyły się pierwsze od czasu wojny domowej wybory. Większość kandydatów stanowili zwolennicy rządów generała Franco. Frenkwencja wyborcza była niewielka.

KULTURA I NAUKA

Nowym redaktorem tygodnika *Literarni Noviny* został dr J. Zelenka.

W Warszawie rozpoczął się przy drzwiach zamkniętych proces Niny Karasow, sekretarki niewidomego pisarza M. Szlechtera. Świadcami są m.in. Kuroń i Modzelewski.

W Londynie ukazała się książka Z. Grabowskiego *The English Psychoanalysed* z przedmową George Mikes'a.

W Londynie otwarto wystawę malarstwa węgierskiego od XI do XVII wieku.

W Moskwie odbyła się premiera filmu pt. „Jeśli twój dom jest ci drogi”. Jest to film dokumentalny o wojnie światowej, w którym m.in. Żukow, Koniew i Rokossovski dyskutują problemy związane z przygotowaniem i prowadzeniem wojny. Film pokazywany jest na razie tylko wybranej publiczności.

RÓŻNE

Prasa brytyjska publikuje wiele szczegółów dotyczących działalności „czołowego szpiega sowieckiego w Anglii i b. agenta kontr-wywiadu brytyjskiego Philby. Przebywa on obecnie w Moskwie.

Zmarł w wieku lat 79 pisarz Karol Koźmiński.

W Darmstadtzie, w NRF, stanęło przed sądem 11 b. SS-manów oskarżonych o wymordowanie 30 tys. Żydów w Babim Jarze na Ukrainie.

Zmarł w Warszawie, w wieku lat 87, ks. Janusz Radziwiłł, czołowy działacz konserwatywny w okresie międzywojennym.

W Londynie zmarł wybitny dyrygent angielski Sir Malcolm Sargent.

Paryski *La Croix* wzywa do pojednania się Polski z Niemcami.

W. Brytania podpisała umowę z Polską o współpracy naukowo-technicznej.

W Londynie zmarł b. premier pierwszego po-wojennego rządu laburzystowskiego w Anglii Lord Attlee.

W Paryżu zmarł w wieku lat 72 działacz PPS i b. poseł na Sejm Zygmunt Zaremba.

W Paryżu zmarł w wieku lat 82 znany pisarz André Maurois.

DATA	POLITYKA
9-10-67	Związek Sowiecki podniósł budżet wojskowy o 15%. Inwestycje w przemyśle ciężkim pozostają na tym samym co dotychczas poziomie.
10-10-67	Z Chin nadchodzą wiadomości o wybuchu walk partyzanckich w prowincji Kwangtung.
11-10-67	Wielka Brytania zapowiada wycofanie swych wojsk z Adenu jeszcze przed końcem listopada br.
12-10-67	W ciągu następnych 20 lat będziemy mieli do czynienia z półtora miliardem Chińczyków uzbrojonych w broń atomową — powiedział amerykański sekretarz Stanu, Rusk, broniąc zasad polityki amerykańskiej w Azji.
13-10-67	Sowiety skróciły okres przymusowej służby wojskowej o rok wprowadzając jednocześnie przeszkolenie wojskowe w szkołach.
14-10-67	Wszystkie partie reprezentowane w parlamencie w Bonn wypowiedziały się za przyjęciem W. Brytanii do Wspólnego Rynku.
15-10-67	Episkopat polski oskarżył władze komunistyczne o poważne naruszenie wolności Kościoła, w związku z odmową wydania Kardynałowi Wyszyńskiemu paszportu na wyjazd na Synod Biskupów w Watykanie.

KULTURA I NAUKA

Premiera w Berlinie sztuki Hochhuta pt. „Żołnierze”, w której obarcza on Churchilla winą za śmierć gen. Sikorskiego. Sztuka została sceptycznie przyjęta przez krytykę.

Związek Pisarzy Sowieckich ostrzegł że wydawanie prac i utworów na Zachodzie uważane będzie za zdradę.

Sąd Najwyższy w Jugosławii złagodził wyrok wydany przez sąd okręgowy w Belgradzie na pisarza Mihajlo Mihajlowa z 4 i pół lat na 3 i pół roku więzienia.

Prasa brytyjska zamieszcza pochlebne recenzje z wystawionej w Londynie sztuki pisarza bułgarskiego Djagarowa pt. „Prokurator”.

Czechosłowacki Filmexport podpisał kontrakt na dostawę 20 filmów krótkometrażowych dla telewizji w Kalifornii oraz wielu filmów długometrażowych do Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Jury nagrody pisarskiej za najlepszą pracę związaną z Polską Podziemną, ufundowanej przez Koło AK, Oddział Manchester, przyznało jednomyślnie nagrodę Wł. Bartoszewskiemu i Z. Lewinównie za książkę pt. „Ten jest z ojczyzny mojej”, wydaną przez „Znak” w Polsce.

RÓŻNE

Przywódca rewolucjonistów w Ameryce Łacińskiej, Che Guevara, został zabity w walce z oddziałami rządowymi w Boliwii.

Londyński *Jewish Chronicle* donosi, że w Polsce zakazano działalności amerykańskiej organizacji pomocy Żydom „Joint”.

Brytyjska Komisja rządowa wyraziła zaniepokojenie z powodu masowego odpływu uczonych i techników z W. Brytanii do Ameryki.

Z Warszawy nadeszły wiadomości o niespodziewanej wizycie Z. Kliszki w Rzymie. Przypuszcza się, że chodzi tu nie tylko o nieoficjalne rozmowy na temat stosunków z Kościołem, lecz również o konsultacje z komunistami włoskimi na temat sporu z Chinami.

Z okazji 150-letniej rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki, Polsko-Szwajcarskie Towarzystwo Kościuszki organizuje uroczystości w Solurze. Analogiczne uroczystości odbyły się w Buenos Aires staraniem Związku Polaków.

Jugosłowiański teoretyk marksistowski, prof. S. Vracar, wystąpił z obroną systemu dwupartyjnego w krajach rządzonych przez komunistów.

Socjalista Klaus Schutz został wysunięty na stanowisko burmistrza Zachodniego Berlina.

Humor krajowy

OPOWIASTKI Z N.R.D.

Wczasowicze poszli na spacer do lasu. Nagle widzą, że spod krzaczka wychodzą dwa krasnoludki, ogromnie zmęczone i po prostu w opłakanym stanie. Wczasowicze ze współczuciem pytają:

— Co wam się stało kochane krasnoludki, dlaczego tak strasznie wyglądacie?

— A bo my jesteśmy krasnoludki od Królowny Śnieżki...

— Ależ królowna Śnieżka miała siedem krasnoludków... gdzie są pozostali?

— Już dawno uciekli do N.R.F. i dlatego my tak wyglądamy. Nie mamy ani chwili wytchnienia... cała robota spadła na nas dwóch...

Do Berlina Wschodniego przyjechała Brigitte Bardot i została zaproszona na obiad przez samego Ulbrichta. Po kilku toastach podochocony Ulbricht zwraca się do uroczej aktorki:

— Co mogłoby pani zrobić przyjemność? Jestem gotów spełnić każde Pani życzenie.

— Życzę sobie zatem, żeby kazał pan zburzyć mur oddzielający Berlin Wschodni od Zachodniego — powiedziała Brigitte.

— Ej filutka, filutka — zawołał Ulbricht — widzę, że koniecznie chcesz zostać ze mną sam na sam...

PYTANIA I ODPOWIEDZI

— Czy Bug jest potrzebny?

— Nawet bardzo, bo gdyby go nie było granica z Rosją byłaby na Wiśle.

— Jakie hasło będzie lansowane w Polsce na 1 Maja?

— Nie oddamy Związku Radzieckiego Chińczykom!

— Dlaczego sklep z wyrobami radzieckimi „Natasza” w Warszawie został przeniesiony i umieszczony w ten sposób, że tuż obok jest sklep węgierski, a naprzeciwko chiński?

— Rosjanom chodzi o to, żeby mieć Węgrów pod bokiem, a Chińczyków na oku.

— Jaki jest najradykałniejszy lek na komunizm?

— Chinina...

— Jaka jest różnica pomiędzy konstytucją amerykańską a radziecką?

— Konstytucja radziecka gwarantuje wolność wypowiedzi, a konstytucja amerykańska wolność po wypowiedzi...

— Czy w Polsce można krytykować partię?

— Można, ale to tak jakby całować tygrysa w d... Przyjemność niewielka, a niebezpieczeństwo duże...

- Czy Mao Tse-tung jest Żydem?
— Jeszcze by tego brakowało!



- Jak się będzie nazywał polski minister odbudowy po wojnie rosyjsko-chińskiej?
— Penk-Tynk...



- Co to jest zebranie partyjne?
— Mieszanina pieprzu z dżemem.
— ?
— No tak: jeden pieprzu — reszta drzemie.

OPOWIASTKI Z WARSZAWY

W barze mlecznym w Warszawie panienka wychyla się z okienka od kuchni i woła: „Naleśniki z serem — proszę odebrać”. „Ryz z jabłkami” — „Jajka na miękko!”. Klienci odbierają zamówione potrawy gdy nagle panienka woła: „Pierogi ruskie!”. Nikt się nie zgłasza. Panienka woła ponownie: „Pierogi ruskie” — „Kto chciał ruskich?”.

Na to głos z końca sali: — „Nikt nie chciał. Sami przyszli...”.



Towarzysze z Komitetu dzielnicowego pojechali nad Wisłę omawiać plany budowy nowej dzielnicy mającej powstać nad brzegiem rzeki. W pewnej chwili jeden z towarzyszy pochylił się i z kieszeni wypadła mu do wody legitymacja partyjna.

— Towarzyszu — zawołał robotnik łowiący opodał ryby — karta pływakka wam wypadła!



Do Fabryki Samochodów Osobowych w Warszawie przyjechał na praktykę... Japończyk. Zaraz następnego dnia, zapoznawszy się z technologią produkcji, stanął przy obrabiarce. Najpierw odmówił coś w rodzaju modlitwy w której powtarzały się słowa „Warszawa” i „F.S.O.” a następnie zaczął pracować z tak błyskawiczną szybkością, że już do południa wykonał 500% obowiązującej normy. Zaintrygowani robotnicy na próżno usiłowali dowiedzieć się co zawierają słowa tajemniczej modlitwy, które niewątpliwie łączyły się z tak nadzwyczajną wydajnością pracy Japończyka. Ale Bezpieka czuwała. Następnego dnia gdy Japończyk rozpoczął poranną pracę od swojej modlitwy, funkcjonariusze Bezpieki nagrali ją na taśmę. Wkrótce zmobilizowani rzeczoznawcy odcyfrowali tajemnicze słowa Japończyka. Oto one: „Drodzy polscy przyjaciele! Przyjechałem do Warszawy jako gość F.S.O., więc wybaczenie, że nie biorę udziału w waszym strajku...”

AUTENTYCZNE

Na zebraniu Związku Literatów Polskich podano do wiadomości, że Leopold Tyrmand został skreślony z listy członków Związku.

Niezorientowana w bieżących wydarzeniach, członkini Związku, osoba w wieku podeszłym, pyta głośno:

— A za cóż to kolegę Tyrmanda skreślono ze Związku?

Nikt z zarządu nie spieszył się jakoś z wyjaśnieniami, ale wreszcie ktoś z końca sali wyjaśnił leciwie przedstawicielce literatury dziecięcej:

— To koleżanka nie wie, że Tyrmand wyjechał zagranicę?

Na co staruszka:

— Mój Boże! To już nawet za to wyrzucają ze Związku Literatów!

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Londyn, 18 września 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

W recenzji Wacława Jędrzejewicza o dziele Józefa Rotschilda „Piłsudski's coup d'état” (Zeszyty Historyczne nr 12) znajduje się wzmianka o rozkazie gen. Rozwadowskiego z Belwederu do płk. Modelskiego w Cytadeli, w nocy 12 maja, nakazującym likwidację oddziałów Piłsudskiego zanim otrzyma posiłki, z rzekomym zleceniem: „Koniecznym jest ująć lub zabić Piłsudskiego i innych kierowników buntu”.

Byłem wtedy szefem sztabu przy Gen. Rozwadowskim, mam brzmienie tego rozkazu dobrze w pamięci. Punkt przytoczony polecał dążyć do *ujęcia przywódców buntu „oszczędzając ich życia”*.

Takie brzmienie zapamiętał również gen. Kukiel, który stworzył wtedy (rano 13 maja) rozkaz ten w przebitce do wiadomości.

Gdy po walkach byliśmy wraz z gen. Rozwadowskim internowani w Wilanowie doszły nas wydane w toku walk dodatki nadzwyczajne i wyczytaliśmy tekst tego przejętego rozkazu zmieniony przez wstawienie wyrazu „*nie*” na „*nie oszczędzając ich życia*”. Protestowaliśmy przeciw takiemu przeinaczeniu jego treści, oczywiście przez niedorzeczność samego sformułowania.

Jest zdanie p. Jędrzejewicza że rozkaz w takim brzmieniu mógł być poczytany za „zamierzenie zamordowania Piłsudskiego”. Jego autentyczne brzmienie wskazywało przeciwnie — na chęć zapobieżenia takiej ewentualności. Generał Rozwadowski był nie tylko znakomitym żołnierzem, ale rycerskim i szlachetnym.

Zniekształcenie tego rozkazu oczywiście zwiększyło — jak pisze Jędrzejewicz — zawziętość żołnierzy Piłsudskiego. Odbiło się też na dalszych losach generała Rozwadowskiego zmarłego — jak sam twierdził — wskutek otrucia.

Jeśli rozkaz ten istnieje w oryginale w Instytucie im. Piłsudskiego, powinien być poddany komisyjnemu zbadaniu jego autentyczności, z udziałem rzeczoznawców. Sprawa ta, gdy poruszono ją publicznie i nadano jej rozgłos w dziele Rotschilda i w polskich wydawnictwach, powinna być ostatecznie wyświetlona.

Łączę serdeczne pozdrowienia,

gen. W. ANDERS

PS. Otrzymałem teraz do wglądu fotokopię rozkazu Generała Rozwadowskiego do Płk. Modelskiego z Belwederu 13 maja 1926 r. godz. 3.10 rano a w nim w wierszu 8-ym słowa: „Starać się dostać w swe ręce przywódców ruchu *nie oszczędzając ich życia*”.

Rozkazu tego w tej formie nie widziałem a raczej pamiętam tekst, w którym było powiedziane o oszczędzaniu a nie o nieoszczędzaniu.

Zachodzą poważne wątpliwości czy wiersz 8-ty rozkazu wcześniejszego nie uległ przeróbce, czego jakby był ślad. Tym bardziej wydaje się konieczne zbadanie oryginału przez rzeczoznawców.

gen. W. ANDERS

10 października 1967.

KIEROWNIK
KANCELARJI WOJSKOWEJ
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

Belweder, dni 13 / 1926

404 3-16

D o

Pułkownikom O D E L S K I E G O

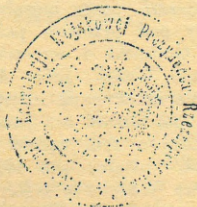
d-4 30 pp - 2 kadr

10 pułk już przybył - Szkoła Podchorążych kompletnie gotowa do akcji - oddziały poznańskie które mają przybyć do dnia będą użyte razem z poprzednimi do bezwzględnego natarcia na centrum miasta Plac Seki, i Kmdę Placu. Przedtem nastąpi zlikwidowanie 1-go pułku szwoleżerów w jego koszarach.

Wyżyskując wczesne rannne godziny natrzeć bezwzględnie na buntowników, którzy obsadzili Plac Mostowski i głównie Kmdę Miasta i starać się dostać w ręce przywódców ruchu nieoszczędzając ich życia.

Wykonują natarcie 71. pp. i 30. pp. wsparty wybranymi oddziałami sztuki artylerzystów, których resztę użyć dla obsadzenia i utrzymania Cytadeli.

Choćby cały szereg pewnych pułków jest zedyrgowany do Stolicy jednak pośpiech w akcji dalszego konieczny, że buntownicy ściągają posiłki z Wilna a chociaż ich w drodze będziemy opóźniać - to jednak należy zlikwidować cały incydent przed ich nadejściem. Liczę na energję i dzielność obu Pułkowników i ich oddziałów.



Rozwadowski

Elmhurst, 26 września 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W swym liście do redakcji gen. Anders kwestionuje tekst rozkazu gen. Rozwadowskiego wydanego w nocy z 12 na 13 maja 1926 r. (ściśle 13 maja

o godz. 3.10 rano). Według niego rozkaz polecał dążyć do ujęcia przywódców buntu „oszczędzając ich życie”.

Jak prof. dr Rotschild, autor książki „Piłsudski's Coup d'Etat” zaznaczył na str. 96, oryginał wspomnianego rozkazu znajduje się w aktach Komisji Likwidacyjnej gen. Żeligowskiego w archiwum Instytutu J. Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Załączam fotokopię oryginału tego rozkazu, opatrzonego własnoręcznym podpisem gen. Rozwadowskiego i pieczęcią Kierownika Kancelarii Wojskowej Prezydenta Rzeczypospolitej.

Łączę wyrazy szacunku,

Wacław JĘDRZEJEWICZ

Paryż, 19. IX. 1967.

Drogi Panie Redaktorze,

Może i Leopold Tyrmand ma rację pisząc („Kultura”, wrzesień br.), że jestem wrażliwy na to co mi się wydaje „ciekawe” i „zabawne” (mimo że nie jestem arystokratycznego pochodzenia).

Rzeczywiście zabawną parodią marksizmu jest przypisywanie różnic między nami temu, że jako dziecko Tyrmand nie miał wanny w mieszkaniu, a ja miałem.

Równie mnie ubawiło powiedzenie, że uważam to co Adam Schaff pisze o alienacji za „zabawne”. Wiele różnych cech przypisuje się Schaffowi, ale nikt chyba jeszcze nie powiedział, że jest on „zabawny”. Tu nawias: Tyrmand pisze, że Schaff „pozbawiał posad i emerytur starych, inaczej myślących ludzi”. Jednym z głównych powodów mego pozytywnego stosunku do prof. Schaffa jest to co mówił mi o nim choćby prof. Stanisław Ossowski (żeby nie wymieniać żyjących): w okresie stalinizmu Schaff zapewnił swym przeciwnikom ideowym, którzy w innych krajach demokracji ludowej byli likwidowani, nie tylko materialną egzystencję, ale możliwość „szufladowej” pracy naukowej.

Odpowiedź Tyrmanda jest tak mętna, zawiera ona tyle sprzeczności, że muszę sprecyzować jakie są zasadnicze różnice między nami.

W swych „Porachunkach Osobistych” Tyrmand pisze stale „Kottowie”. Jan Kott jest dla niego symbolem pewnej grupy polskich intelektualistów. Może chodzić tylko o pisarzy, którzy wstąpili do partii w latach 1944-45, byli związani z grupą „Kuźnicy”, przeszli przez moralny kryzys w latach 1953-55, dali intelektualne podwaliny pod przewrót październikowy, oparli się coraz bardziej reakcyjnej linii Gomułki i wreszcie podpisali protest 34-ch. „Kottowie” — to choćby Adam Ważyk, Jerzy Andrzejewski, Paweł Hertz, Juliusz Żuławski. Jest to jedyna obiektywna interpretacja tego kolektywnego pojęcia. Dla tych „Kottów”, powtarzam raz jeszcze, mam szacunek. Czy Tyrmand nimi pogardza? Trudno o tym sądzić, gdyż pisze on na przykład, że „naród” uważał „swoich” pisarzy „za błaznów, a ich nagłe wolty za szmatławość” natomiast słowa Ważyka o teź „wolcie” „brzmiały poważnie i autentycznie, a nawet wzruszająco”. Tyrmand wprawdzie pisze wyraźnie: „wszyscy Kottowie, Ważykowie, Andrzejewscy razem wzięci”, ale zaraz potem: „wymienienie (Ważyka) jednym tchem z Janem Kottem przynosi mu moim zdaniem ujmę”. Wydaje się zatem, że pojęcie „Kottowie” jest u niego zdecydowanie ujemne w zastosowaniu do Jana Kotta, zaś częściowo dodatnie w odniesieniu do innych „Kottów”. Powoływanie się na rzekomą złą opinię o Janie Kocie niektórych sygnatariuszy protestu 34-ch jest nieuczciwym chwytem polemicznym, gdyż nikt z nich nie może na to publicznie odpowiedzieć.

Tyrmand przypisuje mi złą wiarę w interpretacji ustępu z jego artykułu w którym twierdzi, że „Kottowie” są w oczach średniego aparatu administracyjnego „sympatyczną alternatywą” dla Gomułka. Pojęcie „alternatywy” jest jednoznaczne i śmieszne jest tłumaczenie Tyrmanda że nie chodzi mu o alternatywę polityczną. Zaś „średni aparat administracyjny” w Polsce to nie ambasador Michałowski ani pani Blatmanowa, ale, prowincjonalni aparatczycy, którzy na pewno dla Kotta, ani dla Ważyka żadnej sympatii nie mają — jeśli w ogóle o nich słyszeli.

Tyrmand pisze: „wielu spośród sygnatariuszy (manifestu 34-ch) jest godnych w moim przekonaniu najwyższego uznania i poważania”, ale natrzęsa się z tego, że wyraziłem mój najwyższy szacunek bardziej ogólnie dla wszystkich którzy manifest podpisali, z których *większość* odbyła ową „woltę”, uważaną przez Tyrmanda (wraz z „narodem”) za „szmatławość”.

Powtarzam raz jeszcze co powiedziałem w dyskusji: wiem od szeregu wspólnych przyjaciół, że Tyrmand zachował się w okresie stalinowskim więcej niż nienagannie: pomógł wielu ludziom którzy na to ze wszelkich miar zasługiwali. Dodam, że bardzo lubię „Złego”, to współczesny polski odpowiednik „Mystères de Paris” Eugène’a Sue, jednej z moich ulubionych książek.

Ani jednego ani drugiego usprawiedliwienia nie ma Maciej Gruby, którego podejrzewam o naiwną parodię tyrmandowskich „Porachunków osobistych” (rzekomo będących jego wzorem). Ta martyrologia polskiego chłopięcia w elitarnej szkole dla dzieci partyjnych dygnitarzy, którzy zapraszają go na czekoladę i obwołą Zimami jest tak zabawna, że należałoby poddać jej mimowolny humor dokładnej analizie. Ograniczę się do dwóch przykładów:

1) Maciej Gruby wyrzuca swojej szkole, że machiawelicznie ukrywała przed uczniami istnienie „południowej partii Afryki”. Dopiero dziś odkrywa on przyczynę tej zmywy milczenia — okazuje się, że koncentracyjny system niewolniczej pracy, której poddani są Murzyni w kopalniach Południowej Afryki, uniemożliwianie Murzynom studiów i odmowa elementarnych praw obywatelskich to „znacznie mniej ciężkie niż w naszym rodzimym, czerwonym *apartheid*”.

2) Kto „wodzi rej” w dyskusjach klubu Adama Michnika? Ci sami Józkwie Blassowie, Witkowie Rabinowiczowie, Krzyśkwie Topolscy, Piotrkowie Fejginowie, których „przywileje” stanowią temat artykułu i przedmiot oburzenia autora. Jeśli polska „nowa klasa” wychowuje takich dekabrystów, to nie jest z nią tak źle i wznoszę symboliczny okrzyk „niech żyje towarzyska Blatmanowa, jej sympatia dla Kottów i jej wpływ na młode pokolenie”.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

K. A. JELEŃSKI

P.S. Te dwa artykuły tak zaostrzyły mi apetyt, że jak to rzekomo zwykle czynią Gomułka, Kłiszko i Moczar przeczytałem cały numer „Kultury”. Nie mogę oprzeć się pewnej pedanterii, która wydaje mi się nieodzowna. Jan Bartel de Weydenthal zadał sobie trudne zadanie streszczenia na jednej stronie też Marshalla McLuhana. Tytuł ostatniej popularnej i żartobliwej książeczki autora „Understanding media” i „The Gutenberg Galaxy” został jednak przekreślony. „The medium is the message” to McLuhanowski slogan powszechnie dziś używany jako stereotyp w anglosaskich dyskusjach intelektualnych. McLuhan zatytułował swą książeczkę (będącą poprzez swą szatę graficzną próbą „wcielenia” jego teorii) „The Medium is the Massage” — gra słów w odniesieniu do pierwotnego sloganu.

Sklonny jestem winić za tę omyłkę korektora, gdyż polskie tłumaczenie tytułu („Pod presją komunikacji”) może odnosić się tylko do masażu, a nie do „message’u”.

New York, październik 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jak widać z powyższego, p. Jeleński pisząc swój list był w wybornym humorze. Wszystko co do niego adresowałem wydaje mu się bądź śmieszne, zabawne, bądź parodią. W tak szampańskim nastroju nie trudno było mu zastosować wobec mego tekstu lekkoskrzydłej metody niefrasobliwych przeinaczeń. Jest to urzekający system przycinania i przykrawania cudzych słów i myśli do upragnionych przez siebie znaczeń, cudowna satysfakcja popolemizowania sobie nie z tym co napisane, lecz z tym co wygodniej ganić, oskarżać, lekceważyć. Kogo to interesuje może położyć na stole mój tekst i obok p. Jeleńskiego odpowiedź — o ile ma na to czas, ochotę i stół. Rzecz wyjdzie jak w lusterku.

Swoją drogą frapuje niezachwiana pewność sądów p. Jeleńskiego w sprawach semantyki. Dlaczego dla Gomułki można być tylko *polityczną* alternatywą? Gomułka jest łysy, więc ktoś w bujnych lokach już stanowi dlań alternatywę. Żeby nie wspomnieć o jakimś w peruce.

Z poważaniem,

Leopold TYRMAND



Londyn, 15 września 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem ppłk. Nowaka umieszczonym we wrześniowym numerze „Kultury” a skierowanym do dr. K. Poznańskiego, b. długoletniego prezesa Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim w Wielkiej Brytanii, proszę o umieszczenie następujących uwag w Pańskim poczytnym piśmie.

Szpital Polski w Penley jest utrzymywany przez władze brytyjskie i na tych władzach ciąży obowiązek ponoszenia kosztów utrzymania chorych, dostarczanie im opieki lekarskiej, utrzymanie budynków szpitalnych w należnym stanie oraz pokrywanie wszelkich innych wydatków związanych z prowadzeniem szpitala.

Komitet Obywatelski, który jest jedną z organizacji charytatywnych w Wielkiej Brytanii udziela pomocy swej uchodźcom polskim przede wszystkim w tych wypadkach, w których uzyskanie pomocy ze źródeł brytyjskich jest niemożliwe. Tego rodzaju wypadków jest bardzo dużo i zaspokojenie wszystkich potrzeb przekracza możliwości finansowe nie tylko Komitetu Obywatelskiego ale prawdopodobnie i innych polskich organizacji charytatywnych. Obecnie Komitet Obywatelski czyni kroki dla zorganizowania Polskiego Ośrodka Gieratycznego w pobliżu Londynu, którego potrzeba jest nagląca. Koszty związane z założeniem tego Ośrodka będą bardzo wysokie i pochłoną znaczną część funduszy kapitałowych Komitetu.

W dniu 21 czerwca 1967 Komitet otrzymał list od Naczelnego Lekarza szpitala w Penley dr. Berezy z prośbą o subwencję na założenie płytek plastikowych na podłogach sal szpitalnych. Zarząd Komitetu Obywatelskiego rozważył prośbę i biorąc pod uwagę: możliwość uzyskania pomocy ze źródeł brytyjskich na ten cel, stan finansowy Komitetu, prośby innych organizacji i osób o pomoc, spodziewane wydatki na działalność Komitetu i uznał, że może udzielić jedynie symbolicznej pomocy na koszt założenia płytek plastikowych.

Jest zasadą Komitetu Obywatelskiego, aby wszystkie bieżące wydatki (subwencje, zapomogi indywidualne, pożyczki, koszty związane z prowadze-

niem „Antokolu” i Przychodni Lekarskiej) pokrywane były z dochodów Komitetu bez naruszania kapitału.

W przeszłości były robione różne naciski i wysuwane różne nieraz demagogiczne żądania, aby Komitet Obywatelski wyzbył się swego majątku na takie czy inne cele. Komitet zawsze opierał się tym naciskom i żądaniom i dzięki temu może kontynuować swą działalność charytatywną.

Z poważaniem,

A. KAMIENIECKI

Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego
Pomocy Uchodźcom Polskim



Penley, Wrexham, 26 września 1967.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W imieniu Towarzystwa Przyjaciół Polskiego Szpitala w Penley jak też w imieniu chorych, serdecznie dziękuję Panu Redaktorowi za przysłane £ 15 na wyłożenie czarnych cementowych podłóg szpitalnych, płytkami plastikowymi.

Apel Towarzystwa spotkał się z pełnym zrozumieniem wśród wielu Polaków, Organizacji Społecznych, Politycznych, Kombatanckich, jak również wśród społeczeństwa walijskiego i angielskiego, dzięki czemu zebrano już na ten cel ponad £ 560.

Szpital w Penley istnieje od roku 1941 i po licznych reorganizacjach dysponuje obecnie 113-toma łózkami. Łóżka są stale zajęte i lista zgłoszeń duża. Chorzy to przeważnie ludzie ponad 60-70 letni. W większości są to b. żołnierze lub ich rodziny, osoby cywilne po obozach koncentracyjnych niemieckich lub łagrach sowieckich, nie znający języka angielskiego a potrzebujący stałej opieki lekarskiej i pielęgnarskiej. Często są to ludzie samotni, bez rodzin a nawet przyjaciół. Szpital w Penley zapewnia im nie tylko fachową i troskliwą pomoc ale stara się zastąpić im najbliższych z rodziny. Atmosfera swojskości i serdeczności szczególnie ważna jest dla najniezwyklejszych, przebywających w szpitalu czasem kilkanaście lat.

Uważam że polepszenie warunków zewnętrznych na salach chorych, usunięcie ponurego, depresyjnego ich wyglądu, powinno być naszą troską i obowiązkiem. Wiemy dobrze, jak wielki wpływ na psychikę ma światło, jasność i poczucie ciepła. Dajmy je pacjentom Szpitala w Penley.

Ci chorzy to są przecie nasi towarzysze broni, ci sami których często z narażeniem własnego życia ratowaliśmy z pola walki. Dlaczego teraz mamy o nich zapomnieć? Kiedy wskutek starości czy choroby musieli opuścić szeregi pracującej jeszcze emigracji i znaleźli się w szpitalu, stali się mniej „ważni”? Kto ma się o nich upomnieć? Sami są już niezdolni a czasem zbyt dumni, by się przypominać. A przecież czują i tęsknią do życliwości ludzkiego serca.

Wielkie i szlachetne cele przyświecają wszystkim polskim organizacjom, ale czy troska o nasze starsze pokolenie nie jest jednym z naczelných naszych obowiązków?

Nie chcę być źle zrozumianym. Chorzy w naszym szpitalu nie są zaniedbani, ani głodni, nie jest im zimno. Nie. Angielskie władze szpitalne, polscy lekarze, personel pielęgnarski polski dbają o to. Ale wobec szybko narastającego zagadnienia potrzeby licznych Geriatrics, rząd angielski nie jest w stanie w krótkim czasie zrealizować wszystkich projektów podniesienia standartu ogólnego szpitali dla starców. Rozumie to społeczeństwo walijskie

i angielskie i spieszy ofiarnie z pomocą nie tylko własnym szpitalom ale również Polskiemu Szpitalowi w Penley.

Proszę mi wybaczyć Panie Redaktorze, że może niepotrzebnie rozpisałem się o moich chorych. Ale z kim mam się podzielić swymi troskami i planami nad podniesieniem warunków w szpitalu, jak nie z ludźmi którzy mają zrozumienie i serce dla naszego starszego pokolenia.

Dlatego jeszcze raz dziękuję serdecznie Panu Redaktorowi, nie tylko za ofiarę pieniężną, ale przede wszystkim za pamięć o naszych chorych, przez ogłoszenie otwartego listu ppłk. Nowaka we wrześniowym numerze „Kultury”.

Z głębokim poważaniem,

Dr M. BEREZA
Medical Administrator
Polish Hospital
Penley, Wrexham, Denbighshire

Vence, 5. X. 67.

Szanowny Panie Redaktorze,

We fragmencie mego dziennika w numerze październikowym „Kultury” chochlik drukarski małego figielka spłatał.

W dramatycznym ustępie gdzie mowa iż ja, nędzarz w łachmanach, składam u stóp Literatury Polskiej „wawrzyn międzynarodowy, najświetniejszy od czasów Sienkiewicza i Reymonta”, wydrukowano, może z nadmiaru wzruszenia, zamiast „najświetniejszy” — „najświętszy”.

To już przesada.

Pokłon,

Witold GOMBROWICZ

Londyn, 8 października 1967 r.

Drogi Panie Redaktorze,

Croce sformułował teorię, że dzieło sztuki otrzymuje pełny wyraz w umyśle artysty i że wobec tego utrwalenie dzieła na papierze czy też w kamieniu jest aktem wtórnym, mechanicznym zapisem czegoś, co już uprzednio zostało w pełni ukształtowane. Każdy artysta natomiast wie dobrze z doświadczenia, że tak wcale nie jest, że fizyczne warunki w jakich tworzy mają wpływ na ostateczną postać dzieła. Jako pisarz, Józef Łobodowski zapewne o tym dobrze wie, więc trudno mi odgadnąć dlaczego moje słowa na ten temat wyrwywa z kontekstu, by sobie z nimi poigrać (por. jego list w nrze październikowym). Moje twierdzenie, że poeta nie lubi zaczynać wiersza na czystej kartce papieru, które tak ubawiło Łobodowskiego, nie jest moim wymysłem lecz parafrazą opinii Dylana Thomasa, poety, o którym być może Łobodowski słyszał.

To, co napisałem w „Nieposkromionych bestiach słów” wydaje mi się zupełnie jasne i nie wymagające dalszego uzasadnienia, nawet w świetle bałamutnego komentarza Łobodowskiego. Łobodowski jednak wykorzystuje okazję, by zarzucić Panu obniżenie poziomu pisma wynikające z opublikowania mojej rzekomo bzdurnej tezy. Dlatego wyłuszczam wszystko jeszcze raz w prostych słowach. Łobodowski przyznaje się do „awersji do uprawiania epistolografii”, wielka szkoda więc, że ją przewyciężył akurat w momencie kiedy nie miał nic do powiedzenia.

Łączę pozdrowienia,

Adam CZERNIAWSKI

1 października 1967.

Drogi Panie Redaktorze,

Dopiero tu, w Paryżu, przeczytałem w reportażu Flemminga we wrześniowej „Kulturze” (str. 35/6): „taksówkarz mówił po polsku, choć był z Kowna”.

Przypomniało mi to historię opowiedzianą w swoim czasie przez Stanisława Kodzia. Chcąc na Boże Narodzenie bodaj 1944 roku mieć na wigilię szczupaka, udał się on na londyński *East-End* gdzie, niedawno przyjechawszy do Anglii, miał trudności w porozumieniu się ze sprzedawczynią. Po chwili wywołała ona z mieszkania przy sklepie swojego ojca, z którym Kodź doskonale się porozumiał i nawet uciął następującą pogawędkę:

— Pan tak dobrze mówi po polsku. Czy dawno Pan jest w Londynie?

— Przyjechałem do Anglii po 1905 r.

— Skąd?

— Z Odessy.

— Z Odessy? I Pan tak dobrze mówi po polsku?

— No tak, bo ja służyłem w wojsku rosyjskim odbywałem w Bobrujsku.

— Czyż w Bobrujsku ludność mówi po polsku?

— Nie wszyscy. Ale do Bobrujska przysyłano rekrutów z Kowieńszczyzny i od nich właśnie nauczyłem się mówić po polsku.

Łączę uścisk dłoni,

Wiktor SUKIENNICKI

10 października 1967.

Szanowny Panie Redaktorze!

W cennych „Notatkach Amerykańskich” w nrze 9/239 znajduje się zdanie, że głośny ostatnio pisarz Marshall McLuhan otrzymał na uniwersytecie Fordham w Nowym Jorku katedrę profesorską z wynagrodzeniem *sto tysięcy dolarów*.

Z prasy katolickiej dowiedzieć się jednak można, że suma stu tysięcy dolarów to roczny fundusz przeznaczony na utrzymanie katedry profesorskiej, a więc nie tylko profesora, ale dwóch asystentów, sekretariatu i pomocy naukowych. Prof. McLuhan otrzyma tylko 30.000 dolarów.

Przy sposobności warto też zaznaczyć, że Fordham University jest instytucją prywatną, założoną przez OO. Jezuitów. W związku z długimi staraniami o pomoc stanową dla podobnych instytucji naukowych władze uniwersyteckie miały nadzieję, że tę nową katedrę będzie można utrzymać z zasiłku stanowego. Tymczasem pewne koła wniosły protest — chodzi o zasadę rozdziału kościoła od państwa — i sprawa jest w zawieszeniu. Mimo to władze uniwersyteckie wydały oświadczenie, że Marshall McLuhan i jego asystenci będą zatrudnieni na uniwersytecie, a kosztą poniesie uczelnia z własnych funduszy.

W Ameryce pisze się teraz i mówi bardzo głośno o nadmiernych kosztach wyższego szkolnictwa. Instytucje kościelne są wprost zagrożone — tracąc studentów. Fundusze dziesięciu najbogatszych uniwersytetów katolickich razem wzięte są mniejsze niż fundusze „małego” uniwersytetu w Princeton, N.J., który jest karzełkiem (mowa tylko o funduszach) w porównaniu z uniwersytetem Harvard, którego kapitał jest już bliski biliona dolarów.

W tych warunkach wynagrodzenie w sumie 100.000 dolarów dla jednego profesora na uniwersytecie katolickim jest w ogóle nie do pomyslenia.

A. S.

Andes, N.Y., 18 września 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o umieszczenie następującego w najbliższym Nrze „Kultury”:

W tygodniku „Świat”, wydawanym w Warszawie, w dniach 3 i 10 września br. ukazał się przedrukowany dosłownie wstęp do mojej książki „Kawaleria Samodzielna R.P. w kampanii 1939 roku”.

Byłoby to całkowicie zrozumiałe, gdyby jakiś autor z tamtej strony napisał omówienie, recenzję czy krytykę mojej pracy — byłoby to w zupełnym porządku, zgodnie z ustalonymi normami etyki pisarskiej. Opublikowanie zaś bez wiedzy autora całego ustępu z jego książki — przy tym dosłowne — z podaniem w nagłówku jego nazwiska jest czynem co najmniej dziwnym, przypominającym praktyki wschodniego sąsiada Polski.

Gdybym nawet nie miał nic przeciwko temu, aby w Kraju społeczeństwo zapoznało się z treścią całej mojej książki — Kawaleria Samodzielna — to jestem wprost niemile zdziwiony stanowiskiem Redaktora „Świata”, że pozwolił sobie na opublikowanie dosłownego wstępu do mojej książki bez mojej wiedzy.

Leon MITKIEWICZ

P. J. P. z Kopenhagi (nazwisko „tylko do wiadomości Redakcji”) piętnuje opowiadania B. Korczaka, zamieszczone w nrze 10/240 „Kultury”, uważając je za paszkwil na Danię i apeluje by „nie psuć z trudem budowanej w Danii opinii o Polakach”. (Redakcja).

P. Halina Czarnocka i p. Jakub Sobieski z Brukseli kwestionują ścisłość listu do Redakcji p. J. S. — zamieszczonego w nrze 10/240 „Kultury”, stwierdzając jednocześnie najlepsze wrażenia odniesione z pobytu w Polsce nie tylko przez nich samych, ale również przez ich przyjaciół belgijskich. P. J. Sobieski żałuje, że „zbieżność inicjałów naraziła go na podejrzenia iż jest autorem tego listu”. *Dont acte.* (Redakcja).

SPROSTOWANIE

Do Wydarzeń Miesiąca z nru 10/240 „Kultury” zakradł się błąd przy wiadomości o śmierci gen. Rómmla. Zmarł on w Warszawie a nie w Wąszyngtonie jak podano omyłkowo. (Redakcja).

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI

11 Gainsborough Road, London, W. 4. — Telefon: 01-994-1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”. Wacław IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e Trimestre 1967

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584. Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guirara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Prosimy o przysylanie prenumerat na adres Redakcji.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont. K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, tél. : HU 8-5224; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, téléphone : 233-7212.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping C°, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; Stefan Kozlowski, 1212 Donald Ave., Lakewood, Ohio 44107; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book C° 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing C°, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 147 — SERIA „DOKUMENTY”

WIKTOR SUKIENNICKI

LEGENDA I RZECZYWISTOŚĆ

**WSPOMNIENIA I UWAGI O DWUDZIESTU LATACH
UNIwersYTETU STEFANA BATOREGO W WILNIE**

Str. 128

Cena egz. 9 F (dol. 2,00; 13/6)



TOM 148 — TOMASZ STALIŃSKI

WIDZIANE Z GÓRY

Pierwsza powieść o Polsce Ludowej, której bohaterami są
członkowie Biura Politycznego KC PZPR

Str. 320

Cena egz. 18,50 F (dol. 4,00; 27/6)



TOM 149 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”

GALINA SIERIEBRIAKOWA

HURAGAN

Nowy wstrząsający dokument z okresu stalinowskiego

Przełożył Józef Łobodowski

Wstęp Gustawa Herling-Grudzińskiego

Str. 112

Cena egz. 8 F (dol. 1,75; 12/3)



TOM 150 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”

SWIETLANA ALLILUJEWA

DWADZIEŚCIA LISTÓW DO PRZYJACIELA

Przełożył z rosyjskiego L. Perzanowski

PRZEDMOWA GUSTAWA HERLING-GRUDZIŃSKIEGO

Str. 256.

Cena 15 F (dol. 3,25; 22/6)

Cena 5,00 F